

Jerzy Broszkiewicz
Mój księżycowy pech

Ilustrował: Włodzimierz Terechowicz
Nasza Księgarnia Warszawa

Okładka: Zbigniew Rychlicki
Układ typograficzny: Józef Worytkiewicz
Fotografia autora: Jerzy Borowiec

PRINTED IN POLAND

Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”

Warszawa 1975. Wydanie II

Nakład 50 000+277 egzemplarzy

Ark. wyd. 12.0, Ark. druk. 15

Papier druk. sat. kl. V, 65 g, 82x104/32

Oddano do składania w lipcu 1974 r.

Podpisano do druku w lutym 1975 r.

Druk ukończono w marcu 1975 r.

Drukarnia Dzielowa Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45

Zam. nr 2278/A/74, Cena zł 17.—

Taśma pierwsza

Ach, ten dzień!

Od razu muszę stwierdzić, że właściwie do nikogo nie mogę mieć żalów czy pretensji. Oczywiście zawsze można wytknąć kogoś palcem — powiedzieć „nie ja, tylko on”. Ale prawda jest prawdą: to właśnie ja zawałam. A potem już cała historia tego dnia i mojego księżycowego pecha zaczęła się rozkręcać coraz szybciej, bujniej i lepiej — tak że w końcu chwilami nie wiedziałem już, czy to świat jest taki okrutny, czy też po prostu ja sam uległem atakowi ciężkiego zidiocenia.

Cała sprawa była przecież wiadoma i zaklepana z góry. Bo choć szkolna wycieczka na Księżyc to nic wielkiego, i każdy z naszej klasy przynajmniej raz w życiu już tam był, to jednak szkolna wycieczka ma swój program.

Z okazji owego dnia, o którym tu mówię, należało się spodziewać klasówki. Po co zresztą pleść o jakimś „spodziewaniu się”?

Wiadomo, jak to się dzieje. Opiekun klasy daje ogólne założenia głównemu szkolnemu komputerowi, a ten dopiero urządza sobie zabawę w konkretne szczegóły. Tym sposobem sztuczny mózg układa taki program wycieczki, że cała klasa, czyli dwadzieścia sześć dość młodych i całkiem niesztucznych mózgów, musi się mocno potem namęczyć nad możliwie dokładnym i rzeczowym opisem jej przebiegu. Nie chcę przy tym twierdzić, że cała sprawa jest niesłychanie trudna i zawiślana. Można na przykład brać ze sobą kieszonkowe kamery filmowe i nakręcać niektóre ciekawsze albo trudniejsze fragmenty wycieczki. Po prawdzie jednak niewiele to pomaga. Takie notatki z natury rzeczy urywkowe są i pobieżne. Istotną bowiem trudność wyżej wspomnianej klasówki polega na możliwie najdokładniejszym, najbardziej

szczegółowym i najbardziej osobistym opisie całości. Co gorsza: wszystko to trzeba opowiedzieć metodą całkiem przedpotopową — wprost na taśmę magnetofonu. Trzeba opowiedzieć nie tylko, co się widziało, ale także i to, co się czuło, o czym się myślało i jakie ogólniejsze wnioski z tego wszystkiego się nasuwają. Jednym słowem, każdy z szanownej wycieczki ma obowiązek przedyktowania na taśmę czegoś w rodzaju dużego reportażu albo małej powieści. Potem taśmy idą do szkolnej drukarni, gdzie głos przetwarza się na druk, i dopiero wtedy zaczyna się cała zabawa jakby na nowo: wszyscy czytają wszystkie te (za przeproszeniem) „dzieła literackie”, następnie na zasadzie głosowania wybiera się pięć najlepszych, potem każdy pisze z nich recenzję i w końcu profesorowie przyznają nagrody za najlepszą powieść i najlepszą recenzję. Każdy mi przyzna, że z tego wszystkiego można dostać ciężkiego szumu w szarych komórkach, a nawet czkawki w szyszynce.

Nic dziwnego, że już za szkolnych czasów moich rodziców odzywały się głosy przeciw tym literackim udręczaniom biednej młodzieży — i podobne głosy odzywają się po dziś dzień. Ale i tak nic z tego. Zarówno zespoły komputerów, jak Główne Rady Szkolne stale się upierają przy owym obyczaju.

Jeśli chodzi o mnie, narzekać, narzekam, ale z zasady nie krzyczę. Ostatecznie program szkolny jest po to, żeby go wykonywać, nie zawsze z zachwytem, ale po prostu ku swemu pożytkowi. I to możliwie najdokładniej. Ja w każdym razie jestem najgłębiej o tym przekonany.

Mówię: ja — a jeszcze się nie przedstawiłem ani nie wyjaśniłem, kim w istocie jestem. Czas na to.

Otóż nazywam się Paweł Kostal, mam lat czternaście, wzrost metr sześćdziesiąt siedem, dużo piegów na nosie i w okolicy, oczy niebieskie, twarz pociągłą, włosy nieco rudawe, dość dobrą kondycję, szóstą klasę raketowego pilotażu oraz zamiłowania matematyczne. W swojej klasie utrzymuję się zazwyczaj w pierwszej piątce zarówno w matematyce i cybernetyce, jak w sporcie i geologii, ale tylko w tych przedmiotach. Jestem w klasie dziewiątej i mam przed sobą jeszcze około dwóch lat szkolnej harówki — oczywiście w zależności od tempa składanych egzaminów. Potem — kiedy ukończę lat szesnaście, pójdę do Instytutu Matematyki albo przejdę od razu do pracy zawodowej jako technik cybernetyczny. Rzecz jasna — wolałbym to pierwsze. Muszę jednak na Instytut uczciwie zapracować i jeszcze przed ukończeniem szkoły udowodnić, że potrafię być w przyszłości samodzielnym pracownikiem naukowym. Jak na razie, nie idzie mi najgorzej i pewne szanse już teraz się rysują. W ciągu ostatniego roku napisałem i wydałem trzy samodzielne (wykraczające poza program szkolny) prace, z których dwie Instytut przyjął, dając im całkiem niezłą punktację. Mam jednak przed sobą jeszcze dwa lata solidnej roboty, bo bez dziesięciu samodzielnych prac nie mam nawet co marzyć o przyjęciu do Instytutu. Co dalej? Mieszkam w Jaśminach. Miasto jest młode i nieduże — wszystkiego dwieście lat i pół miliona mieszkańców. Połowa drogi między Krakowem a Wrocławiem. Oczywiście nie mieszkam sam. Mieszkam z rodzicami, których zaliczam do ekstraklasy tego gatunku, a jeszcze do zeszłego roku był też z nami mój starszy brat, Lutek. Muszę przy tym stwierdzić, że Lutek to też w gruncie rzeczy osobistość raczej wyjątkowa. W piętnastym roku życia przeskoczył końcowe egzaminy szkolne, potem wygrał środkowoeuropejską olimpiadę fizyki kosmicznej i od razu wysłano go na Marsa, do Głównego Instytutu Wielkich Wypraw.

Dobrze jest mieć takiego brata, którym można się pochwalić we wszystkich środowiskach i we wszystkich miejscach kuli ziemskiej. Ale każda zasada ma dwa końce. Ów drugi, gorszy, koniec polega na tym, że mam kilkoro takich rozkosznych krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy od czasu do czasu z niewinnym spojrzeniem i bardzo słodziutkim głosem powiadają: tak, prawda, oczywiście, Lutek to wspaniały facet! Ale... ale co z tobą? Potrafisz choć w części być taki jak

on? Potrafisz mu dorównać?

Oczywiście rodzice są za dobrzy, za mili i za mądrzy na takie niby-metody niby-wychowawcze. Mam jednak ze dwóch wujów i ze trzy kuzynki, którzy zaletami i talentami Lutka na pewno zbyt często wykluwają mi oczy. I gdybym Lutka tak nie lubił, jak go lubię — to przy ich troskliwej pomocy dostawałbym pokrzywki na sam jego widok.

Mówiąc między nami, sam Lutek (starszy ode mnie o pięć lat) potrafi mi też dać czasem niezłą szkołę.

Do końca życia nie zapomnę, jak kilka dobrych lat temu skonstruował całą bandę cybernetycznych krasnoludków i wypuścił ją na mnie. Skończyłem wtedy piąty rok życia i wiedziałem już coś niecoś o robotach i cybernetyce.

A mimo to dałem się nabrać na całego:

Chodziło za mną dziesięciu takich piętnastocentymetrowych w czerwonych czapkach, z białymi po pas brodami — i wygadywali jakieś całkiem niepojęte historyjki:

o sierotce Marysi, o królownie Śnieżce, o Kopciuszku i szklanym pantofelku, i wiele innych bredni. A ja na całe pół dnia uwierzyłem, że są to importowani mieszkańcy Saturna, którego jeszcze w pełni nie zbadano, i że są właśnie tacy: malutcy, brodaci i ciężko zapóźnieni w rozwoju. Dopiero kiedy rodzice wrócili z pracy, sprawa się wyjaśniła, a śmiechu było ponad całomiesięczną normę. Prawda, że więcej się śmiano z tych maluchów niż z mojej biednej naiwności — ale i tak zaprzysiągłem sobie, że przyjdzie jeszcze czas, kiedy odegram się na kochanym moim braciszku. W ciągu ostatnich dwóch lat rozpocząłem już niejaki próby, nie bardzo mi to jednak wyszło.

Jak ogólnie wiadomo, Lutek trochę zanadto lubi wysokie blondynki o zielonych oczach.

Postanowiłem więc, że skonstruuję mu takie jasnowłose чудо — oczywiście na mikrotranzystorach i z odpowiednim programem postępowania. Że on ją na przykład czule bierze za rękę, a ona go... łaps! za nos. Mogłaby to być piękna scena, godna szerokiej reklamy. Próbowałem już co nieco w tej mierze, ale nic z tych prób nie wyszło. Mocno jeszcze muszę się podkształcić w robotyce, bo jak na razie do takiej blondynki, na którą Lutek dałby się nabrać, bardzo mi daleko.

Jeśli chodzi o rodziców, powtarzam: jest to klasa najwyższa. Jak wiadomo, nie ma na świecie ani we wszechświecie idealnych ideałów. Dla mnie jednak rodzice zaliczają się do rzędu najwyższej jakości,

Ojciec ma niewiele czasu i bywa w domu tylko przez cztery dni w tygodniu, bo pracuje na dnie Atlantyku, w okolicach Wielkiego Rowu, gdzie stworzył hodowlę świetlistych ryb głębinowych. Są tacy, dla których zajęcie to pachnie jakimś dziwactwem, ale tata zawsze lubił rzeczy niezwykłe. Poza tym sam czytałem kilka fachowych artykułów bardzo wychwalających rozwój owej hodowli. Może ona bowiem stać się niezwykle przydatna w badaniach największych głębin oceanicznych, które w końcu znamy o wiele słabiej niż cztery najbliższe planety słoneczne.

Mama od czasu do czasu daje mi do zrozumienia, że trochę ją denerwują warunki ojcowskiej pracy, że wyczerpująca jest i dość nawet niebezpieczna. Ojciec sam — i to nie tak dawno — przyznał się, że był o krok od katastrofy, kiedy jego głębinowy traktor wpadł w rozpadlinę i buksował w mule niemal do utraty energii. Mimo to mama, szczególnie przy ojcu, bardzo chwali jego zajęcia i głębinomorskie zainteresowania. Czasem jednak bywa mocno przygaszona, kiedy ma trudności z radiowizyjnym połączeniem w dniach nieobecności ojca.

Sama pracuje jako projektantka w Głównych Zakładach Upiększania Ziemi. Jest zawsze bardzo spokojna, śliczna i zadbana. A choć marzyła kiedyś o pracy pilota Wielkich Wypraw, od dobrych

kilkunastu lat (jak sama twierdzi) bardzo przywiązała się do swojej roboty. Wygrała kilka międzykontynentalnych konkursów, a każdy przyzna, że jej zajęcie jest godne szacunku: bronić przyrodę przed jałowieniem gatunków, hodować nowe rodzaje kwiatów i drzew, budować lasy, jeziora, strumienie i wodospady i w ogóle odrabiać te barbarzyńskie straty, jakie zielona ziemia poniosła w dwudziestym i dwudziestym pierwszym wieku, kiedy nie umiano jeszcze rozwijać cywilizacji bez niszczenia przyrody.

Ostatnio matka pokazała mi kilka swoich najnowszych projektów czterech rezerwatów roślinnych nad brzegami Morza Saharyjskiego. Duża klasa! Obiecała całej rodzinie, że wybierzemy się tam natychmiast po zrealizowaniu projektów. Ja wprawdzie wolę bawić się układaniem równań szóstego stopnia niż wachać kwiatki, ale swoje wiem: bez kwiatów i zieleni, bez czystego oddechu jezior i lasów powoli przemienilibyśmy się w zielonoszare, znudzone i tępawe plemię rozumnych ssaków. Dlatego wiem, co mówię, kiedy chwalebę pracę mamy. Tym bardziej że jest ona dość znaną poetką.

Ojciec twierdzi, że jestem jeszcze za młody, żeby zrozumieć, jak piękne bywają niektóre jej wiersze. Niech będzie. I tak mam swoje zdanie na ten temat. Kiedy czytam albo słyszę — rozumiem wszystko. Ale jak to wytłumaczyć? Tak jakby się chciało haftować jedwab pneumatycznym świdrem.

Na szczęście mama nie znosi, żeby mówić o tych wierszach w jej obecności. Czasem tylko, kiedy przeczyta nam coś nowego, a my w zamyśleniu milczymy, w oczach jej pojawia się radość, więcej warta niż wszystkie nasze słowa, pochwały i komplementy.

Wróćmy jednak do tematu — to znaczy do wycieczki, do tego zwariowanego dnia i księżycowego pecha, od którego o mało co przedwcześnie nie osiwałem.

Było to wkrótce po wielkich ogólnoziemskichuroczystościach: 350 rocznica Pierwszego Dnia Pokoju i Porozumienia. Całe miasto, tak jak cała ziemia, w kwiatkach, zabawach i weselu. Dwa tygodnie (od pierwszego do piętnastego maja) wolnego czasu. Nasza rodzina w komplecie, bo nawet Lutek z okazji Wielkiego Świeta przyleciał na tydzień do domu. Pilnowałem się dobrze, żeby znowu nie podrzucił mi jakich nowych krasnoludków albo bajczarzy, on jednak sprawił mi inną i całkiem wspaniałą niespodziankę. Przywiózł mi mianowicie jednoosobową rakietę typu XL-218, o średnim kosmicznym zasięgu i z półrocznym zapasem paliwa. Była to własna jego robota, a oni tam na Marsie, specjaliści od Wielkich Wypraw, naprawdę umieją takie rzeczy robić.

Matka wprawdzie trochę się złościła, że za wcześnie dostaję raketę, która dochodzi do siódmego biegu szybkości kosmicznej i na której bez kłopotu można dotrzeć nawet na Wenus.

Dałem jednak słowo honoru, że poza sztuczne księżycy Ziemi nie będę się wypuszczał (chyba żeby zaszło coś całkiem nadzwyczajnego), a ojciec i Lutek po męsku mnie poparli. Że niby nie jestem ani taki głupi, ani taki przemądrzały, żeby wypuszczać się w strefy zakazane przez Kontrolę Ruchu Międzyplanetarnego. Wiadomo zaś, że w moim wieku (i to przy szóstym zaledwie stopniu karty pilotażu) nie wolno przekraczać odległości księżycowej, a i tak trzeba starać się o specjalne zezwolenie w wypadku przekraczania strefy księżyców sztucznych. Potem jednak, kiedy mama już się pogodziła z całą sprawą, ojciec dla odmiany zaczął się wahać, zastanawiać i wyrażać szereg wątpliwości. Czy aby na przykład nie przewróci mi się w głowie? I czy to w ogóle jest w porządku, żeby czternastolatek miał do dyspozycji taką raketę, jakiej nie ma nikt w szkole, a może nawet w całej dzielnicy?

Od razu przycichłem, bo zrozumiałem, że teraz może się zacząć nieco szersza rozmowa na temat mego charakteru. I to nie tylko mego. Bo na przykład mama od razu wystąpiła z twierdzeniem, że w każdym razie nie jestem takim dziwakiem, żeby całymi latami wysiadywać w największych

oceanicznych głębinach, i to nad hodowlą świecących ryb. Wtedy ojciec jakby nieco przybladł i powiedział coś o kwiatkach, że bywają ryby sto razy ładniejsze od najładniejszych chabazi. Tu nastąpiła chwila groźnej ciszy, ale zaraz potem rodzice zgodnie przeszli na Lutka: że tylko takim zarozumiałcom z marsjańskich ośrodków Wielkich Wypraw może wpaść do głowy nieodpowiedzialny pomysł demoralizowania młodszego brata, i to przy pomocy głupiej rakiety. Oczywiście Lutek z miejsca wyprosił sobie posądzenie go o zarozumiałstwo, a rakiety o głupotę, ponieważ na Marsie nie ma żadnych zarozumiałców, tylko ciężko pracujący ludzie.

Odetchnąłem nieco swobodniej, bo doszedłem do przekonania, że o mnie tym razem mowy nie będzie. A mówiąc między nami byłoby o czym pogadać. Charakter mam nierówny i co nieco grzechów na sumieniu. Ostatnio na przykład sam nie wiem, co mnie napadło, i przestroilem domowego robota (zwanego przez nas Domkiem) na najwyższe obroty, w związku z czym Domek zaczął sprzątać osiem razy dziennie, wydawać po pięć obiadów na osobę i nucić sześć razy za szybko różne starożytne utwory muzyczne, jak na przykład Dziewiątą Symfonię Beethovena. Ojciec zaraz na drugi dzień po tym głupkowskim kawale zabrał się do naprawy Domka, ale jakoś nie bardzo mu to wyszło.

Od tego czasu Domek (stanowiący bardzo ładne połączenie elektroluksu z mechanicznym kucharzem, krawcem i muzyczną taśmoteką) wrócił wprawdzie do właściwego tempa pracy, ale równocześnie jakoś się zmienił. Trochę zanadto się uczłowieczył i z nadmiernym zainteresowaniem zaczął mówić o oceanach, o głębinach morskich oraz o głębi niektórych zagadnień matematycznych. I gdyby nie to, że wszyscy byliśmy do Domka szczerze przywiązani, na pewno oddałoby się go do generalnego remontu.

Na szczęście w rozwijającej się dyskusji ojciec, mama i Lutek jakby o mnie zapomnieli. Zdarzyła się bowiem rzecz, ogromnie rzadka, ale niezwykle ciekawa: coś w rodzaju rodzinnej kłótni. Po półgodzinie (w ciągu której siedziałem bardzo cicho, bawiąc się jednak przepięknie) wyglądało na to, że nikt już z nich nie wie ani nie pamięta, od czego wszystko się zaczęło i o co właściwie chodzi. Doszło przy tym do tego, że zaciekawiony dziwnym tonem całej owej dyskusji Domek wsadził antenkę za próg pokoju i słuchał tak pilnie, aż mu lekko trzeszczało w przewodach. Pierwsza ocknęła się mama.

— Moi kochani — powiedziała już ze śmiechem w głosie. — Może ktoś będzie łaskaw mi wyjaśnić, o czym my tu właściwie mówimy?

Nastąpiła cisza. Wtedy popełniłem pierwszy bardzo poważny błąd. Nie udźwignąłem powagi chwili i po prostu zacząłem się śmiać. Na szczęście Domkowi zaczęło też mocno zgrzytać w kryształkach mózgowych, co brzmiało tak komicznie, że i tamci troje zaczęli chichotać. Sytuacja rozładowałaby się całkowicie, gdybym nie popełnił drugiego ciężkiego błędu. Zamiast siedzieć cicho w kącie i udawać skromne zamyślenie, wystąpiłem na środek pokoju.

— Gratuluję — rzekłem. — Serdecznie gratuluję. Dawno się tak z Domkiem nie ubawiliśmy.

— Co mówisz, kochanie? — spytała spokojnym (zbyt spokojnym) głosem mama.

— Co rzekłeś, drogi synku? — spytał ojciec z takim uśmiechem, od którego może zrobić się zimno nawet na równiku.

Chciałam czym prędzej cofnąć się do swego kąta. Na nic. Za późno.

— Nasze kochane maleństwo było łaskawe się odezwać! — zawołał Lutek i mocno przytrzymał mnie na samym środku pokoju.

Domek zaskrzypiał współczująco i znikł natychmiast z pola widzenia — bo i on zrozumiał, że nie jest dobrze. Ja zaś musiałem lekko przyblednąć, a równocześnie poczułem, że moje nieco odstające uszy nabierają czerwonego koloru. Zrozumiałem, że właśnie dopiero teraz rodzina nabrała wyraźnej ochoty do szerszego omówienia rozlicznych cech mojego charakteru i

niektórych wydarzeń z mojego życia. Tak się też stało.

— Nasze kochane maleństwo! — zaczął z niebezpieczną czułością ojciec.

— Nasz, można by powiedzieć, skarb i pieścioszek — szepnęła mama, kierując na mnie spojrzenie swoich pięknych, ale niezbyt teraz przyjaznych oczu.

Powinienem być przeczekać. Nie wytrzymałem jednak.

— Przepraszam najmocniej — rzekłem stosunkowo uprzejmym głosem. — Ale nie jestem już ani maleństwem, ani też pieścioszkiem. Za skarb też się nie uważam.

— Bardzo słusznie — uśmiechnęła się mama.

Gdzieś z głębi sąsiedniego pokoju słyszałem ciche a ostrzegawcze skwirczenie Domka. Mimo to postanowiłem się nie poddawać. Ostatecznie od dobrych dziesięciu lat przestałem być domowym „maleństwem” jako też „pieścioszkiem”. Postanowiłem im o tym przypomnieć.

— O ile pamiętam... — zacząłem ostro, ale przerwała mi mama.

— Właśnie, właśnie — rzekła. — Ciekawi mnie, co pamiętasz, skarbie? Na przykład mógłbyś mi przypomnieć, kto rozregulował nam Domka?

Zaciałem wargi.

— Przepraszam — oświadczyłem. — Ale, o ile pamiętam, tata jeszcze gorzej go naprawił, niż ja go zepsułem.

Znowu błąd! Oto w progu ukazał się sam Domek i spojrzał na mnie jak na sztuczną mrówkę.

— Czuję się w obowiązku — stwierdził surowo — sprostować powyższe twierdzenie. Tata nie tylko przywrócił mi dawne uzdolnienia i rytm pracy, ale też znacznie poszerzył mój horyzont myślowy. Za co jestem mu gorąco wdzięczny.

Poczułem się zgubiony. Jeśli już nawet Domek jest przeciw mnie, nie pozostaje nic innego jak tylko milczeć, słuchać i cierpieć.

— A czy nie pamiętasz, mój pieścioszku — spytał dla odmiany ojciec — kto o mało nie wysadził całego osiedla w powietrze próbując przemienić paliwo z mojej rakiety w konfitury morelowe.

— To było dawno — szepnąłem.

— A kto — spytał Lutek — napuścił wody utlenionej do szkolnego basenu, tak że z lekcji pływania wyszli sami blondyni?

— Nasze kochane maleństwo — rzekli jednym głosem ojciec z mamą.

— A kto...

— A kto...

— A kto... — zaczęli jedno przez drugiego wypominać mi moją dość burzliwą młodość.

Nie próbowałem się już nawet odzywać. Czuję na czole krople potu. Uszy moje musiały mieć już kolor najpiękniejszych czerwonych róż. A oni mówili, mówili, mówili.

Do ogólnego rachunku doszły zatem tak nawet niewinne przypadki, jak zaszczepienie w parku nadrzecznym gruszek na płaczącej wierzbie (które zresztą świetnie się przyjęły), jak podmontowanie stada żab z pobliskiej sadzawki do silnego wzmacniacza dźwięku (co — przyznaję — dało niesłychany efekt w piękny wiosenny wieczór), jak wreszcie wmontowanie taśmy z koncertem słowiczym pod tafelę sztucznego lodowiska. To było nawet śmieszne, kiedy podczas finałowego meczu okręgowej ligi hokejowej spod krążka zaczęły wylatywać słowicze trele. Dobrze pamiętam, że i ojciec, i Lutek uśmiali się całkiem gieźle. Tylko że mnie potem nie bardzo było do śmiechu, gdy tym wydarzeniem zajęła się szkoła, czyli sąd koleżeński. Wlepili niezłą karę: na cały miesiąc zakazano mi opuszczać miasto. Opiekun klasy — skądinąd pierwszorzędny facet — zaklepał wyrok, rodzice go uznali i w efekcie straciłem kilka pięknych

spacerów niedzielnych: do stratosfery, na Przylądek Dobrej Nadziei i do źródeł Nilu. Dość się wtedy nacierpiałem przez własną głupotę, a mimo to znów mi owego słowika wypomnieli.

Poniosłem przecież karę, a odbyta kara zmazuje winę. I tu wreszcie się zbuntowałem.

— Przepraszam! — krzyknąłem. — Co za dużo, to za głupio! Kara zmazuje winę! A poza tym wszystkie tamte wysoki skończyły się przed wiekami, przed ukończeniem przeze mnie dwunastego roku życia. Twierdzę, że ostatnio... od dwóch lat... jestem mniej więcej w porządku. Tak czy nie?

— Tak czy nie? — zamyślił się Lutek.

— Gdyby nie sprawa z Domkiem, to właściwie... — powiedział ojciec.

— Właściwie tak — przyznała sprawiedliwie mama. — Ale..,

— Ale co?

— Ale to wcale nie znaczy, że jestem całkowicie o ciebie spokojna. Obaj moi synowie nie mają zbyt łagodnych charakterów.

— Szczególnie młodszy — powiedział ostro Lutek.

— Szczególnie starszy — powiedziałem ja, z nie mniejszym niż on naciskiem.

Wtedy nareszcie roześmieliśmy się wszyscy czworo i nawet Domek zachichotał jak koloraturowy sopran z miejskiej opery. Miałem do niego trochę żalu, więc spytałem go, co będzie na obiad — i to głosem niezbyt miłym. Domek spojrzał na mnie z cichym wyrzutem i od razu zniknął nam z oczu, jako że do pory obiadowej zostało już rzeczywiście bardzo niewiele czasu. Ojcu nie spodobał się mój chwyt i wypowiedział kilka cierpkich słów na temat ludzkiego stosunku do robotów. Od razu i pokornie przyznałem mu rację, bo mnie samemu zrobiło się dość głupio — i pobiegłem przeprosić Domka. On jednak nie miał już do mnie żalu i poklepał mnie tak przyjaźnie po plecach, że na dobrą chwilę straciłem oddech.

Obiad był świetny. Po południu zaś poleciliśmy całą czwórką na fińskie jeziora. Jasne niebo, świerki, granatowe głązy, woda cicha i czysta. Było tam tym razem nad podziw pusto i spokojnie, nie licząc kilku tysięcy rybaków zapatrzonych w spławiki swoich wędek.

A w dwa tygodnie później przyszedł właśnie ten dzień!

Dzień szkolnej wycieczki na Księżyc, dzień mego księżycowego pecha, dzień, którego nie zapomnę póki mego życia.

Zaczął się zupełnie miło i spokojnie. Ranek był bardzo piękny, prześwietlony słońcem, bezchmurny. Obudziłem się o szóstej — potem dwadzieścia minut gimnastyki, kąpiel, śniadanie. O szóstej trzydzieści byłem już właściwie gotów do drogi. A zbiórka na miejskim kosmodromie (skąd mieliśmy wyruszyć dość staroświeckim szkolnym kosmobusem na Księżyc) wyznaczona była na godzinę siódmą. Miałem więc dobre dwadzieścia minut czasu do wyjścia z domu. Rozsiadałem się zatem przed teleścianką — ale by nie ulec jakiemuś zagapieniu, poprosiłem Domka, aby o szóstej czterdzieści dziewięć wygasił ściankę i przypomniał mi o zbiórce na kosmodromie. Domek oczywiście bardzo gorliwie obiecał wykonać moją prośbę więc całkiem już spokojny złapałem na ósmym kanale bardzo ciekawe opowiadanie matematyczne i zacząłem mu się przyglądać.

No i tak się właśnie zaczęło. Po prostu zapomniałem, że ojciec naprawiając Domka trochę zanadto go uczył, a ja zaufałem mu tak, jakby był zwyczajnym, solidnym robotem. Siedziałem w wygodnym fotelu i patrzyłem na matematyczne opowiadanie. Zaczynało się niby niewinnie i dziecinnie — od zabawnych dowcipów na temat ułamków. Ułamki jednak rosły w piętra, zmieniały znaki, wpadały w zasadzki nawiasów, a kiedy wszystko już znowu zaczęło się wyjaśniać i upraszczać, na scenę nagle wpadły potęgi, potem pierwiastki, aż wreszcie wszystko to przekształciło się w nieprzewidziany ciąg równań. Byłem pod urokiem tej dowcipnej zabawy.

Zacząłem nawet się śmiać, kiedy nagle tuż nad uchem usłyszałem rozbawiony głos:

— Prawda, jakie to zabawne?

To był Domek! Stał tuż za mną i gapił się w teleściankę z takim zachwytem, jakby nic poza nią na świecie nie istniało. Przeszedł mnie mróz po kościach. Zapomniał?

— Domek! — wrzasnąłem. — Która godzina? Ocknął się z trudem. Potem cały zadrżał. Jego oczy miały (o ile można tak powiedzieć o robocie) całkowicie barani wyraz. W końcu jęknął:

— Siódma sześć.

Nie miałem czasu na jeden choćby obelżywy okrzyk pod adresem tego mechanicznego bęcwała. Przecież start wycieczki przewidziany był punktualnie na godzinę siódmą zero zero (czasu środkowoeuropejskiego). Oznaczało to, że oni już od sześciu minut są w drodze, a ja dopiero zbiegam do garażu; do tej swojej podarowanej przez Lutka rakiety — i przede wszystkim nie mam najmniejszego zielonego pojęcia: co dalej robić?

Co gorsza, rozumiałem tylko tyle, że w istocie nie mam najmniejszego prawa wymyślać Domkowi od mechanicznych bęcwałów. Sobie i tylko sobie mogłem dziękować za cały ten pasztet.

Ale co to pomoże? Jeden miałem teraz tylko problem i jedno pytanie: co dalej? Siedząc już w rakiecie włączyłem radio na falę szkolną, ale przez dobrą minutę nikt się nie zgłaszał — zaś fali szkolnego kosmobusu po prostu nie pamiętałem. Co gorsza, nie znałem jego trasy. Było pewne, że zatrzyma się na którymś z najbliższych sztucznych księżyców dla uzupełnienia paliwa. Na którym jednak?

Ze Środkowej Europy leciało się zazwyczaj na Księżyc przez Stodwudziesty albo przez Stoszesnasty. Który z tych dwóch wybrać? Pozostawało mi więc chyba jedno wyjście z sytuacji: dostać się na miejski kosmodrom i próbować dowiedzieć się czegoś w dyspozytorni ruchu. Powinni tam wiedzieć o trasie kosmobusu. Ale czy pozwolą mi gonić wycieczkę? Czy po prostu zawrócą do domu: spóźniłeś się, twoja wina, cierp za swoje.

Ładnie bym wtedy wyglądał — nie usprawiedliwiona nieobecność, i to w takim dniu! W dyspozytorni mchu miejskiego kosmodromu pracował jeden z przyjaciół Lutka. Jeśli trafię na niego — może uda się jakoś załatwić całą sprawę.

Wystartowałem o siódmej osiem. W dwadzieścia sekund później byłem nad kosmodromem. Ale moje „szczęście” zaczęło już działać. Przyjmowano akurat całą grupę transportowców i początkowo w ogóle nikt nie chciał słuchać mego radia i moich pokornych pytań. W końcu trafiłem na Lutkowego przyjaciela. On jednak — przy najlepszej woli — bardzo niewiele mógł mi powiedzieć. Okazało się bowiem, że tego dnia aż trzy szkolne grupy z naszego miasta urządziły sobie wycieczkę na Księżyc i wszystkie trzy kosmobusy wystartowały około siódmej. W końcu uzyskałem tyle, że zezwolono mi w zasadzie na odlot ich śladem, podając nawet długość fal, na których pracują ich radia. Od razu spróbowałem połączeń — odeszły jednak już za daleko. Zaledwie jeden coś mi odpowiedział. Bardzo niewyraźnie odpowiedział.

Zrozumiałem tyle, że jest to oczywiście nie ten, o który mi chodziło.

Tak więc zostałem sam. Sam ze sobą, bez niczyjej rady i pomocy. Czas mijał — musiałem wreszcie się zdecydować. Moja rakietka stała ciągle na ogonie w okolicy kosmodromu, a moja klasa uciekała coraz dalej i dalej. Zawahałem się po raz ostatni: pokornie wracać do domu czy spróbować pogoni?

Prawie wszystko przemawiało za tym drugim. Miałem zawsze wysokie noty za pilotaż, miałem znakomitą rakieta, szóstą klasę karty pilotażu — a także pewne dane: numery i fale wszystkich trzech kosmobusów. Dowiedziałem się też od Lutkowego przyjaciela, że dwa z nich miały po drodze zatrzymać się na sztucznych księżycu Stoszesnaście, a jeden na Stodwudziestce. Byłem

niemal całkowicie pewien, że ten trzeci to właśnie nasz, bo na Stodwudziestce byliśmy już kilka razy, a spora grupa mieszkańców naszego miasta pracowała właśnie tam.

Zdecydowałem się! Poprosiłem kierownictwo ruchu o pozwolenie wejścia na tor do Stodwudziestki. Kazano mi odczekać jeszcze cztery minuty (znowu transportowce!) — no i w końcu usłyszałem: tor wolny. Od razu poczułem się lepiej. Wszedłem ostrożnie na tor i od piątego kilometra zacząłem przyśpieszać. Oczywiście mowy nie było o rozwinięciu pełnego tempa. Do Stodwudziestki była zaledwie godzina lotu i ściśle ograniczanie szybkości. Gdybym ją przekroczył, już po kilku minutach miałbym patrol Ruchu na karku, dużo różnych przykrości, a może nawet obniżenie stopnia pilotażu. Żeby więc mnie nie poniosło, przestawiłem rakietę na pilota automatycznego i zacząłem wdziwać na siebie skafander kosmiczny, jako że na sztucznych księżycach wolno lądować tylko w skafandrach.

Włazłem w swój kosmiczny garniturek — odrobinę już przyciasny pod pachami — i znów spróbowałem połączyć się z którymś z wycieczkowych kosmibusów. I znów nic z tego nie wyszło.

Nie było mi lekko na duszy. Bo jeśli nawet dogonię swoją klasę na Stodwudziestce i jeśli nawet opiekun będzie w najlepszym humorze — to, tak czy tak, usłyszę co nieco na temat całkowicie nie usprawiedliwionego spóźnienia.

Należało się przygotować na krótkie, ale dotkliwe kazanko, którego (tak sobie obiecałem) wysłucham w najpokorniejszym milczeniu.

Obmyśliłem także kilka słów przeprosin, które powinny dobrze oddziaływać — i nieco już uspokojony patrzyłem przed siebie, przez przedni ekran rakiety. Wszedłem w cień Ziemi, przede mną migotał wszechświat i mżyły delikatne łuny sztucznych księżyców. Jak zawsze wobec takiego widoku przeżyłem chwilę zmieszanego ze strachem zachwyty. Odetchnąłem głęboko i szczęśliwie. Minąłem połowę drogi do Stodwudziestki i zacząłem wierzyć, że cała ta historia z moim spóźnieniem da się jakoś załatać i wygładzić, że wkrótce będę już razem z całą klasą na swoim miejscu i we właściwej sytuacji.

No i oczywiście — omyliłem się. Mój spokój był o wiele przedwczesny.

Oto pod koniec trzydziestej ósmej minuty lotu, zamiast nadal beztrąsko gonić swoją klasę, musiałem nagle włączyć bardzo ostro hamowanie. W odległości zaledwie jakichś dwustu kilometrów ujrzałem przed sobą czerwone światło alarmowego sputnika: znak, że w tym rejonie doszło do jakiejś awarii, w której natychmiast potrzebna jest pomoc. Nie była to chyba żadna groźniejsza katastrofa, bo włączyłyby się natychmiast cały ciąg alarmowych sputników i ich powszechny sygnał „Na ratunek!” A więc po prostu komuś zdarzyła się jakaś awaria i ten ktoś żąda pomocy.

Włączyłem układ hamowania niemal odruchowo. Od nagłego przeciążenia broda wlaża mi na nos, a w uszach rozwrzeszczało się stado skowronków. Na szczęście moja XL-218 miała znakomity regulator ciśnienia i już po sekundzie wszystko było jak należy.

W ciągu sekundy następnej zbliżyłem się już do celu. Wreszcie całkiem wytraciłem szybkość i zatrzymałem się tuż przy alarmowym sputniku, jednym z tych, które wyznaczają tor na Stodwudziestkę.

Nie ukrywam: jeszcze przed sekundą miałem solidnego stracha. Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się udzielać pomocy w przestrzeni. Ale kiedy ujrzałem to, co ujrzałem, przede wszystkim zachciało mi się śmiać. Oczy wylazły mi trochę na wierzch i przez moment straciłem oddech. Oto na świecącym czerwono sputniku rozsiadł się jak w fotelu jegomość potężnego wzrostu i tuszy. Uczepił swą jednoosobową dość muzealną raketę do sputnika i wymachiwał rękami, jakby zamierzał dyrygować dwustu-osobową orkiestrą symfoniczną. Miał przezroczysty hełm i w

czerwonym świetle jego dość nalana i ogromnie rozzłoszczona twarz wyglądała trochę strasznie, ale przede wszystkim komicznie. Nie wypadło się jednak śmiać. Tym bardziej że już teraz wcale mi do śmiechu nie było: nowa przeszkoda, nowe opóźnienie.

Ale mimo największego pośpiechu i najpilniejszych nawet obowiązków musiałem się zatrzymać i służyć swoją pomocą. Takie jest bowiem pierwsze prawo Ruchu Kosmicznego: używać wszelkiej możliwej pomocy wszystkim pojazdom kosmicznym sygnalizującym awarię lub niebezpieczeństwo załogi.

Z cichą zatem rezygnacją i z wielką dokładnością zatrzymałem się tuż przy sputniku, na którym siedział ten dziwny facet. Wygramoliłem się ze swojej rakiety i możliwie grzecznie pozdrowiłem grubasa.

Przeszliśmy na wspólną falę radiową.

— Co się stało? — spytałem bardzo uprzejmie. — I w czym mogę być pomocny?

— No, nareszcie ktoś się zdecydował — burknął złym głosem. — Nie mogłeś wcześniej się zjawić, człowieku? — dodał jeszcze.

Wyglądało na to, jakby miał do mnie jakieś pretensje, że sam znalazł się w głupiej sytuacji na dokładnie oznakowanym i dziecinnie łatwym torze. Poczulem, że trochę błędnie ze złości.

Musiałem ze dwa razy odchrząknąć, żeby mój głos znów zabrzmiał mniej więcej normalnie.

— Przepraszam najmocniej — rzekłem zachowując nadal wielką uprzejmość — ale nie byłem uwiadomiony o pańskiej awarii. Sam jestem w trochę trudnej sytuacji, bo muszę gonić swoją szkolną wycieczkę i...

— Czekaj, czekaj! — spytał tamten już bardziej łagodnie. — To ty nie jesteś z Kontroli Ruchu ani ze stacji awaryjnej?

Wyjaśniłem mu w kilku zdaniach całą swoją sytuację. Widziałem przy tym dokładnie, że za każdym moim słowem tamtemu robi się coraz bardziej głupio i łyso. Najwyraźniej ogarnął go wstyd, że tak ostro na mnie naskoczył.

— Przepraszam! — powtarzał raz po raz. — Bardzo przepraszam! Pomyliłem się. Byłem przekonany, że mam do czynienia z technikiem stacji awaryjnej. W mojej biednej rakiemie wysiadła łączność. Zrobiła się głucha i niema. No i teraz jestem w kropce, Przyznaję, że wina raczej po mojej stronie. Znadto się do mojej poczciwinki przywiązałem. Komisja Techniczna ledwo ją na ostatnim przeglądzie przepuściła... i to głównie do ruchu ziemskiego... a tymczasem... Pokiwałem głową surowo i znacząco:

— No tak — powiedziałem. — Trochę dziwne. Komisja Techniczna swoje, a szanowny pan...

— Właśnie — westchnął grubas. — Ledwo się dowlokłem do alarmowego sputnika. A tymczasem i on jakby trochę zwariował. Świecić — świeci, ale głuchy jest i nie odzywa się nawet słowem.

— Niemożliwe! — zdenerwowałem się. — On też? To się przecież nie zdarza!

Grubas bezradnie rozłożył ręce, wzruszył ramionami.

— Niby się nie zdarza, a zdarzyło się. I akurat na mnie musiało trafić. Od pół godziny siedzę na tej głuchoniemej kuli i tyle zdziałalem, że udało mi się włączyć światło. O tej porze ruch na Stodwudziestkę zamiera. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby nie ty... gdybym tak musiał wysiadywać to zdefektowane jajo przez kilka albo kilkanaście godzin?

Głos grubasa brzmiał rozpaczliwie, a ja wcale mu się nie dziwiłem.

Rzeczywiście znalazł się w sytuacji fatalnej. Trasa na Stodwudziestkę (oczywiście jednobieżna) miała w zasadzie tylko dwie godziny ruchu: poranną i wieczorną. Poranna już minęła, a do wieczora było jeszcze daleko. Biedaczyna długo musiałby czekać na jakąś pomoc. Może nawet za długo. Gdyby tak popsuty sputnik zszedł z trasy, można by ich szukać w przestrzeni dobre

dziesięć lat. W dawnych czasach to się zdarzało — nie jest więc wykluczone, że i w naszych mogłoby się coś podobnego przytrafić.

— Tak to jest — powiedziałem z goryczą. — Jak człowiek choć trochę naruszy przepisy, od razu ma trzy patrole Ruchu na karku. A kiedy naprawdę są potrzebni — nie ma ich.

— Właśnie! Właśnie! — powtórzył grubas ze złością i kopnął piętami sputnik, aż zatrzeszczało. I oto nagle usłyszeliśmy:

— Tu sputnik alarmowy 12-78-AC. Trasa Środkowa Europa — sztuczny księżyc Sto dwadzieścia. Tu sputnik alarmo...

I znowu się urwało.

— Jak myślisz? — spytał grubas z nadzieją w głosie. — Kopnąć jeszcze raz?

— Spróbować można — powiedziałem.

Spróbowałem — i to solidnie. Ale tym razem nic już z tego nie wyszło. Co gorsza: światło alarmowe zaczęło wyraźnie przygasać. Trzeba się było szybko decydować. Wiedziałem, że drogocenny czas ucieka przede mną i ucieka. Mimo to jeszcze lepiej wiedziałem, że bez względu na wszystko chcę i muszę pomóc pechowemu rozbitkowi. Może odezwanie się sputnika zaalarmowało już służbę awaryjną, ale żadnej pewności nie mieliśmy i mieć nie mogliśmy. Było więc właściwie jedno tylko wyjście z sytuacji: po prostu powinienem wziąć popsutą raketę na hol i powlec ją na Stodwudziestkę. Choć tym sposobem traciłem już na pewno jakąkolwiek szansę na dopędzenie naszej wycieczki.'

Zrobiło mi się najpierw trochę zimno, potem bardzo gorąco. W gardle mi zaschło. Nie chciałem nawet myśleć, co później w szkole z tego wszystkiego wyniknie. Ale przecież rozumiałem, że nic innego zrobić nie mogę! Muszę doholować nieszczęsnego grubasa w bezpieczne miejsce. Tylko że na myśl o tym ciarki poszły mi po plecach. Nigdy jeszcze nie holowałem nikogo ani niczego, a każde dziecko wie, jaka trudna to sprawa. Poza tym nie zdołałem jeszcze zbyt dokładnie poznać swojej XL-218. Była wspaniale szybka, zwrotna, niezwykle łatwa w prowadzeniu. Jak jednak zachowa się obecnie?

Jak wszystkie osobówki miała w swoim wyposażeniu linę holowniczą długości pięciu kilometrów. Teoretycznie wiedziałem co robić: uczepić tamten muzealny zabytek do swego holu i początkowo na najniższej szybkości ruszyć w stronę Stodwudziestki. Ale co będzie, jeśli mimo woli szarpnę zbyt ostro i zerwę linę? W takim wypadku można wyrzucić holowaną raketę poza tor i wtedy mogą stać się rzeczy najgorsze. Mógłbym wprawdzie odwołać się przez własne radio do Stodwudziestki, ale jednocześnie musiałbym się pożegnać ze zdobytym już szóstym stopniem pilotażu.

Trzeba było wreszcie zacząć działać. Miałem uczciwego stracha. Tym większego, że w rakiecie grubasa wysiadł system łączności. Oznaczało to, że będę musiał iść na samo wyczucie — bez żadnego porozumienia z holowanym.

Przypomniałem sobie nagle Domka. I wtedy z zaciśniętymi zębami obiecałem sobie, że zaraz po powrocie do domu wmontuję mu nad czołem starożytny zegar z kukułką.

Grubas patrzył na mnie wystraszonymi oczami. Wtedy pierwszy raz przemknęło mi przez głowę, że ja muszę chyba skądś znać tę twarz. Albo przynajmniej twarz kogoś bardzo doń podobnego. Nie mieliśmy jednak czasu na żadne towarzyskie rozmówki, w rodzaju: a kiedy?, a skąd?, a może?

— Zatem... — powiedziałem najspokojniejszym głosem, na jaki było mnie stać — mamy tylko jedno wyjście z sytuacji: biorę pana na hol.

— Mój drogi, mój kochany — zawołał radośnie tamten. — A potrafisz?

— Spróbuję — rzekłem czując pot na czole i karku. — Przecież, tak czy tak, nie mamy innego

wyjścia.

Pokiwał głową.

— Co prawda, to prawda.

— A może — spytałem jeszcze — może zamienimy się? Pan wsiądzie do mojej rakiety, a ja do pańskiej... i to pan będzie mnie holował, a nie ja pana?

Zatrzepotał znów rękami jak dyrygent, który zgubił nie tylko rytm, ale i całą w ogóle orkiestrę.

— Nie ma mowy! Wykluczone! W żadnym wypadku! Nie znam się na tych waszych nowoczesnych dziwolągach. Pewnie w ogóle nie wiedziałbym, za co się brać. Mógłbym za mocno szarpać, zerwać linę, zgubić cię... i co wtedy?

Tak. Dobrze sobie. A co będzie, jeśli to właśnie mnie się przydarzy?

Pot z karku spłynął mi zimną strużką wzdłuż kręgosłupa, nie było jednak sensu dłużej się wahać i zastanawiać. Wróciłem do swojej rakiety — wysunąłem zaczep liny holowniczej i potem wspólnymi siłami zamocowaliśmy go u tępego nosa tamtej przedpotopowej landary. Alarmowy sputnik znów jakby się trochę rozjaśnił, ale nadal milczał niczym jakiś głupi meteor. Grubas znów jakby chciał go kopnąć, ale machnął tylko ręką.

Omówiliśmy zatem początkowe szybkości startu i przyśpieszania — ustaliliśmy też zasady sygnalizacji świetlnej. W końcu podaliśmy sobie ręce, a żaden z nas nie miał zbyt wesołej miny. Dla doświadczonych pilotów nie byłoby to w końcu zadanie zbyt trudne. Ja jednak na pewno za wiele jeszcze nie umiałem. A zasady holowania znałem tylko ze szkolnych zajęć na makietach. Tamten zaś też wcale mi na geniusza nie wyglądał. Zachował się w końcu jak umysłowy niedorostek. Dopuszczono mu raketę do ruchu ziemskiego, a jego poniosło aż w przestrzeń. Byłem niemal pewien, że po całej tej historii Kontrola Ruchu odbierze mu zarówno raketę, jak prawo pilotażu — i że nie tylko na tym się skończy. Dorosły człowiek — i na takie głupstwa się puszcza. Kim właściwie może być i dlaczego ciągle mi się zdaje, że skądś znam tę twarz? Ruszyłem z żółwią powolnością. Tamten jeszcze wolniej. Dopiero w trzeciej minucie ruchu miałem przyśpieszyć — tak łagodnie i bez szarpania, żeby napięcie liny dokonało się niemal niepostrzeżenie.

Druga minuta. Tamten dawał znaki świetlne, że wszystko w porządku. Uśmiechnąłem się z goryczą: jak dla kogo. Bo na kim spoczywała tu główna, ciężka odpowiedzialność?

Druga minuta, piętnaście sekund — przyśpieszenie. Druga minuta, dwadzieścia sekund: dalsze przyśpieszenie. Czas liczył się teraz już tylko na sekundy; bardzo długie i bardzo męczące. Trzydziesta sekunda — znowu przyśpieszenie. Wpatrywałem się w kontrolne światło mechanizmu holowania. Mżyło łagodną zieleńią — czyli na razie wszystko idzie jak należy. Czterdziesta sekunda, czterdziesta piąta, szósta...

— No, Pawełku — powiedziałem sobie. — Tylko spokojnie.

Wstrzymałem oddech. Dodawałem szybkości najłagodniej, jak umiałem. Mechaniczny pilot kontrolował mnie, ale pomóc mi nie mógł. Nie był przystosowany do działań holowniczych. Pięćdziesiąta siódma, ósma, dziewiąta sekunda... Serce biło mi w oczach, w uszach, w gardle. Szliśmy teraz na pierwszym biegu ziemskiej szybkości, co w normalnych warunkach jest zabawą już dla dziewięciolatków. Teraz jednak chodziło o rzecz wcale niezabawną — niebezpieczeństwo jeszcze ciągle istniało.

Sześćdziesiąta sekunda! Czyli trzecia minuta!

Znowu minimalne przyśpieszenie — i wreszcie poczułem lekki, bardzo lekki opór. Światło mechanizmu holowania zamrugało do mnie wesołym zielonym oczkiem — i przestało migotać. Jaśniało teraz blaskiem równomiernym i jasnym.

Nareszcie! Nareszcie mogłem głęboko odetchnąć. Roześmiałem się nawet cichutko.

Najtrudniejsza rzecz jest poza nami. Wszystko poszło jak na pokazie i po prostu na piątkę. Światła tamtego też dały trzykrotny, radosny sygnał: w porządku, w porządku, w porządku! Poprawiłem się w fotelu. Poczułem się starszy o rok, wyższy o pół głowy, mądrzejszy i szczęśliwszy niż kiedykolwiek za sterami rakiety. Niebezpieczeństwo zerwania holu mieliśmy już poza sobą. Mogłem zatem przestać wreszcie wlec się ze ślimaczą ostrożnością po sześćset kilometrów na godzinę. W takim tempie doczołgalibyśmy się na Stodwudziestkę dobrze po północy. A tego byłoby już trochę za wiele. Zacząłem więc nadal przyśpieszać. Równomiernie, ale dość już ostro — póki nie osiągnęliśmy pierwszej szybkości kosmicznej.

Dopiero teraz zacząłem wywoływać kosmodrom Stodwudziestki. Należało ich z góry przygotować na nasze przybycie — a w szczególności uprzedzić ich o lądowaniu rakiety holowanej, pozbawionej przecież głosu i słuchu. Z takiego bowiem lądowania mogła wyniknąć całkiem niezła zabawa. Lądować bez radaru i radia? Coś podobnego nie zdarzało się nawet w czasach przedhistorycznych. Ja osobiście byłem już właściwie całkiem bezpieczny i w porządku. Ale o nieszczęsnym grubasie też musiałem przecież pomyśleć. Bo jeśli — głuchy i niemy — nie zdoła wyczuć dystansu, może łupnąć ogonem rakiety w tarczę lądowiska o wiele za mocno. Wtedy w kosmodromie robi się dziura, a sama rakieta wygląda jak porcja szpinaku — co wcale nie jest śmieszne.

Wywoływałem więc Stodwudziestkę aż do bólu gardła włącznie. Musieli mieć tam jednak jakiś całkiem obłąkany ruch, bo choć dość wyraźnie ich słyszałem, oni mego sygnału jeszcze nie odbierali. Ani Stacja Główna, ani Ruch, ani Oddział Awaryjny! Ze względu na osobiste poczucie przyzwoitości nie mogę tu, niestety, powtórzyć, co ja sobie wtedy o nich myślałem. Pozostawała jeszcze możliwość dania sygnału Wielkiego Alarmu. Istniały jednak przecież szanse, że mimo wszystko uda mi się jakoś nawiązać łączność ze Stodwudziestką.

A w ogóle wywoływanie hasła Wielkiego Alarmu z okazji holowania jednej rakiety przez drugą byłoby czystą nieprzyzwoitością — a także zwykłym przekroczeniem przepisów. Za mała rzecz na tak wielką sprawę.

Przy tej szybkości, z jaką obecnie szliśmy, mieliśmy jeszcze blisko pół godziny czasu do krytycznej chwili lądowania. Postanowiłem nieco się odprężyć i popływać trochę po kabinie w stanic nieważkości. Oddałem prowadzenie automatycznemu pilotowi. Wyłączyłem ciężenie i odbiłem się lekko od fotela. Uwielbiałem tę zabawę od najwcześniejszego dzieciństwa — nic tak kojąco nie wpływało na mój stan nerwowy, nieco już tego dnia nadwreżony.

Byłem ze dwa metry nad fotelem i spokojnie, powolutku obracałem się wokół własnej osi (podłużnej), kiedy radio odezwało się nagle głosem bardzo trzeszczącym i bardzo znajomym.

— Hallo! — zakrzyknął głos. — Co słyszać?

Natychmiast straciłem równowagę umysłu i ciała. Odbiłem się od tylnej ścianki kabiny i oczywiście wyrznąłem brodą w poręcz fotela.

— Hej! — wołał głos. — Ogluchłeś czy co?

— Przepraszam — spytałem w dość dużym ogłupieniu. — Kto mówi?

— Jak to kto? — usłyszałem. — Johannes Melassa.

— Nie rozumiem — jęknąłem cicho.

— Czego nie rozumiesz. Przecież holujesz mnie już dobre dwadzieścia tysięcy kilometrów!

— Brawo! — zawołałem. — Naprawił pan radio?

— Właśnie próbuję.

— Ale strasznie skrzeczy.

— Może przestanie, bo..?

I właśnie przestało. Wołałem „hej!”, krzyczałem „ho!” Krzyczałem tak głośno, że zaczęło mi

dzwonić w lewym uchu, czego nie znoszę, bo choć nie wierzę w żadne starożytne przesady, to jednak nie lubię dzwonięcia w lewym uchu. Zawsze coś się wtedy musi zdarzyć niedobrego.

Na szczęście głośnik właśnie znów zaskrzeczał:

— Ciekawe. A może by tak znów kopnąć?

— Niech pan niczego nie kopie! — wrzasnąłem. — Radio to nie piłka nożna.

— Ale czasem pomaga — zachichotał głos. — A ja bardzo lubię piłkę nożną.

— Błagam pana — powiedziałem najgrzeczniej, jak umiałem. — Proszę szanować swoje radio, bo jak pan wyląduje bez pomocy namiarów radiowych?

— Kiedy strasznie skrzeczy — skarżył się tamten głos.

— Lepiej, żeby skrzeczało, niż żeby milczało.

— Możliwe. Ale jeśli sądzisz, że... I znowu nic! Znowu cisza!

Pewnie zabrał się do dalszej naprawy jakimś takim swoim sposobem, że nic, tylko sięgnąć na dnie morza i płakać. Cóż to za dziwadło! Ostatecznie naprawić zespół łączności powinien umieć każdy dorosły człowiek. A w każdym już razie taki, który wybiera się poza Ziemię — i to na prawdziwie muzealnym zabytku, na rakiecie, jaką ogląda się głównie na filmach historycznych. Nie ukrywam: chciało mi się płakać. Że też właśnie ja i właśnie w tym dniu musiałem trafić na osobnika, który ma coś nie w porządku pod dachem!

A może ma przynajmniej odbiór?

— Halo, uwaga — rzekłem bardzo surowym głosem. — Proszę zasygnalizować, czy pan mnie słyszy?

Zamigotał światłami, ale całkiem bez sensu. Nie dał sygnału „tak”, ale nie dał też sygnału „nie”. Wyglądało, jakby coś usłyszał, ale wcale nie to, o co go pytałem. Może całkiem po prostu zaskrzeczało mu coś tylko w odbiorniku. Coś, czego nie rozumiał.

— Uwaga — powtórzyłem bardzo powoli i starannie. — Jeśli pan mnie słyszy...

— A słyszę, słyszę — odpowiedział nagle jak z dna głębokiej pieczary. — Tylko ciągle mi przerywa i...

I znowu mu przerwało.

— Słowo honoru — rzekłem na głos. — To skandal!

— Co jest, kotusiu, skandalem? — odezwał się znów głos Johannes Melassy.

Wtedy dopiero przeżyłem chwilę olśnienia. Jak mogłem tak późno uprzytomnić sobie, skąd ja znam tę twarz i co oznacza, owo imię i nazwisko — Johannes Melassa — nad którym przed chwilą jeszcze przeszedłem do porządku dziennego! Przecież o człowieku tego imienia i nazwiska uczyłem się w szkole podczas lekcji historii najnowszej. Jeden z pierwszych badaczy Saturna, wspaniały pilot, wielki konstruktor. Zaschło mi w gardle i skuliłem się w sobie. To musiał być tylko przypadkowy zbieg okoliczności. Ten Johannes Melassa nie mógł być przecież prawdziwym Johannesem Melassą!

Mimo owego przeświadczenia przez długą chwilę nie byłem w stanie się odezwać. On zaś najwyraźniej zaniepokoił się moim milczeniem.

— Hej, kolego! — spytał nieoczekiwanie czystym głosem, — Usnąłeś tam przy sterach czy co?

— Prze... prze... — Nie rozumiem!

— Prze... proszę — wyjąkałem. — Czy... czy... czy pan jest może krewnym tego... tego wielkiego Johannes Melassy?

— Krewnym? — zaśmiał się wesoły basek. — Jestem najbliższym jego krewnym, jakiego można sobie wyobrazić!

— To znaczy?... — szepnąłem.

— To znaczy, że sam i osobiście jestem tym Johannesem Melassą, który... i tak dalej. Ale to w

niczym nam teraz nie pomoże ani nie zaszkodzi.

— Ja... — jękałem dalej słabym głosem — ja chciałem bardzo... to znaczy... ogromnie przeprosić za...

— A cóż to? — pytał coraz miłszym i głębszym basem wielki Johannes Melassa. — Za to, że mi pomogłeś w dość trudnych okolicznościach, nie wypytujac ani orientując się, kto jest kto? Tym bardziej ci się chwali cała ta historia.

— Więc — pytałem wciąż jeszcze mocno ogłupiały — więc naprawił pan już łączność?

— Jak gdyby.

— I nie będzie kłopotów z lądowaniem?

— Chyba nie.

— Ale czy na pewno?

— Mój drogi! W tej chwili nic jeszcze nie można przewidzieć ani niczego powiedzieć z całkowitą pewnością. Poza tym, że zachowujesz się jak prawdziwy pilot.

Serce zabiło mi z dumy i radości jak sto dzwonów zwycięstwa.

— Ja?! — krzyknąłem. — Dziękuję, dziękuję, dzie... — Ależ proszę uprzejmie — zahuczał śmiejącym się basem Johannes Melassa. Cały koszmar z holowaniem minął. I co się okazało? Że holuję samego Johannes Melassę. Byłem tak szczęśliwy, jakby z serca spadł mi ogromny kamień. Jest to wprawdzie bardzo starożytne i głupawe określenie (jako że historia medycyny zna wprawdzie kamienie nerkowe i wątrobowe, zaś o sercowych nikt nigdy nie słyszał), ale właśnie tak mi się pomyślało. Chciało mi się śpiewać i krzyczeć z wielkiej radości. Oto ja — Paweł, nazwiskiem Kostal, syn Anny i Henryka, lat czternaście, twarz pociągła, sporo piegów na nosie i w okolicy — wyciągnąłem z ciężkiego kłopotu samego Johannes Melassę! Udało mi się go wziąć na hol — i to mimo braku doświadczenia w sposób właściwie bezbłędny. A teraz w ładnym tempie i całkiem już bezpiecznie wiodłem go na Stodwudziestkę. Po naprawieniu systemu łączności Melassa będzie mógł tam lądować równie spokojnie jak biedronka na róży. Ufff! Ale...

Tak, zawsze musi być jakieś „ale”. Kiedy ochłonałem już z pierwszej wielkiej radości, coś mi się nagle w tym wszystkim zaczęło nie zgadzać. Bo zastanówmy się: jak właściwie było to możliwe, żeby tak wielki pilot i odkrywca wybrał się w przestrzeń na wyłączonym z kosmicznego ruchu muzealnym pudle — no, i żeby próbował naprawiać zepsuty sputnik oraz własne radio przy pomocy kopania i boksowania tych dość delikatnych przyrządów?

„Coś tu nie gra, Pawełku — pomyślałem chmurząc się wewnątrz i zewnątrz. — Albo ten Melassa jest akurat takim Melassa, jak ja świetlistą rybą głębinową — albo (jeśli nim istotnie jest) robi na mój temat jakiś galaktyczny kawał”.

Można by jeszcze wynaleźć trzecią możliwość — na przykład: skleroza, zmiany starcze i w ogóle zdziecinnienie, Ale to przecież było wykluczone. W każdej encyklopedii można znaleźć datę jego urodzin. Pamiętałem ją dokładnie i bez kłopotu obliczyłem sobie, że nie ma teraz więcej jak dziewięćdziesiąt siedem lat. A więc siła wieku - bardzo jeszcze daleka od jakichś starczych kłopotów. Co więc z tym Melassa? Czyżby wysiłki wielkich lotów i wypraw tak ujemnie wpłynęły na jego umysłową sprawność? Bzdura! Przypomniałem sobie, że w ciągu ostatniego półrocza widziałem go na teleściance w najlepszej formie.

Dlatego tak męczyło mnie pytanie: skąd ja znam tę twarz? Ostatnio mówił niesłychanie ciekawe rzeczy o swoich projektach budowy transgalaktycznego laboratorium odkrywczego. A przede mną udaje zapłakanego rozbitka, udaje, że zabłąkał się w przestrzeni, pozwala się brać na hol, boksuje się z radiem i kołysze na alarmowym sputniku niby w fotelu na biegunach.

Nie ukrywam, że znowu poczułem się dość dziwnie — trochę jak konik polny na jednym ringu

ze słoniem. „Co tu właściwie się dzieje — myślałem gorączkowo — i o co w tej dziwnej zabawie chodzi?”

Myślałem, myślałem i nic rozsądnego nie mogłem wymyślić. Co gorsza, zamysliłem się w sposób tak skandaliczny, że o mało nie przeoczyłem odległości, z której trzeba się meldować Kontroli Ruchu na Stodwudziestce. Na szczęście — w ostatniej niemal chwili zdążyłem ich wywołać. Westchnąłem z ulgą: nareszcie usłyszeli, odezwali się, spytali o dane.

Podaliśmy dane osobiste, numer rakiety, zgłosiłem też, że mam kogoś na holu. Tu urwałem, aby oddać głos Melassie. Ale Melassa znowu zamilkła. Czekałem sekundę, dwie, trzy...

— A kogo masz na holu? — spytano ze Stodwudziestki.

Było mi już wszystko jedno. Niczego nie rozumiałem, ale należało postąpić wedle przepisów. Zameldowałem więc, że prowadzę na linie rakietę bardzo starego, nie znanego mi typu, numer taki a taki, którą pilotuje sam Johannes Melassa.

— Cooo?! — krzyknął dyżurny ruchu. — Czy ty masz dobrze w głowie?

Po prawdzie — sam już nie byłem tego pewien, ale wzięła mnie złość. Mimo to jakoś się opanowałem. Do moich głównych wad cała rodzina (i nie tylko rodzina) zalicza dużą pyskatość. Tym jednak razem powtórzyłem dane o Melassie tak grzecznie, uprzejmie, jakbym w ogóle nie dosłyszał idiotycznego pytania.

— Kierowniku! — usłyszałem głos dyżurnego ruchu. — Tu jest jakaś informacja nie z tej ziemi!

— A z której? — mruknąłem do siebie przez zaciśnięte zęby. Potem zaś głosem donośnym i surowym zapytałem:

— Co robić dalej?

— A dlaczego rakietą Melassy milczy? — pytał już jakiś całkiem inny, sympatyczny nawet głos.

— Nie wiem — rzekłem ponuro. — Miał awarię systemu łączności. Potem ją naprawił i jeszcze przed chwilą z nim rozmawiałem. Nic więcej nie potrafię powiedzieć.

— Uwaga, uwaga — mówił głos. — Mamy już was na radarze średniego zasięgu. Johannes Melassa proszony jest o sygnalizację świetlną.

Spojrzałem w tylni ekran i znów zaschło mi w gardle jak po biegu z przeszkodami. Rakietą Melassy nie mrugnęła nawet okiem. Usłyszałem tylko dość dziwny dźwięk — coś jakby w rodzaju tłumionego chichotu, a zaraz potem cichutkie stukanie. Nie miałem już jednak głowy na takie głupstwa, jak odbite echa lub zakłócenia fali. Znowu nie wiedziałem, co robić. A Melassa ponownie ogłuchła i oniemiała. Co będzie z lądowaniem? A do lądowania zostało nam już najwyżej siedem minut. Powtarzałem sobie gorączkowo wszystkie możliwe przepisy i zalecenia dotyczące holowania, ale nie ma co ukrywać: w głowie miałem coś w rodzaju włoskiej sałatki zmieszanej z befsztykiem tatarskim — zamiast wszystkich tamtych zaleceń i przepisów.

— Uwaga, Paweł — odezwał się wreszcie głos kierownika Ruchu. — Za pół minuty dajesz pierwsze hamowanie. Schodzisz bardzo równomiernie do trzech tysięcy na godzinę.

— Tak — powiedziałem trochę za cicho

— Nie łam się, człowieku — zaśmiał się kierownik. — Dalej, w ciągu następnych trzech minut, masz zejść na wysokość dwóch kilometrów nad lądowiskiem. Wtedy zwalniasz hol i czekasz na pozwolenie lądowania.

— A on? — spytałem. — A Melassa?

— To nasza sprawa — odpowiedział. — Niech cię o to głowa nie boli.

— Kiedy właśnie, że boli — krzyknąłem — i... i ja żądam...

— Koniec dyskusji. Wykonać polecenie. Meldować.

Brzmiało to tak, że rzeczywiście nie pozostawało nic innego, jak skończyć dyskusję i zacząć wykonywać polecenia oraz meldować ich wykonanie. Meldowałem: szybkość osiem tysięcy,

sześć, cztery i pół, trzy. Odległość od Stodwudziestki: osiemnaście tysięcy. Pełna sprawność rakiety,

Poczułem jednak, że hol robi się coraz luźniejszy. A zatem Melassa. całkiem inaczej wyhamowuje szybkość niż ja. Wyglądało na to, że wysiadła mu nie tylko łączność, ale nawalają także szybkościomierze i wysokościomierze. Jak on wyląduje? Jak go ratować?

— Słuchajcie! — krzyknąłem. — Jak go ratować?

— Powtarzam: to nasza sprawa — usłyszałem ostry głos. — Schodzić do dwóch kilometrów,

— Ale...

— Wykonać!

Zaciąłem zęby z wściekłością i rozpaczą. Zacząłem schodzić do dwóch kilometrów z taką uwagą, jakby to był szkolny egzamin. A tymczasem światła Johannaesa zeszły w lewo ode mnie i zbliżyły się coraz bardziej. Byłem już na czterdziestym, na dwudziestym piątym, na osiemnastym kilometrze wysokości...

I nagle zaparło mi dech. Oto ujrzałem tuż obok siebie raketę Melassy. Odrzucił hol tak delikatnie, że ledwo to odczułem — i już był na drugim kilometrze, czyli na tej wysokości, na której każdy rozumny pilot ustawia swoją raketę na ogonie i powolutku zmniejszając ciąg silników siada na lądowisku z tak czułą łagodnością, jak kwoka na ciepłym piasku.

Widziałem wyraźnie: na wielkiej płaszczyźnie lądowiska Stodwudziestki ciasno było jak w lesie. Wypadało więc zachowywać się z wielką ostrożnością i uwagą. Tymczasem Melassa zachował się po prostu jak genialny wariat. Patrząc na to, co robi, zakląłem ze strachu i podziwu w sposób nie nadający się do powtórzenia.

Dlaczego? A właśnie! Dlatego, że Melassa pozwolił sobie przed lądowaniem na dwa całkiem cyrkowe, wspaniałe akrobatyczne koziołki, a potem jak gdyby nigdy nic, spokojniutko i z wielką elegancją usiadł w wyznaczonym sobie miejscu.

Odetchnąłem z ulgą, ale natychmiast potem aż zatkało mnie ze złości. Tyle się o niego nabałem, natroszczyłem — a tymczasem wszystko okazało się jedną wielką bzdurą. Stary grubas zrobił ze mnie balona, głuptaka i ciełę, które dało się złapać na jakiś nie całkiem zrozumiały, ale całkowicie ośmieszający mnie kawał.

Byłem już na czwartym kilometrze. Zwinąłem linę holu. Na lądowisku zabłysnął pode mną zielony kwadrat, na którym nakazywano mi usiąść.

Włączyłem mechanizm lądowania, sprawdziłem raz jeszcze namiary — i wreszcie powoli i z wielką godnością siadłem na samym środku wyznaczonego kwadratu.

— Brawo, Pawełku! — krzyknął mi wprost w uszy wesoły bas Melassy.

„Dam ci ja Pawełka” — pomyślałem.

— Dziękuję uprzejmie — rzekłem lodowatym głosem i spytałem kierownictwo Ruchu, czy mogę się zgłosić w ważnej sprawie osobistej. Miałem co nieco do pogadania z szanownym Johannesem Melassa. I z nim samym — i na jego temat.

— Bardzo proszę — odpowiedział głos kierownika Ruchu. — My też mamy do ciebie pilną sprawę.

Zrobiło mi się trochę nieswojo. A cóż to znowu? Jaką oni mogą mieć do mnie „pilną sprawę”?

Nie złamałem żadnego z przepisów. Wszystkie możliwe kłopoty i „sprawy” zaczęły się od spotkania z Johannesem Melassa — i jeśli ktokolwiek w całej tej historii coś napsuł i naplątał, to przecież tylko on, nie ja.

Ostatecznie ten wielki, ale całkowicie nieodpowiedzialny facet wyszedł ze strefy ziemskiej na rakięcie zdartej jak stary kapeć. Ze sputnikiem alarmowym i z własną łącznością postępował niczym szympanś z orzechem kokosowym. Zachowywał się skandalicznie. Lądował w sposób

nieodpowiedzialny. I w ogóle... już połowa tego, co miałem o nim do powiedzenia, wystarczyłaby na co najmniej roczną utratę karty pilotażu.

— Pilot XL-218 — odezwał się dość surowy głos kierownika Ruchu. — Czy mam przysłać po was sztuczną niańkę?

— Idę już! Idę!

Powiedziałem, że idę, głosem niby dziarskim. Gramoliłem się jednak z rakiety, jak mogłem najwolniej. Ni z tego, ni z owego poczułem się niby gąsienica, która na prostej drodze spotyka się z walcem drogowym. Sam przed chwilą zgłosiłem się do Ruchu, żeby wypowiedzieć swoje uwagi na temat zachowania się Melassy. A teraz mam złożyć na niego doniesienie, dlatego że się trochę zabawił moim kosztem i co nieco mnie rozzłościł?

— Nie, kochany — rzekłem do siebie. — To się po tobie nie pokaże.

Dobrze. Ale przecież oni też mają do mnie swoją własną „pilną sprawę”. Dopiero teraz rozjaśniło mi się w głowie: na pewno zaczną wypytywać o Melasę! Jeśli nawet ja będę próbował skrócić rozmowę na kosmibus szkolny i księżycową wycieczkę — to oni na pewno nie są tacy naiwni, żeby im to wystarczyło. Kiedy zaczną pytać, muszę odpowiadać.

Ach, ten dzień! Jak się zaczął, tak się rozwija. Trafiłem na ruchomy chodnik oznaczony kierunkowskazem „Kontrola Ruchu”, Wjechałem pod dach Stodwudzistki — minąłem dwie kabiny ciśnieniowe. Wreszcie znalazłem się we wnętrzu sztucznego księżyca. Szedłem za strzałkami prowadzącymi do kierownictwa Ruchu. Mijałem pracownię meteorologów, zespoły badań promieniowania, biuro konserwacji sputników torowych — a za każdym krokiem robiło mi się coraz goręcej i goręcej, pot zalewał mi oczy i spływał po karku, jakby to była pustynia, a nie Stodwudziska. No i oczywiście znowu sam mogłem sobie za to podziękować, bo w całym swoim wielkim zmartwieniu po prostu... zapomniałem zdjąć hełm i skafander. Jakaś fascynująca blondynka (w sam raz dla Lutka), która wyszła z którejś pracowni meteorologów, popukała mi palcem w mój hełm.

— Ugotujesz się w tym wszystkim, mój drogi — powiedziała miłym nawet głosem.

— Na twardo czy na miękko? — spytałem rozszłoszczony niezwykle, ale ona, śmiejąc się wesoło, znikła już w jakichś drzwiach,

Nie ma co ukrywać: miała racje. Ściągnąłem z siebie mój kosmiczny garniturek, ochłoniłem nieco, otarłem czoło. W istocie jednak nadal czułem się jak podgotowany. I to raczej na miękko. Znalazłem się wreszcie przed drzwiami kierownictwa Ruchu. Dość długo trwało, nim zdecydowałem się dotknąć ich powierzchni. Otworzyły się natychmiast, a ja westchnąłem i wszedłem do środka.

W gabinecie kierownictwa znajdowały się cztery osoby: kierownik, dwaj dyżurni oraz siedzący pod ścianą, niby na ławie oskarżonych, Johannes Melassa. Wcale nie był taki tęgi ani taki komiczny jak w skafandrze. Miał dość nieszczęśliwą minę, nerwowo rozcierał dłonie — ale równocześnie przyglądał mi się bardzo uważnym wzrokiem.

Podąłem kierownikowi swoją kartę pilotażu, skłoniłem się, czekałem.

Kierownik miał szeroką i wesołą twarz Afrykańczyka i nieco szpakowate włosy. Po oczach było widać, jak potrafi się śmiać. Tym jednak razem nawet mu wargi nie drgnęły. Przejrzał kartę, oddał mi ją.

— Dobrze — powiedział. — W porządku. A teraz proszę o krótkie wyjaśnienia. Po pierwsze: dlaczego wzięłeś kurs na Stodwudzistkę? Po drugie: jak wyglądało twoje spotkanie z Johannesem Melasą? Po trzecie: jak twoim zdaniem przebiegało i jak zakończyło się holowanie wyżej wymienionego?

Spojrzałem raz jeszcze na Johannaesa, ale on nie patrzył już na mnie. Westchnął tylko ciężko i

gapił się w sufit, jakby działały się tam jakieś niezwykle ciekawe sprawy.

— Czy długo jeszcze — spytał kierownik — mamy czekać na wyjaśnienia?

Zebrałem się jako tako w sobie i zacząłem odpowiadać na zadane przed chwilą pytania. Najpierw w kilku zdaniach opowiedziałem historię spóźnienia na nasz kosmobus, następnie oświadczyłem, iż otrzymałem zezwolenie na pogoń za nim aż do linii sztucznych księżyców.

— Niestety — dodałem — na skutek kolejnego opóźnienia spowodowanego spotkaniem z Johannesem Melassą moja pogoń jest już chyba daremna.

Jeden z zastępców kierownika podsunął mi jakąś notatkę. Kierownik pokiwał głową.

— Obawiam się — stwierdził nie bez złośliwości — że się nic mylisz. Tym bardziej że na Stodwudziestce zatrzymał się w drodze na Księżyc kosmobus z innej niż twoja szkoły.

Natomiast ten właściwy zgłosił się ze Stoszesnastki oddając cię do mojej dyspozycji. Wasza wycieczka poszła innym torem i ląduje na Księżycu na kosmodromie numer 18.

— To już koniec — szepnąłem,,

— Dlaczego?

— Odeśle mnie pan teraz do domu — Kierownik potrząsnął głową.

— Niczego jeszcze w twojej sprawie nie rozstrzygnęliśmy. Jak na razie, bardziej nas interesują twoje odpowiedzi w sprawie Johanesa Melassy.

Spojrzałem znów na Melasę. Nadal gapił się w sufit i kręcił palcami młynka na brzuchu, co wyglądało dość niepoważnie. „Trudno — pomyślałem sobie. — Wielki człowiek wielkim człowiekiem, ale pilotaż i ruch w przestrzeni kosmicznej to zbyt poważna sprawa, żebym mógł sobie pozwalać na jakieś wykręty, przemilczenia czy zwyczajne bujdy”.

Wyprostowałem się, przybrałem bardzo oficjalny wyraz twarzy.

— Po pierwsze — rzekłem — chcę tu złożyć oświadczenie o charakterze osobistym.

— Słuchamy — mruknął kierownik.

— Oświadczam zatem, iż uważam Johannes Melassy za jednego z bohaterów naszego czasu i żywię dla jego osiągnięć, jako pilota i konstruktora Wielkich Wypraw, najwyższy szacunek. Melassa dyskretnie chrząknął, ale nawet nie zerknął w jego stronę. Natomiast kierownik skrzywił się dość ironicznie.

— Bardzo ładnie. Ale my chcielibyśmy usłyszeć coś konkretnego. Nic więcej nie masz do powiedzenia?

— I owszem. Mam! — skinąłem głową.

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem Wreszcie mówić. Po kolei — i o wszystkim. O wszystkim, co zdarzyło się od mojego spotkania z Johannesem Melassą. A więc: o tym, jak huśtał się na alarmowym sputniku, jak próbował go „naprawiać” przy pomocy kopania, jak po wzięciu na hol wyprawiał bardzo dziwne rzeczy ze swoim systemem łączności, jak wreszcie — co jest chyba najgorsze — lekceważąc wszelkie przepisy dotyczące zasad holowania wyprzedził mnie nad lądowiskiem, odrzucił hol bez mego zezwolenia, a w końcu wylądował w sposób wprawdzie mistrzowski, ale całkowicie niedorzeczny i nieodpowiedzialny.

Kierownik nie patrzył na mnie. Słuchał — notował coś, obliczał. Dopiero kiedy skończyłem, podniósł na mnie oczy czarne jak księżycowa lawa.

— Hm — powiedział powoli i z naciskiem — to wszystko wygląda na bardzo poważne oskarżenie. Czy nie masz nic do dodania ani do złagodzenia w swoich zeznaniach? Myśmy tu usłyszeli na temat waszego spotkania coś innego.

Spojrzałem w nieprzytomnym zdumieniu na Johanesa. Co on im takiego mógł powiedzieć, że kierownik stwierdza: „my tu usłyszeliśmy coś całkiem innego”. Czyżby nakłamał? To niemożliwe! Patrzył teraz na mnie przymrużonymi oczami i jakby lekko się uśmiechał. A ten

uśmiech był sympatyczny. Obiecałem sobie jednak, że dam się zastraszyć ani zbić z tropu. Niech mi nawet kartę pilota, niech skonfiskują raketę — nie dam się zastraszyć.

— Stwierdzam — powiedziałem silnym głosem — że nie mam nic więcej do powiedzenia ponad to, co już powiedziałem. A gotów jestem powtórzyć swoje zeznania przed każdym, kto tego zażąda. I w żadnym przypadku nie zmienię ich.

Usłyszałem, że Melassa wstaje i podchodzi do mnie. Udałem, że tego nie słyszę. Byłem przygotowany na najgorsze, ale przecież postanowiłem sobie, że nie dam się złamać. Melassa położył mi rękę na ramieniu — a wtedy ujrzałem uśmiechy na twarzach kierownika i jego zastępców. Tak! Najwyraźniej patrzyli na mnie uśmiechając się — i to w bardzo przyjacielski sposób. Niczego już nie rozumiałem.

Chciałem krzyknąć: „Co to za nowy kawał?” — ale przecież nie wypadało. Westchnąłem tylko z ostateczną rezygnacją.

Wreszcie usłyszałem tuż nad sobą głos Johanna Melassy:

— Jako nadzwyczajny inspektor Ruchu — mówił — stwierdzam, że Paweł Kostal na rakiecie typu XL-218 wykazał bardzo wysoką sprawność oraz godne wielkiego uznania poczucie solidarności i obowiązku. Podczas całej próby, na jaką go wystawiłem, zachował się w sposób nienaganny. Na tej podstawie jestem zdania, że Pawłowi można, a nawet należy przyznać nową kartę pilotażu, wyższą o cały stopień. Proponuję przyznanie mu V-go stopnia sprawności z wpisaniem do karty, że jest to mój wniosek.

A więc jednak był to kawał! Ale jaki niezwykły i wspaniały!

Po prostu zapomniałem języka w gębie, a w głowie przez chwilę miałem całkowicie kosmiczną próżnię. Słyszałem wprawdzie o próbach sprawności pilotażu przeprowadzanych przez nadzwyczajnych i zwyczajnych inspektorów Ruchu, ale zdarzały się one prawie wyłącznie na dalekich trasach — na torach do Marsa lub do Wenus. Tymczasem trafiło na mnie, i to na tak łatwym torze, jak Ziemia — Stodwudziestka. I udało się. W pierwszej chwili chciałem rzucić się na szyję Johannesowi, nie byłem jednak przecież dzieckiem. Musiałem raz i drugi odchrząknąć, żeby móc przemówić całkiem normalnym głosem.

Wyrecytowałem więc najpierw normalną formułę, że dziękuję, że postaram się nadal podnosić swoją sprawność, że nie zawiodę zaufania i tym podobnie. Potem wszyscy czterej uścisnęli mi rękę, a jako ostatni zrobił to sam Melassa.

Wziął z rąk kierownika Ruchu moją nowiutką kartę pilotażu i wręczył mi ją. Mrugał przy tym do mnie lewym okiem i uśmiechał się bardzo sprytnie i wesoło. Schowałem kartę do kieszeni na piersiach — a następnie podskoczyłem w górę i krzyknąłem „hura!”, aż tamtym czterem zahuczało w bębenkach. Melassa skrzywił się tak, jakby rozgryzł pastylkę multiwitaminy.

— Co się tu dzieje? — spytał. — Czy ja jestem w Kierownictwie Ruchu na Stodwudziestce, czy w zakładzie dla śpiewających pawianów?

— Bardzo przepraszam — powiedziałem już spokojnie — ale jest to jeden z najpiękniejszych dni mego życia, mam więc chyba moralne prawo do podskakiwania oraz do krzyku.

Ale nagle przypomniałem sobie, że mimo tej pięknej przygody wcale nie jestem w porządku. Spotkanie z samym Melassą, otrzymanie V stopnia pilotażu i udana próba holowania — tym wszystkim będzie się można chwalić i chwalić. Mógłbym postawić swoją raketę przeciw zgniłym orzechom, że nawet Lutkowi cała ta historia zaimponuje. Mimo to nadal byłem ciężko spóźniony w pogoni za szkolnym kosmobusem — i nikt mnie za to łamanie dyscypliny ani nie pogłodzi po głowie, ani nie poklepie po plecach. Częściowe usprawiedliwienie miałem: próbę pilotażu. Ale to było mimo wszystko za mało jak na zasady szkolnej dyscypliny. I tak oto z wielkiej radości popadłem w ciężkie przygnębienie.

Kierownik ze swoimi zastępcami opuścili już gabinet. Zostałem sam na sam z Johannesem Melassa, wielkim i wspaniałym człowiekiem. Może on mi poradzi, jak wybrnąć z tej przeklętej sytuacji? Skrzywiłem się bardzo żałośnie i podniosłem na niego wzrok.

— Hej — zapytał. — Co się znowu dzieje?

— Wszystko pięknie — westchnąłem — ale nadal jestem piekielnie spóźniony za naszą wycieczką. Z tego wszystkiego mogą wyjść duże nieprzyjemności. Kiedy nawet odliczą mi czas pilotażowej próby, to i tak spóźnienie będzie spóźnieniem.

— Prawda.

— Chyba żeby...

— Żeby co?

Starąłem się przybrać możliwie pokorny i niewinny wyraz twarzy. Melassa tylko pokiwał głową.

— Aha — powiedział. — Już wiem, co się tu komu zachciewa. Samotny spacer na Księżyc.

Tak?

— Przecież jak...

— Pytam: tak czy nie?

W głosie Johanna posłyszałem twarde nutki, zrozumiałem też, że nie ma co udawać niewiniątka, tylko trzeba powiedzieć po prostu, co się myśli.

— Tak! — powiedziałem. — Karta pilotażu V stopnia, którą dziś otrzymałem, daje prawo swobodnego poruszania się na wszystkich osobowych trasach Ziemia—Księżyc i odwrotnie.

Tak czy nie? Melassa skrzywił się nieco.

— Właściwie... Przerwałem mu dość bezczelnie:

— Przepraszam bardzo, ale ja nie pytałem o żadne „właściwie”, tylko: tak czy nie?

Melassa roześmiał się wspaniałym i mądrym śmiechem, jakby miał co najmniej trzydzieści zębów mądrości.

— Tak! — zawołał. — Muszę powiedzieć „tak”,

— A więc... co mam robić?

Melassa przytknął palec do nosa w wielkim jakby zamyśleniu i rzeczywiście zamyślił się na długą chwilę. A minie przecież spieszyło się — i to coraz bardziej. W dodatku nie powiedziano mi jeszcze, jakie zlecenie otrzymała dyspozytornia Ruchu Stodwudziestki z naszego kosmobusu. Czy kazano mi gonić ich, czy też po prostu wracać do domu i do tego zwariowanego Domka z całą jego przewrażliwioną osobowością? To byłoby najgorsze. Nieobecność (i to nie usprawiedliwiona) mogłaby zaważyć na całej mojej rocznej klasyfikacji. Nie byłoby to wprawdzie żadne wielkie nieszczęście, bo i tak miałbym lepsze noty niż na przykład moi rodzice z tego czasu, kiedy sami jeszcze tuptali do szkoły. Za to Lutek mógłby zatruć mi życie. Domowy geniuszek! Nigdy nic z nim nie wiadomo. Nie miałem czasu ani ochoty tłumaczyć tego wszystkiego Melassie. On jednak bez żadnego wielkiego gadania od razu się zorientował, że sprawa jest ważna. Mimo to wyglądało, że sam jest całą sytuacją zaniepokojony i że nie bardzo wie, co właściwie można mi poradzić.

— Przepraszam — powiedziałem. — Ale przecież trasa ze Stodwudziestki na osiemnasty kosmodrom Księżyca to nic nadzwyczajnego. Byłem tam kiedyś z rodzicami w o wiele słabszej niż moja rakiecie. I w ogóle...

— W ogóle jest niedobrze — rzekł Melassa. — Trasą transportowców nikt cię na Księżyc nie puści,

— Ale jest przecież tor osobowy.

— I owszem, jest. Tylko że dziś jest wyłączony z ruchu na całe cztery godziny.

— Jak to? — jęknąłem. — Dlaczego?

— Zastanów się, człowieku — powiedział ponurym głosem. — Nic nie słyszałeś o dorocznych rajdach na trasie Stodwudziesiątka—Księżyc?

— No to już koniec — szepnąłem i aż musiałem przysiąc w najbliższym fotelu.

Oczywiście pamiętałem o tych sierpniowych rajdach (kategorii młodzików), zapomniałem tylko o tym, że właśnie dzisiaj taki rajd się odbywa. Jasna rzecz: tor zablokowany na cztery (żeby tylko na cztery!) godziny, więc nic innego mi nie pozostaje, jak pójść do najbliższego bufetu na kaszkę manę, a potem wracać do domu i wprawić Domkowi do łba starożytny zegar z kukułką, która przypominałaby mu o tym, że czas płynie i trzeba go pilnować. Ale to też na nic. Pierwszy ojciec — kiedy zapozna się z całą tą obłąkaną historią — od razu wystąpi w obronie Domka i poradzi mi, żebym sam sobie wsadził budzik w szyszynkę albo w lewy płat czołowy.

— A więc wszystko na nic — szepnąłem podnosząc oczy na skłopotanego Melassę.

— Tak sądzisz? — spytał z całkiem nowym wyrazem twarzy.

Na chwilę mnie zatkało. Zatkało mnie nagle, nieoczekiwane natchnienie. Zrobiło mi się jasno w oczach, chwyciłem Melassę za obie ręce.

— Pan mi pomoże! Prawda?

— Tak sądzisz?

— Jestem pewien.

— A w czym mianowicie mam ci pomóc?

— Przecież... — mówiłem gorączkowo — przecież nie ma żadnych przeciwwskazań, żebym ja też wziął udział w rajdzie! Rajd jest w kategorii młodzików i dla posiadaczy V stopnia pilotażu. Właściwie zaliczam się już do kategorii młodzików. Tak czy nie?

— Tak.

— A kto mi ofiarował dziś kartę V stopnia pilotażu?

— Ja.

— A więc?

— Po pierwsze — mówił Melassa z miną wielce niby surową — twoje zgłoszenie w zasadzie jest zbyt późne. Po drugie, nie masz za sobą żadnego treningu rajdowego. A po trzecie...

— Co po trzecie?

— Po trzecie, spróbuję ci pomóc — dokończył stanowczym tonem. — Idź do bufetu, przekaś co bądź, a przede wszystkim bierz mapę trasy rajdowej i spróbuj ją sobie przestudiować.

Wziął z bocznego stołu całkiem obszerną mapkę, wetknął mi ją w ręce i wypchnął za drzwi, wskazując drogę do bufetu.

Była to wielce mądra rada. W pośpiechu, z jakim wylatywałem z domu, zapomniałem w ogóle o jedzeniu (o ile Domek w ogóle był łaskaw cokolwiek przygotować), a teraz czułem coś w rodzaju podwójnego ssania w dołku. Pierwsze ssanie pochodziło z niepokoju, czy cokolwiek uda się zdziałać w sprawie ewentualnego wejścia do rajdu. A drugie? Sprawa prosta — zgłodniałem niby gżegżółka na pustyni Gobi. A że mam dość wrażliwe powonienie, poszedłem za węchem i w minutę znalazłem się w najbliższym bufecie.

Kiedy wszedłem do bufetu, musiałem wyglądać dość głupio. W jednej ręce wlokłem skafander, w drugiej hełm i mapkę, która właśnie mi się rozwinęła niczym starożytny sztandar. W dodatku cały prawic bufet był zajęty i jedyne wolne miejsce znajdowało się przy stoliku, przy którym siedziała owa fascynująca (w sam raz dla Lutka) blondyna, zajadając się jakąś wspaniałą porcją lodowych kremów. Miałem ją na wątrobie, bo ona właśnie ostrzegła mnie przed przedwczesnym ugotowaniem się. Teraz jednak patrzyła na mnie dość przyjaźnie, a nawet uśmiechała się w sposób całkiem ludzki.

— Czy mogę? — spytałem. — Czy mogę się przysiąc?

— Oczywiście.

Złożyłem jako tako skafander i hełm obok wolnego krzesła. Na krześle położyłem mapę i podszedłem do automatów wydających jedzenie. Byłem głodny jak rzadko, przed rajdem nie należało jednak przeciążać sobie żołądka. Wziąłem więc tylko kilka ciepłych grzanek i taką samą porcję lodowych kremów, jaką jadła owa blondynka.

W milczeniu usiadłem przy stole, rozłożyłem przed sobą mapę i zacząłem jeść przyglądając się trasie. Nie można powiedzieć, żeby była łatwa. Oplatała tor osobowy szeregiem pojedynczych i podwójnych pętli i spirali miała dwa punkty kontrolne, w których należało zejść do szybkości najniższej, prostych zaś, szerokich odcinków, na których można by łatwo wyprzedzać, było zaledwie cztery.

Brałem już wprawdzie udział w kilku szkolnych rajdach, ale przede wszystkim na ziemskich trasach, a raz tylko na przestrzeni Ziemia — Sztuczny Księżyc Czterdzieści Osiem. Udało mi się wtedy zdobyć czwarte miejsce (i właśnie wówczas otrzymałem VI stopień pilotażu).

Ale wszystko tamto — widziałem teraz wyraźnie — były to tylko dziecinne rozrywki. Dziś po raz pierwszy zetknąłem się z rajdem, choć młodzieżowym, to naprawdę trudnym. Nabajałem co nieco Melassie, że latałem już na trasie Stodwudziestka—Księżyc, ale po pierwsze, było to dość dawno, a po drugie, prowadzili wtedy ojciec, matka i Lutek — a ja dostałem stery wszystkiego na jakiś kwadrans, i to w najłatwiejszym miejscu. Teraz zaś miałem przed sobą mapę prawdziwej i prawdziwie trudnej trasy rajdowej.

Nie ma co ukrywać — wystraszyłem się co nieco. Nie groziło mi wprawdzie żadne prawdziwe niebezpieczeństwo. Automatyczny pilot włączony w każdej rakiecie nie mógł wprawdzie wykonywać rajdowych ewolucji, zabezpieczał jednak raketę przed możliwym zderzeniem. Każdy natomiast rajdowiec, który stwarzał możliwość zderzenia, który wyprzedzał w miejscach niebezpiecznych, blokował drogę, mylił trasę i tym podobnie — natychmiast zostawał wyłączony z konkurencji i musiał wracać do miejsca startu. W dodatku, jeśli przewinienie było poważne, obniżano mu stopień karty pilota, a w wypadku szczególnie niebezpiecznych błędów — aż dwa stopnie.

Kiedy to wszystko sobie uprzytomniłem, podniosłem wzrok i zagapiłem się rozpaczliwie a tępo przed siebie, nie wiedząc nawet o tym, że gapię się wprost w piękne oczy swojej sąsiadki. Oto pojąłem rozmiar ryzyka, jakie na siebie biorę: przed kilkunastu minutami uzyskałem V stopień pilotażu — i to za wstawiennictwem samego Johannesa Melassy. A teraz gotowym urzędnikiem sobie taki pasztet, że mogą mi odebrać aż dwa stopnie. Regulamin rajdu wyraźnie o tym wspominał. I dlatego właśnie z takim tępym poczuciem niebezpieczeństwa i rozpaczem zapatrzyłem się — nie wiedząc o tym — wprost w oczy swojej sąsiadki.

— Coś nie w porządku? — spytała.

Musiała jednak powtórzyć swoje pytanie raz jeszcze, zanim zdołałem odpowiedzieć.

— Nic specjalnego — mruknąłem.

— Rajdowiec?

— Niby rajdowiec.

— Dlaczego „niby“?

Nie było czasu na opowiadanie całej historii, więc tylko bezradnie rozłożyłem ręce i powiedziałem tej coraz bardziej sympatycznej osobie, że dopiero od pięciu minut o swoim starcie. Ona zaś roześmiała się wielce urodziwie i najpierw spytała, czy to ja jestem ten Paweł, który holował samego Melassę — a zaraz potem chciała się dowiedzieć, czy to mój brat pracuje w Instytucie Wielkich Wypraw na Marsie.

— Aha — powiedziałem. — Rozumiem.

Dopiero teraz zarumieniła się wyraźnie, ale wcale nie tyła speszona i dodała jeszcze, że stara się o przeniesienie na Marsa, bo chciałyby być bliżej Lutka

— A Lutek pewnie chciałby być bliżej ciebie — powiedziałem.

Skinęła głową, westchnęła lekko, a potem podała mi rękę na pożegnanie,

— Trzymaj się, stary. To w końcu nic strasznego. Jestem pewna, że pójdziesz ci dobrze. Może nawet lepiej niż dobrze.

Patrzyłem, jak odchodziła. Szła lekkim, pięknym krokiem. Tak, to była naprawdę pierwszorzędną dziewczyną. Pogratulowałem Lutkowi gustu i szczęścia. Zaraz potem znów pochyliłem się nad mapą i muszę stwierdzić, że po tej krótkiej rozmowie z Lutkową dziewczyną — którą zapomniałem spytać, jak się nazywa — od razu poczułem się lepiej. „Oczywiście »trzymaj się, stary«" — powtórzyłem sam sobie — bo i tak w tym wszystkim nie ma nic strasznego. Jest wiele do stracenia, ale jest też mnóstwo do zyskania. Jeślibym jakimś niepojętym cudem znalazł się w pierwszej piątce, mógłbym otrzymać jeszcze jeden, wyższy stopień pilotażu: czwórkę! Taką samą czwórkę, jaką w całej naszej rodzinie ma tylko Lutek. Byłby to jeden z najlepszych kawałów, jaki udałoby mi się w życiu zrobić. A rodzice? Na pewno zorganizowaliby całe wielkie rodzinne święto i, być może, poniekąd wujowie i kuzynki przestaliby mi wreszcie powtarzać, że Lutek jest taki niezwykły, a ja... I tak dalej.

Muszę więc obiektywnie przyznać, że dziewczyna Lutka naprawdę dodała mi sporo nadziei. Tylko co dalej? Nikt mnie nie wzywa przez megafony. Melassa znikł w niewiadomym kierunku. A ja, jak kto głupi, siedzę przy stoliku w pustym już prawie bufecie nad rajdową mapką i znowu zaczynam się łamać — tym razem ze strachu, że Komisja Sędziowska w ogóle nie przyjmie mego zgłoszenia. W takim wypadku trzeba będzie wrócić do kierownika Ruchu i pokornie pytać, co mam robić z tym tak pięknie rozpoczętym dniem. Na pewno odeśle mnie do domu jak zbłąkaną w czarnym lesie owieczkę.

Odepchnąłem jednak jakoś te niedobre myśli od siebie. Znowu wpatrzyłem się w mapkę. Zacząłem nawet robić notatki na temat poszczególnych odcinków trasy, gdzie będzie można uzyskiwać górną granicę szybkości, jak wchodzić w pętlę, gdzie mniej więcej rozpoczynać hamowanie przy podchodzeniu do punktów kontrolnych. Były to jednak notatki bardzo pobieżne i bardzo niedokładne.

Inni, dawno już zgłoszeni rajdowcy, na pewno kilka razy, i to przy pomocy maszyn liczących, opracowali sobie całą trasę. Ja ze swoimi bazgrołami byłem przy nich niby nieletni jamnik wobec stada dorosłych syberyjskich chartów. Mimo to „trzymaj się, stary" — powtórzyłem sobie raz jeszcze. Przyjdiesz ostatni? No i co z tego? Zawsze musi być ktoś pierwszy i ktoś ostatni. Bez takiego układu rzeczy nie ma żadnego sportu ani żadnej innej dziedziny ludzkiego życia. Trzeba będzie chyba przegrać — byle z godnością. I przede wszystkim bez żadnych rażących błędów. Bez żadnego szczeniackiego podskakiwania i robienia z siebie pilota Wielkich Wypraw. Jedno jest ważne: muszę się dostać na Księżyc na Osiemnasty Kosmodrom. A że jest to możliwe obecnie tylko poprzez udział w rajdzie — trudno. Zgłosiłem się do zawodów tylko z konieczności. Nie po to, żeby brać nagrody i wygrywać, ani po to, żeby narażać się na utratę stopnia pilotażu.

— Uwaga, uwaga! — odezwał się megafon. — Uczestnicy rajdu proszeni są do głównej sali startowej przy kosmodromie strony księżycowej.

Usłyszawszy to wezwanie zerwałem się z krzesła, złożyłem mapę, chwyciłem pod pachę skafander z hełmem — i co? I nic. Przecież nie miałem jeszcze najmniejszego pojęcia, czy jestem wpisany na listę startujących, czy też mogę ze spokojnym smutkiem wziąć sobie jeszcze jedną porcję lodowych kremów, które były naprawdę znakomite.

— Powtarzam — odezwał się megafon. — Uczestnicy rajdu są proszeni...

I w tejże chwili przestałem słuchać owego dudniącego głosu. Albowiem w drzwiach bufetu ukazał się właśnie Johannes Melassa. Był wyraźnie zdyszany, włosy miał w nieładzie, a w ręce trzymał kilka lśniących kartek.

Poczułem ucisk w gardle. Czyżby to miały być dokumenty uprawniające mnie do uczestnictwa w rajdzie?

Nie mogłem ruszyć się z miejsca i tylko gapiłem się na Johanna głupim okiem, póki nie wrzasnął na mnie niby tygrys na mrówkę,

— Co jest, do stu miliardów amperów?! — krzyczał, aż echo szło po sali. — Czy pilot piątego stopnia imieniem Paweł, nazwiskiem Kostal, z rakiety typu XL-218 nie słyszy, że wzywają go do głównej sali startowej?

I tu roześmiał się. Oczy miał jak dwa księżycy w pełni. Złapał mnie za kark, wepchnął w rękę ów plik lśniących kartek i już w dwie sekundy później znaleźliśmy się na głównym ruchomym chodniku Stodwudziestki.

Wielokrotnie mnie potem pytano, co wtedy czułem i o czym myślałem. Odpowiadam: nie pamiętam, nie wiem. Wydaje mi się, że miałem w głowie coś w rodzaju gigantycznej wirówki idącej na najwyższych obrotach. Byłem bardzo szczęśliwy, że przecież się udało. A równocześnie ogarniał mnie lęk — nie miałem bowiem najmniejszego pojęcia, czy z tego wszystkiego cokolwiek wyjdzie. Mogę przecież palnąć takie głupstwo, że będą się ze mnie śmiali od Merkurego po Saturna,

W ten sposób każdemu plusowi odpowiadał jakiś minus. A zatem nie wirówkę miałem we łbie, tylko jedno potężne kręcące się zero. Nie bardzo nawet słyszałem, co mówi Melassa, i chyba nie odpowiedziałem na jakieś jego pytanie, bo potrząsnął mną, spytał, czy ogłuchłem i czy przypadkiem nie trzeba kopnąć mnie w ucho.

— Przepraszam. Ale ja...

— Nie masz co przepraszać — śmiał się Johannes. — Rozumiem. Strach zjada ci rozum. Ale musisz słuchać, co do ciebie mówię.

— Słucham — westchnąłem w nagłym poczuciu beznadziei.

— Ej, Paweł! — zezłościł się nagle Melassa. — Co to za dziewicze wzdychania? Jak masz takiego stracha, to mogę cię w każdej chwili wycofać z tej imprezy. Chcesz?

— Nie! Nigdy!

— Wobec tego słuchaj, co mówię: zostałeś dopuszczony na listę rajdowców. Masz bardzo dobrą rakietę, ale zgłosiłeś się w ostatniej chwili i nie miałeś żadnego treningu. Z tych powodów komisja zaleciła dać ci ostatni, to znaczy trzydziesty dziewiąty numer startowy. Między nami mówiąc zalecono też po cichu, żebyś nie starał się nikogo wyprzedzać. A ja ca radzę, żebyś tylko grzecznie trzymał się ogona idącego przed tobą zawodnika numer trzydzieści osiem,

- Oho! — powiedziałem. — Nie wolno mi wyprzedzać? Nie znam takiego przepisu. To może być dobre zalecenie dla sztucznych żółwi i żywych ślimaków. Ale nie dla pilotów V stopnia.

— Bardzo słusznie — zaśmiał się Melassa. — Mnie to powiedziano nieoficjalnie i po cichu. A ja zapomniałem ci powtórzyć. Jasne? Radzę ci tylko trzymać się swego poprzednika.

— Zgoda. Ale dlaczego?

— Zobaczysz, Aha! Jeszcze jedno. Jesteś tym razem jedynym przedstawicielem Środkowej Europy. Zapamiętaj to sobie, kotusiu, bo jak się mocno wygłupisz, to krewni, przyjaciele oraz kilka dobrych milionów znajomych i nieznanym ci tego na wieki.

No tak! Tylko tego mi jeszcze brakowało! Cała ludzkość od dwustu pięćdziesięciu lat była już jedną wielką rodziną. Narody zachowały swoje języki, kulturę i historyczne tradycje — ale z

każdym można było się najdokładniej porozumieć „uniwersalikiem”, wspólnym dla całej ludzkości językiem powszechnym. Mama na przykład pisała większość swoich wierszy po polsku, ale niemało także w języku uniwersalnym. Z historii znałem rzeczy okrutne i strasznie, które działy się z ludzkością przez wiele wieków, póki nie przyszedł Pierwszy Dzień Pokoju i Porozumienia i nie odmienił świata.

Coś tam jednak z dawnych obyczajów po dziś dzień zostało, szczególnie w sztuce i w sporcie. Przede wszystkim w sporcie. Bo chociaż wszyscy wszystkim i sobie powtarzali: „Niech zwycięża najlepszy!”, to jednak zawsze trochę lepiej biło się brawo i krzyczało „hura!”, kiedy wygrywali ci trochę bliżsi, z bliższej okolicy, z ojczystych kręgów niż ci z przeciwnej półkuli, z innego kontynentu czy z innej planety. Tak! Tylko tego mi brakowało, żebym ja był jedynym reprezentantem Środkowej Europy. Po tej wiadomości aż się lekko sam w sobie zatoczyłem. Przecież jeśli wypadnę z trasy albo przyjdę ostatni, to nawet najbliżsi będą patrzeć na mnie smutnym i miłosiernym okiem. Ci zaś nie najbliżsi pomogą mi zniechęcić się na dłuższy czas do życia, które choć jest wspaniałe, to jednak nie zawsze.

— Jestem jedyny ze Środkowej Europy? — spytałem.

— Tak.

— A pan, przepraszam, skąd?

— Też Środkowa Europa. Republika Węgier. Ale to nic nie znaczy, bo ja nie biorę udziału w rajdzie. No! — huknął mnie pięścią w plecy. — Trzymaj się, chłopie, bo pomyślę, że trzeba ciebie wysadzić na nocniczek zamiast prowadzić do sali startowej.

— Na żaden nocniczek — powiedziałem z wściekłością — nie trzeba mnie wysadzać. I zobaczymy jeszcze, jak to będzie z tym rajdem i kto kogo będzie wyprzedzał.

— No widzisz — zaśmiał się Melassa. — Znowu zaczynasz przypominać człowieka, a nie śniętą szprotkę. Jak wejdiesz do drugiej dziesiątki, też będzie bardzo ładnie. Niczego więcej ci nie życzę.

— Dziękuję panu uprzejmie — powiedziałem dość chłodno, jako że nie bardzo mi się spodobała tamta „śnięta szprotka”.

Melassa zajrzał mi tym razem w oczy poważnie i z wielką uwagą.

— Nie bądź tylko za mocny. To się zwykle źle kończy. Brak ci treningu, nie masz pełnych obliczeń trasy, nie objechałeś jej, nie znasz toru. A niektórzy ze startujących mają za sobą po dwa, trzy pełne treningi. Radzę ci dobrze: bądź uważny i skromny. Nadmierna odwaga bywa w takich wypadkach niezmierną głupotą.

— Rozumiem — powiedziałem uznając w pełni jego rację. — Będę się starał o dobre miejsce tylko w granicach rozsądku. I w ogóle bardzo dziękuję.

— Za co?

— Za... wszystko — i uściśnąłem jego wielką, twardą dłoń, a on uśmiechnął się nieoczekiwanie delikatnym uśmiechem.

Staliśmy już przed wielkimi drzwiami hali startowej. Otworzyły się przed nami z dostojną powolnością, bez szelestu. Melassa popchnął mnie lekko w plecy — przekroczyłem próg. Tak więc znalazłem się wreszcie w owej wielkiej i pięknej bardzo sali, w której grupka startujących i sędziów wydawała się zagubiona jakby i nieważna. Zawodnicy (szczególnie pierwsza dziesiątka numerów startowych) przygotowywali się już do wyjścia na kosmodrom. Część była już w skafandrach, reszta zajęta przywdziewaniem tych kosmicznych ubranek. Niektóre ze startujących dziewcząt poprawiały je na sobie, obciągały i wygładzały, jakby to bal miał być, a nie rajd. Może zresztą miały one swoje rozumne racje? Wiadomo, co znaczy złe ułożenie się skafandra, kiedy nie ma czasu na poprawianie stroju w czasie lotu. Jedna niewygodnie umiejscowiona fałdka

może zatruć pilotowi życie do szczętu, obniżyć sprawność, rozproszyć uwagę. Pomyślałem zatem, że nie należy sobie kpić z tej rzekomej kokieterii dziewcząt — że mądrzej będzie dyskretnie ją naśladować niż śmiać się z niej. A równocześnie co nieco się speszyłem. Od momentu, w którym weszliśmy z Johannesem do sali, wszystkie oczy zaczęły badać nas z wielką uwagą. I to nie tylko wielkiemu Melassie tak natarczywie się przyglądano. Czułem przez skórę, że i ja teraz znajduję się jakby na scenie czy podczas egzaminu. Musieli już coś o mnie usłyszeć (protekcja samego Melassy!) — widzieli też we mnie nowego rywala. Zgłosiłem się tak późno, że niezależnie od postanowienia komisji sędziowskiej, każdy zawodnik miał prawo złożyć protest, który (wedle regulaminu) musiałyby zostać uwzględniony. Jednak na szczęście nikt z nich protestu nie złożył.

Kiedy w drodze do umieszczonego w głębi sędziowskiego Stołu mijaliśmy grupę zawodników, podniosłem rękę na powitanie. Czułem, że czerwienieją mi uszy, starałem się jednak udawać, że wcale się całą sytuacją nie przejmuję.

— Cześć — zawołałem czystym nawet głosem.

Odpowiedział mi przyjazny pogwar i wiele naprawdę życzliwych uśmiechów. Mnie jednak uśmiech nie bardzo wyszedł. Spotkałem uważne spojrzenie pary pięknych jasnozielonych oczu błyszczących spod złotorudej grzywki. Obejrzałem się jeszcze w tę stronę i byłbym się po prostu wywalił na nos, gdyby nie pomocna dłoń Melassy. Zawadziłem stopą o brzeg wielkiego dywanu, co sprawiło mnie w ruch niejednostajnie przyśpieszony. Usłyszałem za plecami kilka cichych śmieszek. Uszy szczerwieńiały mi już do reszty, ale zaciąłem zęby. „Poczekajcie, kochani — pomyślałem z lekką furią. — Pośmiejemy się na końcu drogi, przekonamy się, kto Wtedy będzie się śmiał”.

Znalazłem się wreszcie przed stołem głównej komisji sędziowskiej. Przewodniczący — Malajczyk o pięknie postarzałej twarzy — przejrzał moje papiery i przekazał je drugiemu z sędziów do zarejestrowania w sędziowskim komputerze. Trzeci zaś z sędziów — bardzo jeszcze młoda i wielkiej śliczności Japonka — podała mi z uśmiechem mój numer startowy, czyli duży kwadrat z magnetycznej folii, na którym nadrukowano dwie świetliste cyfry: trójkę i dziewiątkę. Od tej chwili byłem już „trzydziestką dziewiątką”. Numer ten nałożę przed samym startem na dziób mojej rakiety i będę się nim legitymował w każdej chwili swego lotu.

Rzecz właściwie była zbyteczna wobec faktu, że od momentu startu każdy uzyskiwał swoje miejsce na osobnym ekranie ultraradarowych czujników, śledzących lot każdej rakiety z osobna, i to z dokładnością tylko im właściwą. A przecież zachował się ów bardzo starożytny zwyczaj nakładania na pojazdy numerów startowych. Wywodził się z zamierzchłej przeszłości, z epoki samochodowych (benzynowych jeszcze!) prymitywów. I był właściwie miły, choć nie bardzo potrafiłbym wyjaśnić dlaczego. Otrzymałem również rajdowy hełm łagodzący przeciążenia — zwrócono mi też kartę zawodnika. Melassa pozostał przy stole sędziów i pożegnał mnie tylko mrugnięciem. Skłoniłem się i zawróciłem wreszcie w stronę grupki rajdowców.

Pierwsza dziesiątka przeszła już w stronę wyjścia, Nic dziwnego,

— Za minut dziesięć startuje numer pierwszy — zapowiedział sędzia główny.

Ja miałem jeszcze blisko czterdzieści dziewięć minut czasu (jako że zawodników wypuszczano w odstępach minutowych), a przecież poczułem taką samą chyba treść, jaką przeżywał teraz numer pierwszy. Żeby zapomnieć o strachu, poszukałem wzrokiem złotorudej grzywki. Znów spotkałem spojrzenie dwu jasnozielonych ogników. Z niewiadomego bliżej powodu speszyłem się jak smarkacz. Zająłem się więc skafandrem, potem zacząłem sprawdzać, czy dobrze dopasowano hełm do mojej głowy i kołnierza skafandra. Wszystko było w porządku, ale ja sam wcale nie

byłem w porządku. Znowu trema zaczęła zjadać mi rozum, serce biło na trwogę — znów zacząłem się bać jakiejś kosmicznej kompromitacji, jakichś groźących mi omyłek i błędów, z których każdy mógł mnie kosztować bardzo wiele. Nie wiedziałem, co ze sobą począć, więc żeby się jako tako odprężyć, wdziałem skafander, raz jeszcze sprawdziłem hełm, raz jeszcze spojrzałem w stronę złotorudej grzywki, a w końcu postanowiłem odnaleźć swego najbliższego rajdowego sąsiada i przewodnika, tego, którego kazał mi się trzymać Melassa. To znaczy „trzydziestkę ósemkę”.

Okazało się, że jestem tuż przy nim. Był to wysoki, bardzo czarny Afrykańczyk, wyższy ode mnie o jakie pół głowy i uśmiechający się zębami jasnymi niczym sztuczne słońce. Podaliśmy sobie ręce.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Trochę dobrze, a trochę niedobrze.

— Dlaczego niedobrze?

— Ani razu nie obleciałem trasy i nie mam właściwie żadnych obliczeń.

„Trzydziesty ósmy” pokiwał głową w niejakim zafrasowaniu, ale zaraz stuknął się w czoło.

Wyjął z kieszeni skafandra dwie płytki z wypisanym szeregiem liczb. Podał mi jedną z nich.

— Masz, bracie — powiedział. — Ja bywam czasem trochę roztargniony i dlatego sporządziłem sobie dwie kopie obliczeń. Teraz już chyba nie zgubię żadnej z nich. A dwie nie są mi potrzebne. Bierz jedną i trochę się jej przyjrzyj. To jest dozwolone. Ja wprawdzie raz tylko obleciałem trasę, ale te notatki są chyba dokładne. Trzeba tylko przez kilka minut spokojnie o nich pomyśleć.

— Dziękuję — powiedziałem lekko łamiącym się głosem. — Jesteś prawdziwy sportowiec. Dziękuję, stary.

— Sam jesteś stary — zaśmiał się i odszedł kilka kroków, żeby móc w samotności przemyśleć i przebadać jego obliczenia.

Były bardzo precyzyjne, w niektórych trudniejszych miejscach wyliczone nawet w jednostkach dziesiątków kilometrów. Od własnego brata nie mógłbym oczekiwać większej pomocy.

Spojrzałem na niego — siedział niedaleko ode mnie w głębokim fotelu i zdawał się z lekka drzemać. Pozazdrościłem mu spokoju. Zacząłem sobie przepowiadać raz po raz obliczenia trasy i kiedy pierwsza dziesiątka rajdowców zniknęła w wyjściu na kosmodrom, umiałem prawie połowę danych na pamięć. Oczywiście nie zanadto dokładnie, ale w każdym razie wiedziałem już, czego i gdzie szukać.

Podszedłem do „trzydziestego ósmego”, dotknąłem jego ramienia. Przecież w ogóle zapomniałem mu się przedstawić! Nie spał. Spotkałem od razu pytające spojrzenie bardzo czujnych, bardzo czarnych oczu. Tak więc przedstawiłem mu się — on zaś z kolei wyjaśnił mi, że pochodzi z Republiki Kenia, że nazywa się Kamante Ota, że ma piąty stopień już od roku i że chce dostać się do Szkoły Pilotów Wielkich Wypraw, choć jego rodzina wolałaby, żeby wybrał spokojniejszy jakiś zawód.

Chciałem mu raz jeszcze podziękować za obliczenia, on jednak po prostu nie dał mi dojść do głosu i zasypał mnie szeregiem pytań o moje własne sprawy. Zanim zdążyłem odpowiedzieć — pierwszych dziesięciu zawodników znalazło się już w swoich raketach, a druga dziesiątka stanęła przy wyjściu na kosmodrom.

Nad naszymi głowami otworzył się wielki, przezroczysty ekran — i oto ujrzelśmy jakby tuż nad sobą całą głębię Wielkiej Przestrzeni oraz wyraźnie powiększoną tarczę Księżyca. Można było też rozróżnić oba główne tory ze Stodwudziestki na Kosmodrom Osiemnasty, przynajmniej w ich początkowych odcinkach: tor zmechanizowanych całkowicie wielkich transportowców, z których

część szła wprost ku Ziemi, omijając szerokim łukiem Stodwudziestkę, i tor drugi: osobowy, ten właśnie, na którym mamy rozegrać nasz rajd.

Światła torowych sputników prawie ginęły w mroku gwiazd, niebo poza Księżycem drżało od migotu nieprzeliczonej ilości konstelacji i galaktyk.

— Tak — mruknął Kamante. — Dużo jeszcze mamy do zrobienia z tym niebem.

— Niezły widok — odpowiedziałem.

Usłyszeliśmy głęboki dźwięk dzwonu. Wystartował numer pierwszy.

— Słuchaj, Kamante — szepnąłem. — Melassa radził mi się trzymać jak najbliżej twego śladu.

Dlaczego? Czy to dobra rada?

Kamante uśmiechnął się bardzo wesoło:

— Może dobra. Spróbuj. Jeśli potrafisz...

Nie spodobała mi się nadmierna pewność jego głosu. Nadałem się nieco.

— Spróbuję — powiedziałem. — Może potrafię. Drugi głos dzwonu.

Trzeci, piąty...

Nie bardzo pamiętam, co myślałem i co mi się marzyło, nim nasza ostatnia dziewiątka stanęła u wyjścia na start.

Było to w tym momencie, kiedy wyruszył w przestrzeń numer dwudziesty czwarty.

Taśma druga

Rozsiadłem się w fotelu swojej XL-218 na sześć minut przed startem. Wiedziałem, że i ją, podobnie jak wszystkie rakiety rajdowców, przejrżeli najlepsi mechanicy Stodwudziestki. Mimo to całkiem odruchowo sprawdziłem zegary łączności, luz sterów, kontakt główny, układ świetlny. Tak, wszystko grało jak w najlepszym kwartecie smyczkowym świata. Przypiąłem się więc do fotela, dokręciłem hełm, płytkę z obliczeniami, którą dostałem od Kamantego, przytwierdziłem tuż przed sobą, nad głównym ekranem dalekiej wizji. Nieco z lewej strony umieściłem starannie wygładzoną mapę, na której jeszcze w sali startowej zaznaczyłem najtrudniejsze problemy i najcięższe odcinki całej trasy.

Jak się czułem? Tak, jak mogłem się czuć: dość głupio, dość dzielnie — trochę strachu, trochę nadziei, a najwięcej bezmyślnego jeszcze oczekiwania.

Włączyłem łączność na falę rajdową. Słyszałem głośnie tykanie zegara startowego. Sekundy wlokły się krokiem powolnym, ale nieubłagane równomiernym. Przed chwilą oderwały się od kosmodromu numery „trzydzieści sześć” i „trzydzieści siedem”. W końcu usłyszałem niski, lekko schrypnięty głos sędziego głównego:

— Uwaga! Trzydziesty ósmy!

Potem zmów rozległ się mechaniczny, obojętny stukot odmierzanych przez zegar startowy sekund. Wreszcie głos dzwonu dał Kenijczykowi zezwolenie na start — i w tejże samej chwili rakietka Kamantego runęła w przestrzeń. Patrzyłem w ślad za nią: miała świetlisty seledynowy kolor, dysze silników żarzyły się barwą rubinów.

Znowu sekundy. Powolne i nieubłagane. I znowu ów głęboki, nieco zmęczony głos sędziego głównego:

— Uwaga! Trzydziesty dziewiąty!

To było do mnie. Tak — do mnie. Odetchnąłem raz, drugi, głęboko i nareszcie z pełnym spokojem. Odepchnąłem od siebie wszelkie wahania i strachy. Zapomniałem także o różnych łatwych a nieuzasadnionych nadziejach. Będzie tak, jak sam sobie zasłużę. Będzie, co ma być, a

ja tylko powinienem wedle swoich możliwości i sił starać się, aby było jak najlepiej. Sekundy jakby nieco przyśpieszyły swego kroku, czułem jednak, że moje serce bije zwykłym, spokojnym rytmem.

Włączyłem cały układ łączności i pracy rakiety, nastawiłem starter na czas właściwy, włączyłem silniki startu i przyspieszenia.

Już tylko siedem sekund...

Już tylko trzy!

Przedemną, w przestrzeni, coraz bardziej malą lśniącą seledynową plamką: rakietą

„trzydziestego ósmego”. A teraz czas na mnie.

Dźwięk dzwonu — start!

Wystartowałem podobnie jak Kamante, od razu na pełnym przyspieszeniu. Nic dziwnego, że mimo skafandra, specjalnego hełmu i regulatora ciśnień czułem się przez chwilę niczym mucha o wadze słonia. Mocne to było przeciążenie, ale na szczęście trwało bardzo krótko. Trochę mi pomajaczyło w oczach, trochę poćwierkało w uszach, ale za to równo w trzy sekundy doszedłem do pełnej szybkości. Obraz rakiety Kamantego zbliżył się do mnie — na całej zaś trasie rozwinął się już migotliwy sznur rajdowej gonitwy.

Kamante był coraz bliżej i bliżej. Uśmiechnąłem się do siebie nie bez pychy, ale zaraz potem zrozumiałem, że nie moja to zasługa. Po prostu zbliżaliśmy się do pierwszej małej pętli, przed którą należało dość poważnie ograniczyć szybkość (o około jedną trzecią, a ściślej o 24,06 jak mówiła płytka Kamantego). Sprawdziłem jeszcze raz na płycie, czy nie myli mnie pamięć, i natychmiast rozpocząłem hamowanie w sposób zdecydowany, lecz łagodny. Ciągłe jeszcze zbliżałem się do rakiety „trzydziestego ósmego”, ale odległość między nami była nadal całkowicie bezpieczna. Wreszcie Kamante, z lekka dodając szybkości, wszedł w pętlę, a w szesnastcie sekund po nim zrobiłem to ja. Dzięki właściwemu zmniejszeniu szybkości i ponownemu lekkiemu jej wzmożeniu płynęliśmy przez przestrzeń jak na paradzie, ściśle po oznaczonym torze. Nie udało się jednak ta prosta dość sztuka „trzydziestemu siódmemu”. Był, widać, zbyt pewny siebie, nie zszedł do szybkości właściwej, potem hamował zbyt ostro, aby w ogóle nic wypaść z toru. Stracił rytm, tempo — i już mieliśmy go poza sobą.

— Dobra jest, stary — usłyszałem głos Kamantego. Odezwałem się dopiero po kilku sekundach i z wielką niby to powagą:

— Sam jesteś stary.

Kamante odpowiedział krótkim, bardzo wesołym śmiechem. I zaraz umilkł, bo właśnie wychodziliśmy z pętli. Wychodziliśmy z niej łukiem wprost idealnym — jak na pokazie pilotażu. A muszę przyznać, że co najmniej trzy czwarte zasługi było po stronie Kamantego. Nie dawał mi żadnych wskazówek ani też niczego nie podpowiadał, bo za takie zabawy i nadawca, i odbiorca wysiedliby z rajdu natychmiast. Natomiast zrozumiałem już co nieco, dlaczego to Melassa radził mi, bym starał się iść śladem Kenijczyka i naśladować go z najwyższą dokładnością.

Po prostu Kamante był materiałem na wspaniałego pilota.

Obecnie weszliśmy na pierwszy dłuższy odcinek prosty — odcinek „na tempo”. Tu dałem się zaskoczyć. Kamante bowiem jeszcze przed samym wyjściem z pętli dał pełną moc przyspieszenia. Jego rakietę wyskoczyła na prostą zrywem nieoczekiwanym a potężnym. Ja zaś straciłem co najmniej pół sekundy i ledwo zdołałem utrzymać jaką taką odległość pomiędzy nami.

— Jesteś tam? — zawołał Kamante.

— Zależy, gdzie jest to „tam” — odparłem z niejaką złością.

— Za mną!

— A jestem, jestem... „błyskawico kosmosu”!

On oczywiście zaśmiał się znów po swojemu, taką całą gamą otwartych „cha, cha, cha, cha”!

— Przestań „chachakać”! — krzyknąłem ze złością, ale on już umilkł i łagodnym łukiem zszedł na lewą stronę toru. Sygnalizował wyprzedzenie. Widziałem wyraźnie: tuż przed nim szły jakieś dwa numery startowe. Szły tak wolno w stosunku do naszego tempa, że należało je przeskoczyć. Kamante wyprzedził je nagłym zrywem i pięknym łukiem, w trzy sekundy później ja sam zacząłem prosić o wolny tor, starając się jak najdokładniej naśladować tę elegancję, którą pokazał przy wyprzedzaniu Kamante. Nie pytałem ani nie sprawdzałem numerów startowych tych dwóch, którzy pozostali za nami. Trochę było mi ich żal, ale równocześnie poprawiłem się w fotelu z wyraźnym poczuciem dumy. Bo jedno było pewne — trzech rywali miałem z głowy. A zatem nie byłem już „trzydziesty dziewiąty” i nie wlokłem się w ogonie rajdu, jak „po cichu” doradzała mi komisja sędziowska.

„Nie jest źle, człowieku — pomyślałem — a może być jeszcze lepiej”.

I oto w chwilę później nie tylko o mało nie straciłem swej pozycji, ale niewiele brakowało, żebym utracił wszelkie prawa do samego już udziału w zawodach. Zapatrzyłem się, a ściślej mówiąc: zagapiłem się w ekran dalekiej wizji. Było zresztą na co się zagapić: przede mną świecił cały tor. Wędrowały po jego zawikłanym rysunku świetliste sylwetki rakiety. Widok był bardzo piękny, jakby ktoś rozwinął ruchomy sznur różnokolorowych kamieni szlachetnych, rzuconych na srebrzysto-czarne tło kosmosu.

Nagle — właściwie bez udziału świadomości — dostrzegłem, jak dwie rakiety zbliżyły się do siebie na odległość bardzo niebezpieczną, niedopuszczalną w ruchu na wielkiej przestrzeni. A zaraz potem zrozumiałem, co się dzieje: zadziałali dbający o bezpieczeństwo piloci automatyczni. Rakiety odskoczyły od siebie jak pod uderzeniami niewidzialnych młotów, utraciły natychmiast szybkość, wypadły poza tor i tak to skończyły swój rajd. Znowu o dwóch mniej. Tak, tylko że ja sam, zapatrzony w dramat ich złej przygody, o mało co nie znalazłem się w identycznej sytuacji.

Zbyt szybko i zbyt blisko podszedłem do jakiejś lśniącej białym srebrem rakiety (typu DR-301). A nie zdążyłem na czas zasygnalizować wyprzedzania.

Na szczęście opamiętałem się dosłownie w ostatnich dziesiętnych sekundach. Udało mi się bardzo krótkim łukiem (zejść w lewo, i to na dość ostrym hamowaniu. Straciłem rytm, straciłem tempo i dopiero wtedy poprosiłem o wolny tor. Oczywiście otrzymałem go. Ale na skutek całego wydarzenia (tym obrzydliwszego, że tylko sobie samemu mogłem za nie dziękować) straciłem kontakt z Kamantem. Był już daleko, daleko przede mną. Groziło mi, że nie odzyskam utraconego dystansu i nie zdołam wrócić do bliskiego, przyjaznego sąsiedztwa z jego seledynową rakieta i z nim samym, dobrym moim duchem i najlepszym przewodnikiem.

Szedłem teraz samotnie i w wielkim niepokoju serca. Osiągnąłem po kilku sekundach górną granicę dozwolonej szybkości. Srebnobiała DR-301 (znów zapomniałem sprawdzić numer startowy) znikła mi z ekranu tak szybko, jakby w ogóle stanęła w miejscu. Mijały złe sekundy, czułem wielki żal do siebie, w skroniach pulsował niepokój. Ale już po dwóch minutach mogłem odetchnąć z szeroką, radosną ulgą. Świetlista plamka rakiety Kamantego zaczęła rosnąć i coraz to przybliżać się do moich oczu.

Wreszcie, pod koniec czwartej minuty pościgu, znowu odzyskałem początkowy dystans.

Z wielkiej radości roześmiałem się na cały głos.

— Tobie gorzej? — spytał zaniepokojony jakby Kamante.

— Właśnie że lepiej! — wrzasnąłem.

— Proszę o ciszę — odezwał się ktoś trzeci, wysokim i wielce smutnym głosem.

Umilkliśmy natychmiast.

W przestrzeni można rozmawiać pod warunkiem, że nie przeszkadza to osobom postronnym. Wkrótce zresztą okazało się, kto jest tym trzecim i skąd smutek w jego głosie. Zmniejszyliśmy obecnie wraz z Kamantem szybkość, ponieważ zbliżał się pierwszy naprawdę trudny odcinek trasy: wielka podwójna ósemka, u końca której umieszczono punkt kontrolny, a przy którym to punkcie nakazano zatrzymać się całkowicie, aby sprawdzający mogli przyczepić do kadłubów rakiet swoje znaczki kontrolne.

Rzecz prosta przed wejściem w ósemkę znowu musieliśmy dość ostro wyhamować. Nie było to miejsce zbyt trudne, lecz właśnie na tym odcinku jakiś bardzo zdenerwowany i mocno zasmucony zawodnik poprosił o ciszę. Przyjrzawszy mu się, przestałem się dziwić. Szedł bardzo wolno — a z trzech dysz głównego silnika świeciły mu tylko dwie. Trzecia błyskała i prychała iskrami, co, rzecz prosta, świadczyło o jakimś błędzie czy awarii w przewodach paliwa. Niby nic groźnego, ale jeśli nawet zaskoczy mu trzecia dysza, to na pewno stracił już zbyt wiele czasu na dobrą pozycję. Spytałem go (dość nieśmiało) o numer.

— Dziewiątka — powiedział grobowym głosem.

Nie życzyłem mu szczęścia czy powodzenia, bo mogłoby to wyglądać na czystą kpinę. Stracił mnóstwo czasu. Jednak widać było, że jest sportowcem z prawdziwego zdarzenia. Nikt by nie miał mu za złe, gdyby się już teraz wycofał. Defekt techniczny to całkiem uczciwe usprawiedliwienie. Spodobał mi się jednak ten chłopak! Zaraz! Ale czy chłopak! A może to dziewczyna? Tak! Przypomniałem sobie, że dziewiątkę miała jakaś całkiem dorzeczna dziewczucha z masą ciemnych włosów na głowie i z pięknie zadartym nosem.

Wyprzedzałem ją z pewnym zawstydzeniem, a w dwie sekundy później znowu miałem przed sobą seledynową sylwetkę rakiety Kamantego i znowu musiałem dość ostro wyhamować, bo właśnie wchodziliśmy w wielką ósemkę. W odcinek trasy o wysokiej skali trudności.

Ósemka była wydłużona i mocno skośna. Komisja rajdu wymyśliła ją w bardzo złośliwy sposób. Takie ósemki zawsze są niewygodne, wymagają wielkiego wyczucia dystansu, ażeby na przecięciach obu pętli nie zagrozić innej rakiecie, nie wpaść w za wielką szybkość lub też nie opóźnić się w stosunku do reszty. Trzeba powiedzieć, że wszyscy — nawet dorośli, dużej klasy piloci — miewają kłopoty na takich ósemkach. A tu nam jeszcze dano dodatkowe utrudnienie. Trasa nie leżała ani w pionie, ani w poziomie głównego toru, tylko była przekrzywiona pod kątem czterdziestu stopni.

Jakże mi się teraz przydały obliczenia, które dostałem od tego świetnego chłopca z Kenii! Szedł przede mną w odległości jakiegoś tysiąca kilometrów. Szedł spokojnie, bez żadnych zrywów. Widać było, że nie zamierza na tym odcinku nikogo wyprzedzać. Kreślił na niebie piękny łuk pierwszej pętli i patrząc, jak idealnie wchodzi w krzywizny, pomyślałem sobie, że być może, jeszcze kiedyś będę się chwalił udziałem w jednym rajdzie z Kamantem.

Szedłem jego śladem. Nie z taką dokładnością i swobodą jak on właśnie, ale też nie tak znowu najgorzej. Pomyślałem, że Melassa, który zapewne ogląda nasz rajd, nie wstydzi się swego poparcia dla piegowatego Pawła z rakiety typu XL-218.

W tej też chwili zrozumiałem już do końca, co w istocie oznaczała dobra rada Johannesesa Melassy. Melassa musiał wiedzieć, że Kamante to wielki talent i pierwszorzędny pilot. Jeśli więc choć przez połowę trasy utrzymam się tuż za nim, będę miał całkiem niezłe miejsce. Może nawet w pierwszej dziesiątce? A może... może nawet jeszcze lepiej?

Radar mówił mi, że utrzymuję się w stałej mniej więcej odległości za Kamantem. A ilu już zawodników wyprzedziliśmy? Ile nadrobiliśmy do pierwszej, drugiej i trzeciej dziesiątki?

Przecież wcale nie jest wykluczone, że dzięki różnicom czasu na starcie już jesteśmy na dość

wysokiej pozycji!

Wolałem jednak nawet nie myśleć o tym. Spokój i tylko spokój jest teraz mi potrzebny. Nacisnąłem podajnik jedzenia nastawiwszy go na miętówki i już po chwili miałem w ustach miętówkę. Zacząłem ją ssać spokojnie i z powagą. Przy miętówkach zawsze umiałem się opanowywać i dobrze mi się myślało.

Tak! Nie ma sensu już teraz marzyć o tym, na którym miejscu przybędzie się do mety. Trzeba po prostu trzymać się toru, nie przesadzać w przyśpieszeniach ani hamowaniach, dobrze obliczać i sprawdzać odległości na ekranach wizji i radarów. Tym bardziej trzeba się pilnować, bo właśnie zbliżyliśmy się — Kamante i ja — do pierwszego skrzyżowania ósemkowej krzywizny toru. Obaj dobrze wiedzieliśmy, że miejsce dość jest niebezpieczne. Skrzyżowanie miało w rzeczywistości dwa poziomy — ale o różnicy dwustu zaledwie kilometrów! Przy tym zaś tempie, z jakim teraz się poruszaliśmy, owe dwieście kilometrów różnicy znaczyło w istocie tyle, co nic. Prawie nic. Bo oto naprzeciw nam szły dość blisko siebie trzy rakiety. Szły już torem górnym, to znaczy: szły przed nami.

„Bylebyś tylko utrzymał dystans — myślałem sobie. — Bylebyś tylko nie przekroczył granicy bezpieczeństwa”.

I oto Kamante pokazał mi, jak się takie rzeczy robi. Wyhamował przed samym przecięciem się torów i wskoczył po prostu pomiędzy pierwszą i drugą z idących górą rakiet. Nie byłem pewien, czy potrafię wykonać podobny manewr, ale w każdym razie należało spróbować.

Spróbowałem.

Udało się!

— No, no — usłyszałem Kamantego. — Grzeczne z ciebie dziecko.

Zaśmiałem się cicho. W jego głosie była rzetelna pochwała. Teraz my wychodziliśmy już w górną pętlę ósemki. Za pół minuty pierwszy punkt kontrolny rajdu.

Punktem kontroli była niewielka kilkuosobowa podstacja Ruchu, obsługująca trasę, konserwująca jej sputnikowe oznakowanie, służąca też pomocą przy drobniejszych awariach osobówek.

Podchodziliśmy do tego punktu bardzo delikatnie, z wielką ostrożnością, na minimalnej szybkości. Należało się tu zatrzymać w miejscu oznaczonym niemal na metry, jako że nie można żądać od kontrolerów, aby skakali do rakiet na odległości kilkusetmetrowe. Kto zdołał zatrzymać się nieco zbyt wcześnie, mógł powolutku, na małym silniczku, podejść pod wejściowy taras podstacji. Kto jednak przetoczył się za daleko, ten musiał wracać i czekać na swoją kolej, póki tor nie zrobi się znowu wolny.

Widać było, że jednemu z wyprzedzających nas zawodników wyraźnie zabrakło poczucia odległości. Wyhamował za późno. Przeskoczył punkt kontrolny o kilka dobrych kilometrów. Był to zaś pierwszy z tej grupki, z którą mijaliśmy się na skrzyżowaniu ósemki. Dwaj pozostali zatrzymali się, jak należało, a Kamante i ja podchodziliśmy już do punktu na najmniejszej szybkości. Tak więc pierwszy z tamtej trójki nie zdołał się wcisnąć pomiędzy nas — i bardzo ponurym głosem spytał kontrolerów, czy może ustawić się za „trzydziestym dziewiątym”, to znaczy za mną.

Pozwolono mu.

Kamante dopłynął już do tarasu podstacji. Widziałem wyraźnie, jak ktoś w ogromnym skafandrze (dwumetrowy co najmniej facet) przyczepia płytkę kontrolną do jego numeru startowego.

— Dobrej przestrzeni, chłopie — rzekł kontroler. — Ładnie idziesz.

Punktom kontrolnym nie wolno było podawać ściślejszych danych o czasie i kolejności

zawodników. Ale takie słowa jak „ładnie idziesz” można było powiedzieć.

Kamante ruszył już na całego, kiedy z kolei ja podszedłem pod taras. Nie udało mi się zrobić tego z tak doskonałą precyzją, z jaką zrobił to „trzydziesty ósmy”. Zmieściłem się jednak w dopuszczalnej skali błędu.

— Wygodny jesteś, chłopaczku — mruknął kontroler i odbił się do skoku w moją stronę, jako że przystanąłem w odległości dobrych kilkunastu metrów od podjazdu.

— Jak ci idzie? — usłyszałem pytanie.

— Jakoś idzie — odpowiedziałem zachodząc w głowę, skąd tak dobrze znam ten głęboki, metaliczny bas.

— Gotów! W drogę, Pawełku! Tylko tak dalej! — krzyknął kontroler.

Ujrzałem jeszcze w bocznym ekranie, jak ów wielkolud macha mi ręką, ale był to bardziej cień niż obraz, bo znów ruszyłem z pełną mocą silników, co — jak już wspomniałem — sprawiło na mnie takie wrażenie, jakby nos włożył mi w brodę, kolana na pięty, a w uszach rozśpiewywało się stado skowronków. Uczucie było nieco przykre, ale konieczne — jeśli nie chciałem stracić dobrej odległości od rakiety Kamantego.

Ujrzałem go wreszcie na radarze, zaraz potem na ekranie. Znów schodził w lewo, do wyprzedzenia.

Ja zaś o mało nie wypadłem z toru na całkiem łagodnej krzywiznie, albowiem uprzytomniłem sobie wreszcie, skąd znam ów basowy, metaliczny głos kontrolera, który nazwał mnie „Pawełkiem”. Otóż nie tylko po głosie i po wzroście (2 metry 27 centymetrów) powinienem był go od razu rozpoznać. Należało go nawet bardzo serdecznie pozdrowić! Był to po prostu jeden z ciotecznych braci mamy, a także jeden z tych kochanych krewnych, którzy zbyt często, uparcie i natrętnie porównywali mnie z „genialnym” moim bratem Lutkiem. Na moją niekorzyść oczywiście.

A tym razem zawołał: „Pawełku! Tylko tak dalej, Pawełku!”

Ucieszyłem się naprawdę. Na sto dwa! Punkty kontrolne dysponowały widocznie pełną i imienną listą startową. Wuj Wincenty zorientował się zatem, że w rajdzie bierze udział także jego siostrzeniec, i odezwał się teraz głosem miłszym niż kiedykolwiek.

Mogło to oznaczać tylko jedno: że podobnie jak Kamante włączam się powoli w czołówkę rajdu. Kamante właśnie wyprzedzał kolejnego z zawodników. Działo się to jednak w niewielkiej odległości od niewysokiej, ale bardzo trudnej spirali, na której wyprzedzanie byłoby czystą bzdurą i całkowitą niemożliwością. Tak więc nagle utraciłem kontakt z Kamantem. Wszedł zaś między nas ktoś całkiem dobry, nawet bardzo dobry. Kto to mógł być? Nie rozglądałem się zbyt dokładnie po innych zawodnikach. Musiałem przecież nauczyć się mapy i wykuć niektóre obliczenia skali szybkości na trasie. Nie sprzyjało to chęciom towarzyskiego zapoznania się z resztą chłopaków i dziewcząt. Miałem szczęście, że trafiłem na wspaniałego kumpla w postaci Afrykańczyka. Innych ledwo co spamiętałem — poza ową złotorudą grzywką, ciemnowłosą „dziewiątką” i jakimś wysokim Hindusem o zrośniętych na czole brwiach.

Kamante wszedł już na spiralę. Ten drugi lekko zwolnił, jakby nie był zbyt pewny siebie, ale zaraz potem zrozumiałem, że miał swoją rację. Mimo że ciągnął po wznoszącej się krzywiznie, odzyskiwał nawet jakby dystans do Kamantego. Rzecz niby ryzykowna, ale właśnie w tej chwili widać było, że obaj ci zawodnicy urodzeni są wprost do wielkiego pilotażu. Ja starałem się, jak mogłem — mimo to utraciwszy łączność z Kamantem utraciłem też jakby część pewności siebie. Okłamałem się za to kilku grubymi słowami i znowu zacząłem przyśpieszać. Z obliczeń, jakie dał mi Kamante, wynikało, że wyjście z wąskiej i wysokiej spirali nie wymaga obniżenia szybkości, tylko właśnie dodania jej w połowie ostatniego łuku. Przeżyłem pół sekundy ciężkiego strachu,

czy aby Kamante się nie omylił, tym bardziej że szarpnąłem nawet dość mocno. A przecież udało się!

Na prostą wszedłem już na najwyższej szybkości. Zaczynał się tu znowu odcinek, na którym można było gnać na całego. Zacząłem więc gnać i gonić migoczącą przede mną parę. A były to chwile, w których z wielką czułością myślałem o Lutku i dziękowałem mu za to, że podarował mi moją wspaniałą XL-218.

Był to niby model, dość nawet popularny i co najmniej jedna piąta rajdowców posługiwała się różnymi jego odmianami. Lutek jednak podrasował mi moją raketę z właściwą sobie (bez przesady) genialnością. Podrasował ją w sposób dopuszczalny, nie przekraczający ogólnych norm dla rakiety tego typu. A przecież każdy drobiazg działał w niej na medal... na pięć... na dziesięć medali!

Wiedziałem zresztą, że nie sama miłość braterska odegrała główną rolę w tej sprawie: Lutek zamierzał dla siebie wybudować taki „model na medal”, przedtem więc chciał go wypróbować na rakiecie dla młodszego brata. A ja byłem mu teraz za to kosmicznie wdzięczny. Pożyczyłem mu w myśli, żeby blondynka ze Stodwudziestki jak najszybciej dostała przeniesienie na Marsa i żeby było im ze sobą jak najwspanialej.

I w ogóle życzyłem mu wszystkiego najlepszego, bo oto na prostej zacząłem wyraźnie dochodzić poprzedzającą mnie dwójkę. Zapomniałem o wszystkim: o nieszczęsnym zagapieniu się Domka, o kłopotach z wycieczką, o tym, że dotychczas ciągle jeszcze nie wiedziałem, jak właściwie cała ta księżycowo-wycieczkowa historia się skończy. Pamiętałem teraz tylko, aby znów doskoczyć do Kamantego, i coraz bliżej, coraz bliżej byłem tej możliwości. W końcu wyprzedzającą mnie, świecąca niebieskim blaskiem rakietą znalazła się w takiej ode mnie odległości, że miałem pełne prawo poprosić ją o wolny tor. Dałem znaki światłami.

— Tu trzydzieści dziewięć — powiedziałem uprzejmie. — Proszę o tor.

Ktoś aż się zakrztusił z irytacji, ale natychmiast potem usłyszałem elegancką odpowiedź:

— Tu trzydzieści pięć. Tor wolny.

Rakietka zesłała nieco w prawo. Zacząłem ją wyprzedzać, nie mogąc sobie żadnym sposobem uprzytomnić, jak właściwie wyglądała owa „trzydzieści pięć”. Mówię — wyglądała — bo głos był zdecydowanie wysoki, jasny i trochę gderliwy, w sposób właściwy tylko dziewczętom. Przyszła mi na myśl owa złotoruda grzywka nad zielonymi oczami, ale byłem niemal pewien, że to któraś z „dwudziestek”. Mniejsza zresztą o to.

— Dziękuję — powiedziałem dodając szybkości.

— Nie ma za co! — wrzasnęła mi „trzydziestka piątka” prosto w uszy. — Nie dość że wyprzedza, to jeszcze dziękuje!

Usłyszałem, jak wesoło i hałaśliwie się zaśmiewa z tej rozmówki Kamante. Sam jednak wolałem się nie śmiać ani nie odpowiadać osobie widocznie dość energicznej. Wszedłem znowu na ślad seledynowej rakiety Kenijczyka, on zaś jakby nawet nieco zwolnił, żebyśmy znów mogli iść jeden za drugim, po staremu, tak jak od startu.

— Cześć! — zawołałem. — Co słychać?

— W porządku — powiedział. — Mijamy połowę trasy i mamy całkiem dobrą pozycję, ☼ Jaka? — spytałem.

— Nie jestem pewny swoich obliczeń, ale wygląda na to, że nie jest źle.

Dużo się dowiedziałem: nie jest źle!

Mignął mi w ekranach obraz rakiety przytroczonej do alarmowego sputnika, ale tym razem ta sprawa nie należała już do nas. Mogliśmy za to zaliczyć jeszcze jednego przeciwnika mniej. Rozparłem się w fotelu z uczuciem wielkiej ulgi. Znowu podrzuciłem sobie miętówkę, a świat

rozjaśnił mi się w oczach. Kamantemu mogłem wierzyć. Minęliśmy połowę trasy, a przecież było nieźle. W jego ustach mogło to znaczyć, że jest nawet całkiem dobrze. Przed sobą mieliśmy jeszcze dwie małe pętle, jedną w pionie, drugą w poziomie, oraz dwa naprawdę trudne odcinki: wielką spiralę o wysokości ośmiu tysięcy kilometrów z pionowym niemal zejściem w dół do uprzedniego poziomu trasy — a potem linię falistą, na którą wystarczyło spojrzeć tylko poprzez mapę, żeby dostać pierwszych objawów choroby morskiej.

Z obliczeń Kamantego wynikało jasno, że w zasadzie obie te wielkie przeszkody można brać na dość dużej szybkości. Kłopot był tylko jeden, ale za to największy. Otóż u podnóża spirali znajdował się kolejny punkt kontrolny, przy którym znowu będziemy musieli stanąć na zerze. Tak więc całe wspinanie na spiralę dokonywać się będzie na przyśpieszaniu, a tego właśnie Kamante ani nikt z rajdowców nie obliczył i nie przewidział, jako że ów punkt kontrolny wstawiono do programu w ostatniej chwili. Taki bowiem utrzymywał się obyczaj w podobnego typu zawodach, że jedna z trudności głównych była niemal do końca nie znana zawodnikom. A należy powiedzieć po prostu, że tym razem komisja sędziowska zachowała się jakby ze szczególną złośliwością. Trzeba będzie się wspiąć ku górze od szybkości zerowej, i to na całkiem niezłą wysokość. A potem skok nosem w dół.

Od razu poczułem się gorzej. Zapomniałem jakoś o tej zasadzce. Przed chwilą jeszcze byłem w świetnym nastroju i pełen podniosłych myśli. A teraz? Klops! W takim punkcie kończyły się wszystkie treningowe mądrości i przedstartowe obliczenia. Każdy z zawodników w tym właśnie miejscu sam będzie musiał dokonać wszelkich obliczeń, i to w pamięci, a ja nawet jeszcze o tym nie pomyślałem.

Zacząłem więc myśleć — obliczać współrzędne, ustalać stosunek szybkości i przyśpieszenia do średnicy spirali. Jakoś mi to nawet poszło, mimo że na trasie znów zrobiło się trochę gęsto. Do punktu kontrolnego pozostało nam około sześciu minut. Co bojaźliwsi zaczęli zwalniać, tak że idąc tym samym tempem co Kamante wyprzedziłem „osiemnastkę” i „dwudziestkę piątkę”. Ale równocześnie zauważyłem w tylnym ekranie kogoś, kto równie uparcie, jak ja Kamantego, trzymał się mnie.

Kto to mógł być? Po kolorze wydawało mi się, że to chyba „trzydziestka piątka”. Nie zawadziło spytać:

— Trzydzieści pięć? Jak leci?

Spytałem w najlepszej intencji. Ale najwidoczniej znowu zostałem źle zrozumiany, bo usłyszałem głos czysty, lodowaty i mocno obrażony:

— Leci, jak leci. A na rozmowy ab-so-lut-nie nie mam czasu.

Wyszedłem teraz wraz z Kamantem i „trzydziestką piątką” na czysty odcinek trasy, u końca której świecił ostrym zielonym światłem punkt kontrolny. Czas był już na wytracenie szybkości. Zacząłem więc ją wytracać. Czujki ultraradarowe wskazywały na to, że zarówno Kamante, jak „trzydziestka piątka” postępują tak samo. W górze, na krzywiznach spirali, świeciły ruchome ogniki. Sporo ich tam jeszcze było. Nie mogłem sobie jednak pozwalać na gapienie się w przestrzeń. Zielone światło punktu kontrolnego zbliżało się z wielką szybkością. Ogarnął mnie strach, że mogę przeskoczyć stację kontroli i wtedy „trzydziestka piątka” znów wlezie pomiędzy mnie a Kamantego. Wszystko jednak poszło jak należy.

Kamante — jak on to potrafi? — znowu podszedł do tarasu stacji kontrolnej z niezwykłą dokładnością. Usłyszałem, jak go za to chwala, i, przyznając, wzięła mnie zazdrość. Bo takie właśnie jest moje szczęście: zawsze muszę mieć obok siebie kogoś lepszego. W domu Lutek, w szkole (z tych, którzy też myślą o Instytucie Matematyki) aż dwoje zbyt często jak na mój gust sypcha mnie na drugie albo na trzecie miejsce. Tutaj zaś Kamante pokazuje klasę, o której ja

właściwie mogę tylko marzyć. Zaś gderliwa „trzydziestka piątka” (wyobrażam sobie, co to musi być za ziółko z motorkiem w głowie!) depcze mi po piętach.

Podchodziłem do stacji starając się ogromnie. Mimo to odrobinę za wcześnie przeszedłem na mały silniczek. Na szczęście „trzydziestka piątka” była trochę za daleko, żeby wślizgnąć się przede mnie, wyraźnie jednak nadrobiła na odległości.

— Ślimak! — usłyszałem syknięcie tego obrzydliwego babiszona i ze złości o mało nie potrąciłem tarasu stacji. Ale wyszło to na dobre, bo udało mi się tym sposobem zatrzymać rakietę tuż przed tarasem — trochę jakby w stylu Kamantego. Bądźmy jednak szczerzy, cały ten mój „mistrzowski manewr” wynikł z mimowolnego odruchu złości na panienkę z „trzydziestki piątki”. Powinienem być jej za to wdzięczny. Ja jednak pomyślałem tylko w tym momencie z niesłychaną ulgą, że nie mam siostry.

— Trzydzieści dziewięć — powiedziałem oficjalnym tonem — zgłasza się na punkt. Sędzia z punktu kontrolnego przybił swój znak im numerze startowym.

— Gotów! — krzyknął.

Nie ruszyłem zbyt ostro, bo z moich pobieżnych obliczeń wynikało, że dopiero w pierwszej połowie spirali należy uzyskać pełny ciąg. Usłyszałem więc jeszcze meldowanie się „trzydziestki piątki” i zdziwiony na wesoło okrzyk kontrolera:

— Co te trzydziestki takie dzisiaj dobre?

— Bo są dobre! — warknął w odpowiedzi uroczy głosik, a ja natychmiast zacząłem uciekać z pełną mocą silników, jako że Kamante niknął mi już prawie z ekranu, a urocza „trzydziestka piątka” zaczęła najwyraźniej zbliżać się do mnie. Niedużo już brakowało, żebym usłyszał: tor wolny. Spociłem się od pięt aż po czoło. Trzeba się śpieszyć!

Starąłem się odskoczyć możliwie szybko, ale to wcale nie było łatwe. W dodatku Kamante wyprzedził znowu kogoś w cytrynowożółtym pojeździe i zrozumiałem, że będę musiał starać się z całych sił, żeby nie zgubić przyjaciela z trasy. Albowiem przyjaźń przyjaźnią, najlepsza wola najlepszą wolą — ale nie miałem żadnego, najmniejszego nawet prawa, żeby Kamante specjalnie na mnie czekał.

Zapomniałem na chwilę o „trzydziestce piątce”. Miałem teraz przed sobą jeden tylko problem: wyprzedzić owego nieszczęsnego „cytrynka”, który widocznie zbyt szybko wszedł w pierwszy skręt i teraz nie mógł odzyskać równego rytmu: to zwalniał, to przyśpieszał idąc bardzo nierównym tempem i po niebezpiecznie krzywym torze. Doszedłem do niego dość szybko — nie poprosiłem jednak o wolny tor, bo akurat zniosło go nieco na lewo. Wiedziałem już, że za sekundę zniesie go w prawo i wtedy będę mógł z całą pewnością i poczuciem bezpieczeństwa zażądać wolnej drogi. Nie omyliłem się: zniosło biedaka niemal do granicy torowych sputników, więc znów musiał hamować i w efekcie całkiem stracił tempo.

— Tor wolny! — krzyknąłem.

— Tor wolny — powtórzyła za mną, jak złe echo, „trzydziestka piątka”.

„Cytrynek” znikł nam z ekranów niby porwany wiatrem cień. Ja zaś szedłem już na całego i roześmiałem się cicho, ale bardzo radośnie: oto znów miałem na ekranie rakietę Kamantego i nie tak wiele do niej straciłem. Obecnie mogłem nadrabiać a nadrabiać. Przeszedłem w pełną możliwą tu szybkość, ale po chwili trochę odechciało mi się śmiać. Uciekłem co nieco „trzydziestce piątce” podczas wyprzedzania nieszczęsnego „cytrynka”, ale teraz znowu miałem ją na karku, coraz bliżej i bliżej. Szła jak najbardziej doświadczony rajdowiec, w bezpiecznej odległości i w równym jak rytm zegarów tempie. Doceniłem to. Nie mogłem jakoś jednak wzbudzić w sobie szczególnie tkliwych do niej uczuć.

A poza tym czas się uczciwie przyznać do jednej rzeczy: byłem już trochę zmęczony. Ostatecznie

przeżyłem co nieco w tym wesołym dniu. Przy najlepszej kondycji i w najlepszej formie mogłem już przy historii z Melassą dostać lekkiego szumu w szarych komórkach. A ledwo zdołałem ochłonąć z tamtych emocji, sam — nie bardzo wiedząc, co czynię — wpakowałem się na listę startową całkiem niebłahego rajdu. Co więcej: mimo pocziwego zalecenia komisji sędziowskiej, żebym spokojnie i bez podskoków trzymał się końca, mnie zachciało się wejść w konkurencję (teraz to rozumiałem) najsilniejszych. To nie było tak bardzo znowu pozbawione sensu: nie miałem wprawdzie treningu, ale miałem przecież znakomitą raketę. Byłem w nie najlepszej kondycji, ale bywałem już w życiu o wiele bardziej zmęczony niż dziś. Zażądałem więc od podajnika odżywczego posiłku witaminowo--wzmacniającego. Dostałem od razu dwie porcje do wyboru. Połknąłem obie — potem popiłem sokiem grejpfrutowym.

Tak! Tego było mi potrzeba! Znowu zyskałem co nieco do Kamantego, a „trzydziestka piątka” przestała mi nadeptywać na ogon.

Kończyliśmy teraz przedostatnią krzywiznę wielkiej spirali. W tej samej co dotychczas kolejności (Kamante, ja i „trzydziestka piątka”) wyprzedziliśmy parę wyraźnie słabszych zawodników. Byli z pierwszej dziesiątki, a wlekli się ku górze bardzo słabiutkim tempem. Widać też było, że mają mocnego stracha przed czekającym nas wszystkich wielkim skokiem w dół. Wyznaję zresztą, że ja sam poczułem się niepewnie. Rozumiem tylko jedno: muszę wzorować się na Kamantem — muszę postępować jak on. Wydawało mi się, że proste przejście ze szczytu spirali do skoku w dół będzie wymagało znacznego zwolnienia tempa. Jak tego uniknąć? Nie bardzo w owej chwili sobie wierzyłem. Wydawało mi się, że należy załatwić to poprzez dość prostą, choć przy tej szybkości wcale nie najłatwiejszą figurę akrobatyczną — taką samą, jaką mi dziś zaprezentował Johannes Melassa. Przewalić się na plecy, skoziółkować i dopiero wtedy dać pełną siłę silników przy zejściu w dół.

Nie miałem wiele czasu do zastanawiania się. Patrzyłem tylko, jak zakłęty w kamień, na Kamantego. Zapomniałem o „trzydziestce piątce”, o Domku, o Melassie i o wszystkich innych sprawach tego świata.

Kamante doszedł do szczytu spirali.

— Tak! — wrzasnąłem sam do siebie.

Kamante stał się jedną seledynową błyskawicą. Ale rysunek tej błyskawicy był dla mnie czytelny. Wstrzymałem oddech — teraz czas liczył się na dziesiątne i setne części sekund. Rzecz wprawdzie może wydawać się nie całkiem prawdopodobna, ale właśnie tak bywa w prawdziwym pilotażu, że niektórych spraw nie załatwi żaden mechanizm, że musi zadziałać po prostu najwyższa koncentracja ludzkiej uwagi — wycucie najwłaściwszej chwili do przejścia z trasy prostej w figurę akrobatyczną.

Nigdy nie potrafię dokładnie wytłumaczyć, jak to się stało, że zdołałem we właściwym momencie dokonać półobrotu, a potem skoziółkować do właściwej linii i w najwłaściwszym momencie powrócić do pełnej szybkości. Faktem jest jedno: znów mi się udało.

— Brawo! — krzyknął Kamante.

Jeszcze nie bardzo przytomniałem, więc nie zdążyłem mu odpowiedzieć.

— Hej! — odezwał się znów Kamante. — Śpisz sobie, kochany?

— Udało się, stary! Udało mi się! — krzyknąłem w wielkiej radości serca i chciałem coś jeszcze mu powiedzieć, coś ważnego i wesołego, kiedy znowu usłyszeliśmy dobrze już znajomy głos:

— Czy koledzy muszą bez przerwy rajdać?

— Jak to „bez przerwy”? — spytał uprzejmie Kamante.

— No to z przerwami.

— Proszę może przejść na inną falę — doradziłem słodkim głosem.

— Czy mam kochanym kolegom przypomnieć instrukcje dotyczące zasad posługiwania się wspólną falą? To skandal! — pytlował jasny sopran z prawdziwą furią. — Ja wykonuję najtrudniejszą ewolucję rajdu, a tu mi ktoś wrzeszczy wprost do ucha, że „udało się”. Przecież mało brakowało, a wypadłabym z trasy. I daję słowo honoru: w wypadku nadużywania przez was fali rajdowej wniosę zażalenie do komisji sędziowskiej. Rozumieją „kochani” koledzy?

— Rozumiem — powiedziałem dość pokornie.

— Rozumiem i przepraszam — rzekł poważnym głosem Kamante.

— Ja też przepraszam — dodałem jeszcze ciszej.

Odpowiedziało nam jakieś niewyraźne damskie westchnienie, coś w rodzaju „dziękuję”, i znów zapanowała między nami cisza.

Spadaliśmy teraz ze szczytu spirali jak w czarną ogromną przepaść, do pierwotnego poziomu trasy. Minęliśmy trzy czwarte drogi — widziałem to na płycie z obliczeniami.

„Jeszcze tylko pół godziny — powtarzałem sobie — jeszcze tylko około trzydziestu minut”.

Wiedziałem, że przyjdzie chwila, w której trzeba będzie przejść co najmniej dziesięciokrotne przeciążenie. A ja byłem jednak dość zmęczony.

Zaczęły mi migać ciemne płatki przed oczami — niczym mała zamieć czarnego śniegu. Kamante wchodził już w dawny poziom trasy. Wchodził weń przepięknym czystym łukiem, a mnie po raz pierwszy ogarnął głupi strach, że tym razem absolutnie nie potrafię już dać sobie rady, że bardzo mało brakuje mi do wypadnięcia z toru.

Serce podchodziło do gardła, nie widziałem wyraźnie zegarów. Jak długo to trwało — sekundę? dwie? trzy? Nie mogło trwać dłużej niż pół sekundy, bo jeszcze zdążyłem przygotować cały układ sterowniczy do wyjścia z łuku. Czułem, jak wykrzywia mi się twarz, ręce robią się ciężkie, każdy palec waży tonę. Przez moment, przez jakiś ułamek sekundy, straciłem wzrok.

I właściwie w owej chwili miałem już dość tego wszystkiego. Po co się tak pchałem — niczym najbardziej zarozumiałą dureń — pomiędzy dziesięć razy lepszych od siebie? Bez przygotowania, bez własnych obliczeń, bez treningu, w kondycji przypominającej kondycję stuletniego

słoniątka kulawego na lewą tylną nogę. Gdybym był rozumnym i zdrowo myślącym młodym człowiekiem, zostałbym choćby przy owym zataczającym się nieco „cytrynku”. Obaj byśmy sobie porozmawiali o pogodzie, o tym, że nie ma sensu zbyt się śpieszyć i że w ogóle trzeba szanować życie spokojne i nie nazbyt szybkie.

A ja oto tkwiłem teraz między Kamantem a ową zjadliwą, zmijowatą „trzydziestką piątką”, która nieustannie siedziała mi na ogonie, milcząc złowieszczo i czekając tylko na moment, kiedy zawoła wreszcie do mnie, do biednej i wielce umęczonej „trzydziestki dziewiątki”: tor wolny.

Jak miło i wesolutko byłoby teraz zwiedzać jakieś księżycowe muzeum, oglądać z uwagą szacowne eksponaty i słuchać głosu mechanicznego przewodnika, który na przykład mówi tak... Nie wymyśliłem sobie jeszcze, co mówi ów mechaniczny przewodnik, gdy nagle przeszły mnie zimne ciarki od stóp do głowy. Oto usłyszałem tuż za sobą słodki i niezwykle tym razem uprzejmy głosik:

— Tu „trzydzieści pięć"! Proszę o wolny tor.

Tak było! Tak się stało! Zbliżyła się do mnie na odległość, w której miała pełne prawo zażądać ode mnie tego, czego zażądała: wolnego toru.

— Tak jest! — powiedziałem z baranią potulnością, schodząc na prawą stronę toru.

Jej „dziękuję bardzo” było powiedziane na leciutkim, ale piekielnie złośliwym uśmiechu. Skąd ta słodycz do owej kosmicznej jędzy? Zszedłem wprawdzie na prawo z iście zadziwiającą

uległością, ale oto poczułem, że budzi się we mnie całkiem nowa zawziętość i całkiem prawdziwa złość.

— Nie ma za co! — wrzasnąłem. — Nie dość, że wyprzedza, to jeszcze dziękuje!

Odpowiedział mi cichutki i wesoły śmieszek. Co gorsza: odniosłem takie wrażenie, jakby Kamante też się mocno ubawił ową przykrótką, ale bogatą w uczucia rozmówką, usłyszałem bowiem podejrzanego jego parsknięcie. Nie spytałem jednak, czy przypadkiem nie męczy go katar. Bo w istocie — teraz mogę już uczciwie przyznać — dzięki tej jędzowatej „trzydziestce piątce” przestałem wreszcie sklamrzeć, odrzuciłem głupie współczucie i litość nad własnym losem.

„Poczekajcie no tylko” — pomyślałem sobie. Pomyślałem to sobie jednak chyba trochę za głośno, bo natychmiast usłyszałem odpowiedź słodkiego głosiku z „trzydziestki piątki”:

— Z wielką chęcią poczekamy. Ale na mecie.

— Bardzo przepraszam — rzekłem zduszonym z lekka głosem — nie mam jednak czasu na rozmowy.

Minęliśmy pierwszą małą pętlę w pionie, na której znów trochę straciłem, a po dwóch długich minutach przyszła pętla pozioma, na której, dla odmiany, jakbym nieco odzyskał dystans do „trzydziestki piątki”.

W ekrany wlaży już nam Księżyc. Ogromna, szaro-srebrna tarcza o przezrystej widoczności. Okolice Morza Spokoju. Mimo wszystko na chwilę zapomniałem o wszelkich sprawach szkolnych, rodzinnych i sportowych. Pomyślałem, że przecież jest on piękny mimo pozornej szarości i jednostajności powierzchni.

— Paweł — usłyszałem nagle głos Kamantego. — Gdzie jesteś?

Obudziłem się z krótkiej chwili zachwytu. Znów poprawiłem się wygodniej w fotelu, uśmiechnąłem się.

— Za „trzydziestką piątką” — powiedziałem.

— Dość daleko — zasyczał słodki głosik.

— Ale nie tak bardzo — dodałem i Kamante wybuchnął wielkim, radosnym śmiechem, takim, jakim w gruncie rzeczy umiejają się śmiać tylko Afrykanie.

Powiedziałem zresztą prawdę. Na obecnej prostej szedłem za „trzydziestką piątką” w całkiem przyzwoitej odległości. I gdyby już teraz kończył się ten zwariowany rajd, być może potrafiłbym odzyskać sporo straconych sekund.

Ale obecnie miał się zacząć ostatni z trudnych odcinków rajdu: piętnaście falistych wzniesień — piętnaście razy w górę i w dół, w górę i w dół, w górę i w dół. A dla mnie ten właśnie odcinek był na pewno najtrudniejszy. Jak już wspomniałem, z samego patrzenia na mapę można było w tym miejscu dostać pierwszych lekkich objawów choroby morskiej. Teraz zaś nie była to już mapa, tylko siedem ostatnich tysięcy kilometrów drogi, na których trzeba będzie podnosić się w górę i opadać w dół, dodawać szybkości i wytracać ją, piętnaście razy w górę i w dół — i to wszystko przy moich (nie ma co ukrywać) wyraźnych skłonnościach do choroby morskiej. Oczywiście rakieta to nie jacht, a przestrzeń to nie fala Pacyfiku. Gdyby tak było, od razu wytraciłbym szybkość, przypiąłbym się do jakiegoś przytorowego sputnika i prosił o litość. Nie było dla mnie bowiem nic gorszego jak podskakiwanie łodzi czy jachtu na wysokiej fali. Przy najlepszych nawet środkach przeciwdziałających morskiej chorobie uzyskiwałem tyle, że trochę zzieleniały i dość otumaniony siedziałem na ławce pod żaglem i czekałem końca rozkosznej podróży jak zbawienia.

A co w tym wszystkim było najśmieszniejsze? Że odziedziczyłem to po ojcu, który wspaniale czuł się w głębinach Atlantyku i wędrował sobie bez kłopotu na głębokości ośmiu lub dziesięciu tysięcy metrów — natomiast nie wytrzymał ani fali morskiej, ani jazdy na karuzeli, ani

żadnych innych sposobów poruszania, które mącą zmysł równowagi.

Nie było zresztą sensu odwoływać się w owej sytuacji do ojcowskich i pójcowskich słabości. Jeśli doszedłem już do tego miejsca na jakiej takiej pozycji, to nie ma innej rady: trzeba się starać dalej i dalej o możliwie przyzwoitą lokatę, o utrzymanie tego, co już zdobyłem. Łatwo się tak jednak myśli i mówi, a z wykonaniem trudniej. Dopiero teraz, u końca trasy, zrozumiałem, jak wiele zdołałem zrobić dzięki prowadzeniu Kamantego i pogoni „trzydziestki piątka”.

Na całej pozostającej do rajdowego kosmodromu przestrzeni migwały świetlne punkty. Nie liczyłem ich dokładnie, ale była tego dobra dziesiątka. Startowaliśmy zaś w minutowych odstępach. Niejedni z tych, co jeszcze byli przed nami (nie mówiąc o tych już wyprzedzonych) musieli mieć czasy gorsze nie tylko od Kamantego i „trzydziestki piątka”, ale i ode mnie. Kamante wyprzedził mnie już na bardzo znaczną odległość. Teraz dopiero pokazywał, co umie. Z jego obliczeń wynikało, że na owej falistej linii konieczne są zmiany szybkości — nieduże, ale wyraźne. Tymczasem wydawało mi się, że Kamante w ogóle ich nie stosuje. Widocznie postanowił pójść na całego — na pełne ryzyko. Zapewne zdołał sobie obliczyć, że warto, że bliski jest któregoś z pierwszych miejsc. Może się myliłem — był już jednak trochę zbyt daleko, abym mógł dokładnie odbierać zmiany w jego szybkości. Nie chciałem się zaś doń odzywać nie tylko dlatego, żeby prosić o radę, ale także z myślą, żeby nie wyglądało to na jakieś skomlenie o pomoc, na prośbę o podciągnięcie mnie do właściwego tempa.

Miałem zresztą kogoś, kto robił to znakomicie, a nawet lepiej, niżbym sobie życzył. Była to „trzydziestka piątka”. Trzymałem się jej jak kleszcz. Mruczała coś do siebie pod nosem, nie mogłem jednak rozróżnić słów. Brzmiało to chyba jakoś o wiele łagodniej niż wszystkie jej dotychczasowe odezwania się.

Na pierwszym wzniesieniu, wpięrow ona, potem ja, wyprzedziliśmy numer „dwudziesty siódmy”, na trzecim dwie idące dość blisko siebie rakiety („trzydzieści” i „dwadzieścia dwa”) grzecznie ustąpiły nam miejsca.

Ale teraz znowu zaczęło być gorzej. „Trzydziestka piątka” rozpoczynała finisz. Miała widocznie dostateczny zapas sił i wielką ochotę na wysokie miejsce w ogólnej punktacji. Ja zaś tych sił miałem już mało. Znowu bardzo zgłodniałem — wyraźniej też zacząłem odczuwać niezbyt wielkie, ale coraz dokuczliwsze przeciążenie u dołu każdego z falistych wzniesień.

Musiałem rozstrzygać szybko. Czy zdecydować się na pewne obniżenie szybkości, na mały posiłek i krótki odpoczynek, czy pójść na całego i w złej kondycji psychicznej i fizycznej zaryzykować utratę tego wszystkiego, co dotychczas udało mi się zdobyć?

Ale właściwie nie było tu nad czym się zastanawiać. W obecnym stanie rzeczy powinienem mieć zapewnione miejsce w pierwszej piętnastce. A to by było całkiem przyzwoite wyjście z sytuacji. Przecież radzono mi „po cichu” trzymać się ogona rajdu. A ja nie przyjąłem tego do wiadomości i zrobiłem swoje. Teraz tylko należało dojść do mety w przyzwoitym tempie i bez żadnych błędów. A to znaczyło, że po prostu trzeba nieco się posilić i w żadnym wypadku nie wariować. Akurat „trzydziestka piątka” znowu kogoś wyprzedziła. Pomyślałem: „do widzenia na mecie, droga pani”. Obiecałem też sobie solennie, że kilka słów prawdy ta jędza ode mnie usłyszy. Potem zaś spokojnie zarządziłem całkiem smaczne śniadanko i trzymając się w równej odległości od poprzedzającej mnie jasnoróżowej rakiety typu RB-371 podjadłem jak należy. Zamówiłem na koniec kilka miętówek i przez dobrą minutę odpoczywałem nie zmieniając szybkości, nie myśląc o niczym, podnosząc się w górę i spływając w dół, ściśle wedle obliczeń z płytki ofiarowanej mi przez Kamantego. Byłem teraz całkiem z siebie zadowolony. Nie tyle zresztą z siebie, ile ze swojej uczciwości. Podajnik jedzenia miał bowiem też zespół środków, nie tylko spożywczych i wzmacniających, ale i podniecających. Zestaw ich przewidziany był na sytuacje ostateczne,

kiedy podajnik jedzenia z jednoosobowej restauracji zmienia się w jednoosobową aptekę. Przeszło mi nawet przez głowę, że jedna mała pastylka może mi rozjaśnić w głowie i odbudować kondycję w przeciągu sekundy. Byłoby to jednak oszustwo i łamanie regulaminu.

Wystarczyłoby, żeby potem ktoś uważniej spojrział mi w oczy, dostrzegł nadmierne rozszerzenie źrenic albo coś w tym rodzaju. Oczywiście, mógłbym się jeszcze wyklamywać, że zrobiło mi się słabo. Może by mi nawet uwierzono. Kłopot jednak w tym, że ja sam bym sobie nie uwierzył. A ostatecznie — być w porządku przed samym sobą — to całkiem sympatyczne uczucie.

Na siódmym wzniesieniu obudziłem się z tych powolnych rozważań i spokojnego rozleniwienia.

„Co się tak wleciesz? — pomyślałem z nagłym gniewem. — Roztkliwiasz się tu nad własną szlachetnością i uczciwością, a czas ucieka. Kamante pewnie doszedł już do mety, a »trzydziestka piątka« ledwie jest widoczna.

— Ostatecznie masz jeszcze co nieco do zrobienia w tym rajdzie, ty fafuło! — powiedziałem sobie po chwili.

Wychodziłem właśnie z dziewiątej fali. Zacząłem wspinać się znowu ku górze i przy okazji poprosiłem jasnorożową RB-371 (z numerem startowym „dwadzieścia”) o wolny tor. Było to może zbyt ryzykowne, bo na górnej krzywiznie o mało nie wyrzuciło mnie z trasy. Na szczęście nie zawiódł mnie prezent od dobrego starszego brata, moja miła XL-218. Dałem pełny ciąg sterowniczych dysz i zjechałem w dół na wysokiej szybkości. Znowu posłyszałem coś w rodzaju świergotu skowronków w uszach, ale nos mi już nie włożył na brodę, ani pięty nie myliły mi się z kolanami.

Złapałem drugi oddech! Tak, jak to bywa w zwykłym ziemskim lekkoatletycznym biegu na 800 metrów, kiedy po pierwszym okrążeniu wydaje się człowiekowi, że w płucach ma jedno zarżące palenisko, że nogi są z kamienia, a powietrze stawia opór, jakby było gęstą, brudną wodą — i oto nagle na pięćsetnym metrze łapie się właśnie ten wspaniały drugi oddech: w płucach znowu jest czyste i chłodne powietrze, nogi idą równym rytmem i finisz zaczyna się w jakby odnowionej psychicznej i fizycznej formie.

Dziesiąte wzniesienie... jedenaste, dwunaste!

Na dwunastym uprzejmie poprosiłem kogoś o wolny tor, ale nie pytałem nawet o numer. Byłem pewien, że na mecie czeka na mnie Kamante, a być może nawet sam Johannes Melassa wybrał się w te okolice, żeby z bliska przyjrzeć się, jak to skorzystałem z jego pomocy i dobrych rad.

Uprzytomniłem sobie również, że dziś po południu i wieczorem nasz rajd znajdzie swoją chwilę na teleściankach wielu domów i że przecież jestem w tych zawodach jedynym przedstawicielem Środkowej Europy, co wprawdzie nie jest wydarzeniem historycznym, ale jednak będzie nie tylko w naszej szkole i naszym mieście przedmiotem co najmniej kilkudniowej gadaniny.

Zrobiło mi się trochę zimno, potem trochę gorąco, aż wreszcie ochłonałem.

Na trzynastym wzniesieniu uciekała przede mną jakaś rakietka w zbyt szybkim tempie. Nie chciałem jej gonić ani wyprzedzać. Postanowiłem w sposób ostateczny, że musi mi wystarczyć to, co do tego czasu zrobiłem. Czternasty i piętnasty luk były wyższe od innych i miały krótszą cięciwę.

I właśnie na piętnastym wzniesieniu ów uciekający przede mną wystrzelił w górę o wiele za wysoko, zgubił trasę, przeskoczył ją o dobre trzysta kilometrów. A ja już schodziłem w dół, na ostatnią szczęśliwą prostą. Dopiero tutaj mogłem wydusić z mojej raketki ostatnie sekundy, ostatnie dziesiąte i setne sekund wliczane w mój czas.

Który byłem? Na jakie miejsce udało mi się wskoczyć?

Jeszcze tysiąc, jeszcze pięćset, jeszcze tylko sto kilometrów i wreszcie usłyszałem głos dzwonu w słuchawkach, czerwone światło pod górnym ekranem, ujrzałem ogromny, świetlisty napis

„Meta” i zacząłem hamować, hamować, hamować.

— Uwaga: „trzydzieści dziewięć!” — usłyszałem w słuchawkach.

— Tak jest — powiedziałem. — Tu „trzydzieści dziewięć”.

— Lądować w kwadracie F.

Nareszcie. Kwadrat, w którym miałem lądować, rozświetlił się jasną zielenią.

Po minucie wychodziłem już ze swojej XL-218. Pogładziłem ją z czułością i na całkiem miękkich nogach stanąłem na płycie kosmodromu. Tuż obok mnie, w kwadracie E, stała „trzydziestka piątka”. A gdzie rakietka Kamantego? Wydawało mi się, że stoi w kwadracie B. Nie wiedziałem, jak to rozumieć? Czy owa kolejność ma coś wspólnego z kolejnością zajętych miejsc? Nie dano mi jednak czasu na dłuższe rozmyślenia, usłyszałem wezwanie, aby chętni zaczęli zbierać się w Sali Głównej kosmodromu, gdzie odbędzie się uroczystość zakończenia rajdu i rozdania nagród zawodnikom. Głos spikera dodał również, że do dyspozycji uczestników rajdu, którzy już ukończyli konkurencję, oddane są sale bufetowe, sala wypoczynkowa oraz telewizyjna, skąd można obejrzeć zawodników, którzy mają jeszcze przed sobą drogę do mety. A ponieważ ostatni z nich spodziewany jest na kosmodromie dopiero za jakieś pół godziny, komisja sędziowska rajdu prosi zawodników, obserwatorów, jak też zaproszonych gości do sali głównej na godzinę dwunastą czasu księżycowego.

Miałem przed sobą do wyboru: bufet czy sala wypoczynkowa? O sali telewizyjnej nie chciało mi się nawet myśleć. Na razie rajdu miałem powyżej uszu, powyżej czoła i w ogóle powyżej wszystkiego. Wszedłem do hali kosmodromu, która była w poważnej mierze budynkiem zabytkowym. Niektóre jej fragmenty miały ponad dwieście lat. Byłem tu już przed rokiem, z ojcem i Lutkiem, ale tym razem wywarła na mnie ona o wiele silniejsze niż dawniej wrażenie. Nie był to duży kosmodrom. Nosił zaledwie numer osiemnasty. W tej okolicy jednak przed bardzo wielu laty człowiek po raz pierwszy dotknął powierzchni Księżyca. Dlatego też stacja ta miała bezpośrednie połączenie z Muzeum Pierwszych Wypraw i tu, z tego miejsca, często rozpoczynały swą trasę ziemskie wycieczki.

Wycieczki! Walnąłem się w czoło, ale na szczęście nie zdażyłem zdjąć jeszcze hełmu, który elastycznie odbił moją pięść. Miałbym na czole całkiem dobrego guza, gdyby nie hełm właśnie. Kilka osób obejrzało się w moją stronę z niemalym zdziwieniem, ktoś nawet głośno się roześmiał. Zdjąłem więc hełm i rozpinając u szyi skafander ruszyłem do Głównego Informatora. Odnalazłem go szybko.

W przestronnej salce informacji siedziało sześć całkiem miłych robotów. Mnie jednak potrzebny był człowiek — jako że (tak myślałem) moja sprawa była zbyt skomplikowana i zawiła, żeby mogły mi pomóc te zgrabne i sympatycznie wyglądające maszynki. Poprosiłem zatem o połączenie z kierownikiem. Oświadczone mi, że będzie tu w ciągu minuty, a oświadczył mi to robot przypominający nieco z głosu i wyglądu naszego miłego Domka.

Istotnie, w ciągu minuty pojawił się kierownik. Wyjaśniłem mu w kilku zdaniach swoją sytuację: że przybyłem tu z rajdem, ale w istocie poszukuję swojej szkolnej wycieczki, że wycieczka jest z takiego a takiego miasta, że przybyła kosmobusem numer taki a taki i że bardzo pragnąłbym porozumieć się z jej kierownikiem, jako że ogromnie mi zależy na dołączeniu się do niej choćby z opóźnieniem, albowiem bardzo mi też zależy na wykazaniu swoich dobrych chęci w całej tej sprawie.

Kierownik lekko się uśmiechnął i zwrócił się do owego robota przypominającego Domka.

— Ile potrzebujesz czasu, Sylwester?

— Około dwu minut.

— A więc, mój drogi — znów uśmiechnął się do mnie kierownik — sprawa będzie załatwiona

w przeciągu dwóch minut. Poczekał sobie spokojnie w tym miejscu, a Sylwester obsłużył go w sposób całkowicie zadowalający. Zapewniam. Do widzenia.

I już go nie było.

Sylwester miał przed sobą niewielki pulpit telekomunikacyjny i grał na nim swoimi dwudziestu palcami jak wielki pianista na koncertowym fortepianie.

— Przepraszam cię, Sylwester — powiedziałem czując się trochę nie w porządku zarówno wobec kierownika (którego najwidoczniej oderwałem od jakiejś ważnej roboty), jak wobec samego Sylwestra, któremu nie zaufałem w sposób dostateczny.

— Nic nie szkodzi, proszę bardzo — odpowiedział Sylwester. — Zaraz łączę.

Oblizałem wyschłe wargi, wyprostowałem się nieco, na pulpicie Sylwestra zaświeciło się światelko.

— Paweł? — usłyszałem znajomy głos opiekuna klasy.

— Tak jest, bo ja właśnie...

— Wiem wszystko. Dostaliśmy już wiadomość ze Stodwudziestki. Poza tym oglądaliśmy fragment twoich wyczynów na rajdowej trasie.

— Ale ja chciałem...

— Co ty chciałeś, nie jest już takie ważne i w odpowiednim czasie wymienimy na ten temat kilka słów.

— Tak jest.

— Ważne jest to, co teraz chcesz zrobić i co w ogóle będziesz mógł zrobić. Otóż, drogi mój Pawełku, będziesz, zdaje się, musiał poczekać na uroczystość zakończenia rajdu.

— Tak mi się zdaje — westchnąłem.

— Nie wzdychaj, nie wzdychaj — roześmiał się profesor. — Nie bądź taki skromniutki, bo w gruncie rzeczy jesteśmy z ciebie całkiem zadowoleni. Rozmawiałem z Johannesem Melassą i nie tylko z nim. Gratulacje odkładamy na później.

— Jakie gratulacje? — zawołałem udręczonym głosem.

— To ty jeszcze nic nie wiesz?

— Nie. Nic.

— No to się wkrótce dowiesz — powiedział spokojnie profesor Górka. — A jeśli chodzi o nasze sprawy, to zaraz po zakończeniu rajdowych uroczystości wejdź na szóstą trasę wycieczkową i staraj się pośpieszyć. Może jeszcze nas dogonisz. A jeśli ci się to nie udało, i tak nie będzie nieszczęścia, bo masz własną rakietę, i tak czy tak musiałbyś na niej wracać.

— A co do klasówki... — zacząłem nieco jęklonie.

— Nic się nie martw. Każdy ma opisać to, co widział i przeżył w tym dniu. Więc o co ci chodzi? Będziesz miał trochę odmienne niż reszta historyjki do opisanie. Tym sposobem i tym razem będę miał przynajmniej pewność, że nikt ci nie pomaga, co... o ile pamiętam... niegdyś się zdarzało.

Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, bo profesor po prostu miał rację na temat tego, co się niegdyś zdarzało.

— Jesteś tam jeszcze? — zaśmiał się profesor.

— Jestem...

— A więc pamiętaj: szоста trasa wycieczkowa. Odlot z kosmodromu Osiemnastego. Do widzenia, Paweł.

— Do zobaczenia, proszpanpsora — odpowiedziałem możliwie dziarskim głosem.

Ach, ten dzień! Kiedyż on się wreszcie skończy?

Powinienem był przewidzieć, że przy moim szczęściu profesor wybierze właśnie tę trasę

wycieczkową, na której byłem już z rodziną, ale dość dawno, tak że nie pamiętałem jej zbyt dobrze. Nie tak dobrze, żeby móc na przykład pozostać teraz w sali wypoczynkowej kosmodromu i czekać w spokoju umysłu i serca na powrót moich wycieczkowiczów.

Uśmiechnąłem się z rezygnacją do Sylwestra, podziękowałem mu najserdeczniej, jak umiałem, i zacząłem się zastanawiać, dokąd skierować swoje kroki. Do tej jednak dyskusji, którą sam z sobą prowadziłem, włączył się ktoś trzeci: a mianowicie mój żołądek. Przyznaję: miał on swoje racje. Te dwa małe śniadanka, jakie zafundowałem sobie i jemu na Stodwudziestce oraz w trakcie rajdu, wcale nie mogły nas zaspokoić. Wyszedłem z salki informacyjnej do hali głównej.

Pozbyłem się skafandra wraz z hełmem, pozostawiłem je w przechowalni bagażu osobistego, zgłosiłem też prośbę do miejscowego ośrodka obsługi technicznej, aby przejrano moją XL-218, pozostawioną w kwadracie F.

Wreszcie skierowałem się w stronę bufetów. Wjechałem sobie wygodnie ruchomym chodnikiem. Obmyśliłem też nie bez cichej radości mały zestaw potraw którymi teraz się posiłem. Niepokoiły mnie trochę te "gratulacje", o których wspominał profesor. Postanowiłem jednak, że na razie mam czas na wszelkie kłopoty i zmartwienia. Wpierw dobrze zasłużony obiadek — potem będziemy cieszyć się lub martwić.

Podjechałem pod drzwi z napisem: „Bufet dla użytku rajdowców". Wszedłem do środka. Dość gęsto tu było, a mimo to w salce panowała atmosfera spokoju i skupienia — co niewątpliwie oznaczało, że nie ja jeden mocno w czasie rajdu zgłodniałem. Podeszedłem do automatów, wziąłem tacę największego kalibru i rozejrzałem się po spisie potraw,

O, było się w czym rozejrzeć! Czas jednak (a raczej żołądek) wymagał szybkiej decyzji.

Wybrałem więc porcję kremu z porów i selerów, indyka po grecku, kompot francuski oraz tort ormiański. Taca zrobiła się ciężka. Rozejrzałem się za jakimś wolnym fotelem, ale uprzedził mnie sam automat wskazując kierunek i numer wolnego miejsca. Ruszyłem w tę stronę i z radości omal nie upuściłem tacy na ziemię. Przy stoliku, nad którym zadrgało żółte światełko oznaczające, że właśnie tam czeka na mnie wolny fotel, siedział Kamante!

Co za radość! Stolik był wprawdzie trzyosobowy, siedział przy nim ktoś jeszcze, zasłonięty wysokim oparciem fotela. Nie obeszło mnie to jednak. Najważniejsze było, że dobry przypadek znów nas ku sobie przybliżył: mnie i najwspanialszego z chłopców, jakich znałem, Wielkiego Kumpla: Kamantego Ota z Republiki Kenijskiej. Już mnie dojrzał, już kiwał na powitanie ręką, śmiał się oczami, zębami, ustami, całą twarzą, całym sobą witał mnie i pozdrowiał. Ucieszył mnie ów śmiech nadzwyczaj. Świadczył o tym, że Kamante chyba mnie polubił. A w każdym razie cieszył go mój widok — i to szczerze!

Podeszedłem do stolika, ustawiłem swoją tacę na właściwym miejscu i spojrzałem wreszcie na naszego sąsiada. Nie był to jednak sąsiad, lecz sąsiadka. Oto tuż przed sobą ujrzałem mnóstwo złotorudych włosów, obciętą ponad ciemnymi brwiami złotorudą grzywkę oraz jasne oczy, mieniające się to jasną zielenią, to ciemnym błękitem, delikatne usta, twarz o rysach łagodnych (nie zanadto jednak), no i całą smukłą sylwetkę młodej dziewczyny, która spodobała mi się jeszcze na Stodwudziestce, a która teraz, w ciągu jednej długiej sekundy, zrobiła na mnie wrażenie, jakiego — mówiąc uczciwie — w życiu jeszcze nie zaznałem. Mogę dać solidne słowo honoru, że należałem do typów żaroodpornych i tak zwana dziewczęca uroda bawiła mnie nie bardziej niż jakiś średnio trudny problem trygonometryczny. Tym jednak razem...

— Siadajże wreszcie, człowieku! — powiedział Kamante podejrziwym nieco głosem.

A potem przedstawił nas.

Usłyszałem jakieś z angielska brzmiące imię i nazwisko — a także informacje, że dziewczyna pochodzi z Kanady. Usłyszałem to zaś jak zza ściany, niedokładnie i niewyraźnie. A żeby

całkowicie nie zbaranieć, bąknąłem, że bardzo lubię Kanadę, za co młoda osoba grzecznie podziękowała.

Usiadłem wreszcie, a ona spojrzała na mnie oczami, jakich na pewno jeszcze w życiu nie widziałem.

Kamante mówił coś o tym, że wkrótce już trzeba będzie udać się na uroczystość zakończenia rajdu. Ja zabrałem się do jedzenia. Ale wbrew wszelkim przewidywaniom wcale mi to nie szło. Mimo że nie patrzyłem przed siebie, wciąż miałem przed oczami ową jasną dziewczęcą twarz, pełną łagodności i spokoju. Staralem zachowywać się jak człowiek normalny, ale wcale nie jestem pewien, czy mi się to jakoś udawało. Brała udział w rajdzie. Słyszałem, że wymieniają z Kamantem jakieś drobne uwagi na temat niektórych fragmentów trasy i stopnia ich trudności.

Zdołałem przebrnąć przez pierwsze dwa dania i pierwsze minuty ogłupienia, odzyskałem słuch — i coś zaczęło mnie niepokoić. Po raz trzeci tego dnia pytałem siebie: co jest dla mnie w tej dziewczynie znajomego? Tym razem był to jej głos — niezwykle czysty i dźwięczny.

Nie mogłem sobie za żadną cenę uprzytomnić, a przecież wiedziałem, że znam go na pewno.

Może po prostu był podobny do głosu którejś z wielkich aktorek? Wciąż brakło mi odpowiedzi, a nie będąc pewnym swego własnego głosu milczałem uparcie, choć bez przekonania.

— Musiałeś być bardzo głodny — zaśmiała się dziewczyna.

To było do mnie. Chrząknąłem raz i drugi.

— I owszem — odpowiedziałem wreszcie — musiałem być bardzo głodny.

Tamci oboje zaczęli się śmiać, jakbym powiedział zamierzony dowcip, a ja ze złości na siebie mało nie zadławiłem się kawałkiem ormiańskiego tortu. Dziewczyna śmiała się prześlicznie, odchylając nieco głowę do tyłu i przymykając owe to zielone, to niebieskie oczy.

Trudno — czas wreszcie wyznać całą prawdę: trafiło mnie. I to mocno! Spodobała mi się ta dziewczyna wysoko ponad wszelkie znane mi normy. Nic więc dziwnego, że przy tej okazji również wysoko ponad normę zgłupiałem. Kamante na pewno to zauważył, a mogłem się spodziewać, że ona lepiej niż Kamante dostrzegła, co się ze mną dzieje. I jednego tylko wciąż nie wiedziałem: skąd ja znam ten piękny dziewczęcy głos? Byliśmy wprawdzie z rodziną na kilkunastu wycieczkach w Kanadzie. Raz spędziliśmy nawet cały tydzień nad cudownymi jeziorami Manitoby. Ale przecież nie poznałem jej wtedy. Na pewno zapamiętałbym nie tylko głos.

Chciałem właśnie spytać, skąd mogę go znać, kiedy ona pierwsza pochylając się lekko w moją stronę wypowiedziała najwyraźniej następujące zdania:

— A w gruncie rzeczy całkiem miły z ciebie chłopak. Wpadnij kiedyś do nas. Masz tu adres. Porozum się ze mną kilka godzin wcześniej i wpadnij koniecznie — i podała mi swoją kartkę adresową ze wszystkimi danymi, które potrzebne były do odnalezienia jej na wielkiej, zielonej Ziemi.

Wstała, skinęła ręką i odeszła w stronę wyjścia. Patrzyłem za nią i ledwo zdążyłem się odklonić, a Kamante aż skręcał się ze śmiechu obserwując, co się dzieje ze sprawnością obu moich — wyższego i niższego — układów nerwowych.

— „Wpadnij... wpadnij...” A ty już wpadłeś, człowieku! Już wpadłeś! — powtarzał i lży ciekły mu po czarnych policzkach.

W pierwszej chwili chciałem ostro zaprotestować i wyprzec się wszelkich podobnych insynuacji oraz podejrzeń. Nie wyszło mi to jednak.

— Uwaga! — odezwał się głośnik. — Uczestnicy rajdu proszeni są do Sali Głównej na uroczystość zakończenia dzisiejszych zawodów.

— Idziemy! — powiedział Kamante.

Przy wyjściu zrobił się mały ścisk, ale minęło to w kilka sekund.

Płynęliśmy ruchomym chodnikiem ku Sali Głównej. Było w niej pełno widzów, obserwatorów, organizatorów, przedstawiciele telewizji i filmu ze swymi kieszonkowymi kamerami. Na podium po lewej stronie usadowiła się komisja sędziowska, po stronie prawej przygotowano miejsce dla pierwszej, zwycięskiej piątki zawodników. Nie rozglądałem się zbyt na boki. Szedłem po prostu śladem Kamantego do pierwszego rzędu foteli zarezerwowanego dla zawodników.

Usiadłem na miejscu z numerem 39 i wbiłem oczy w podłogę. Ogarnęła mnie cicha melancholia. Miałem nikłą nadzieję, że udało mi się wejść do pierwszej piętnastki, może nawet do pierwszej dziesiątki. Zapewne z tych to powodów składał mi swoje gratulacje profesor. Rzecz właściwie była dość prawdopodobna. Równocześnie jednak zrobiło mi się żal, że nie znajdzie się dla mnie miejsca pośród piątki zwycięzców.

Przez salę przeszedł szmer, a zaraz potem nastąpiła uroczysta cisza. Zaczął mówić przedstawiciel organizatorów i bardzo szybko owa uroczysta cisza zmieniła swój charakter. Już po pierwszych słowach zorientowano się, że ten starszy pan o rysach Chińczyka i jasnych włosach bardzo lubi przemawiać.

Czas włókł się nieznośnie. W tylnych rzędach szumiało wyraźnie — my jednak siedzieliśmy w pierwszym. Wypadało więc zachowywać się w sposób przyzwoity oraz w miarę możliwości dostojny.

Wcisnąłem się w fotel i przymknąłem oczy. Po prostu tak ze mną bywa, że kiedy zdarza się coś takiego jak ta przydługa mowa, zaczynam się wstydzić. I za tego, który mówi, i za siebie jako słuchacza. Kamante szepnął coś do mnie, tak jednak cicho, że nie dosłyszałem. Nie chciałem pytać, o co mu chodzi. Spojrzałem na niego, ale właśnie przez salę przeszły huczne oklaski i mówca z bardzo zadowoloną z siebie miną usiadł wreszcie z powrotem za stołem.

Podniosła się wtedy ze swego miejsca owa miła Japonka, która rozdawała nam na Stodwudziestce numery startowe. Brawa umilkły natychmiast i dopiero teraz zrobiła się prawdziwa cisza. Ogłoszenie wyników.

Spojrzałem na Kamantego — zacisnął ręce, na skroni pojawiły mu się drobne kropelki potu.

Japonka powiedziała miłym głosem:

— Nado Khan, numer ósmy, miejsce pierwsze.

Na wielkiej tablicy świetlnej ponad podium zwycięzców ukazały się natychmiast te same słowa wraz z dokładnym wyliczeniem czasu zwycięzcy. Równocześnie na podium wszedł wysoki, smukły jak trzcina Hindus o zrosniętych nad oczami brwiach i bardzo zakłopotanym, ale i bardzo szczęśliwym wyrazie twarzy. Usłyszałem głęboki oddech Kamantego, ale nie zdążyłem nawet uścisnąć mu współczująco ręki, gdy Japonka zapowiedziała:

— Kamante Ota, numer trzydziesty ósmy, miejsce drugie.

Kamante zerwał się ze swego fotela, a na sali podniosły się wielkie brawa, albowiem z napisu, jaki ukazał się na świetlnej tablicy, wynikało, że Kamante spóźnił się za Nado Khanem zaledwie o cztery dziesiąte oraz jedenaście tysięcznych sekundy.

— Izabella Juarez, numer szesnasty, miejsce trzecie. Spojrzałem w lewo na uśmiechniętą wesoło, długonogą i długonosą Brazylijkę. Równocześnie ujrzałem coś, co wydało mi się rzeczą nie do wiary: o cztery fotele w lewo ode mnie siedziała owa dziewczyna, którą poznałem przed kilkunastu minutami w bufecie!

Zazwyczaj myślę dość szybko, a rachuję jeszcze szybciej. Japonka ogłosiła właśnie imię, nazwisko oraz numer startowy zdobywcy miejsca czwartego, ale ja tego nie słyszałem ani nie widziałem, co się dzieje. Byłem bowiem zajęty obliczaniem, w którym fotelu i pod którym numerem siedziała ta dziewczyna o oczach koloru jezior Manitoby i czystym pięknym głosie.

Obliczałem i obliczałem — i nie było ratunku przed wynikiem. Siedziała w rzędzie przeznaczonym dla zawodników, i to najwyraźniej pod numerem trzydziestym piątym! Pod numerem trzydziestym piątym! A więc stąd znam ten dźwięczny głos i ten czarujący śmiech?! Tak! Nie miałem jednak czasu na dalsze rozważania. Nagle ucichły brawa dla zdobywcy czwartego miejsca i Japonka ogłosiła kolejną zapowiedź. Była ona nieco bardziej skomplikowana i dłuższa niż pozostałe. Brzmiała zaś następująco:

— Ze względu na uzyskanie przez dwoje zawodników czasów zgodnych co do tysięcznych części sekundy, komisja sędziowska postanowiła przydzielić piąte miejsce równocześnie im obojgu: Są to: Iris Dalton, numer trzydziesty piąty, oraz Paweł Kostal numer trzydziesty dziewiąty.

Iris wstała pierwsza, swobodnie i z wdziękiem. A mnie cały kosmos zaczął nagle walić się na głowę. Po pierwsze, nareszcie dowiedziałem się, kim w istocie jest i jak naprawdę wygląda owa kosmiczna jędrza z trasy — ta, której obiecałem powiedzieć kilka słów do słuchu, i to tak, żeby na długo je sobie spamiętała. Co gorsza: Iris wstając ze swego miejsca spojrzała na mnie i najwyraźniej pokazała mi język. A po drugie, chciało mi się skakać i wrzeszczeć z radości jak jakiejś całkiem nieodpowiedzialnej i niedojrzałej umysłowo jednostce w całkowicie dziecięcym wieku.

Wziąłem piąte miejsce! Wziąłem je do spółki z tą uroczą i nieporównaną jędrzą kanadyjską! I tak oto w jednym i tym samym dniu przeskoczyłem aż dwa stopnie karty pilotażu.

Nie bardzo pamiętam, jak przeszedłem przez salę i jak wdrapałem się na podium. Zapewne znów huczało od oklasków — nie słyszałem ich jednak. Zachowywałem się bez wątpienia dość niedorzecznie. Na szczęście Iris wyciągnęła po mnie rękę i po prostu ustawiła obok siebie. Od razu poczułem się lepiej.

☞Ukłonże się! — zasyczał tuż obok mnie anielski głosik. Ukłoniłem się w stronę sali.

— Ależ z ciebie potrafi być jędrza — odpowiedziałem z wielką uprzejmością. Potem spojrzeliśmy na siebie zezem i po prostu bardzo zachciało się nam śmiać. Wiadomo, jak to bywa, kiedy w poważnej chwili, w której absolutnie nie wypada się roześmiać, ni z tego, ni z owego człowiek zaczyna dławić się wielkim chichotem. Łzy napływają do oczu, braknie oddechu, przepona napina się jak powłoka stratosferycznego balonu. Na szczęście Iris pierwszej udało się opanować ów atak i przytomnie walnęła mnie pięścią w plecy. Odzyskałem wreszcie oddech.

— Rączka też nielekka — szepnąłem kątem ust.

— Ty mnie jeszcze nie znasz — zaszemrała złowieszczo w odpowiedzi.

Nie zdążyłem odparować, że chyba zdołam kiedyś zapoznać się bliżej z jej bogatym charakterem — bo oto już podeszła do naszej szóstki komisja sędziowska z medalami, dyplomami i nowymi kartami pilotażu. Nie ma co ukrywać: nie ja jeden miałem mocno ogłupiały wyraz twarzy. Nado pokazywał światu kompletnie nieprzytomne oczy, Kamante cały się spocił, Brazylijka rozdziawiła gębę jak na pokaz, a nawet Iris wyglądała dość głupawo, kiedy po kolei dekorowano nas medalami, wręczano dyplomy oraz całkiem nowiutkie, srebrzysto lśniące karty pilotażu. Przyszła wreszcie błogosławiona chwila, kiedy skończył się ten teatr. Zeszliśmy na salę, ale tu dla odmiany obkoczyli nas telewizyjni i filmowi dziennikarze. Zacząłem pracować łokciami i kolanami, podobnie uczynił Kamante, Iris uczepiła się nas jak na holu a po kilku ciężkich minutach znaleźliśmy się wreszcie w spokojnym kącie. Tam dopadł minie sam Johannes Melassa, wziął w ramiona i uścisnął tak, że poważnie zaniepokoiłem się o moje zębra i obojczyki. A ponieważ śladem Melassy znów nadciągali foto- i telereporterzy, zaczęliśmy po prostu uciekać.

Melassa prowadził. Zawiódł nas do bocznej cichej salki. Zamknął jej drzwi, wyświetlił nad

drzwiami zakaz wstępu.

Było tu kilka foteli, regały z mikrofilmami, przy każdym fotelu podręczny aparacik do odczytywania ich, po prostu niewielka czytelnia dla pracowników kosmodromu.

— Dziełnie pan to załatwił — westchnęła Iris z uznaniem.

— Podziękuj — powiedziałem surowym głosem.

Od razu odezwała się w jej głosie owa znajoma nutka z trasy, która przy jej niewinnej i łagodnej urodzie dawała całkiem niezły efekt.

— A wolno mi wiedzieć — spytała zgryźliwie — jakiej to wybitnej osobistości mam dziękować?

Johannes tylko się roześmiał, na mnie zaś przyszła pora rozegrać dalszy ciąg tej sceny.

Ukloniłem się pięknie Johannesowi, potem Iris i wypowiedziałem formułkę jak z historycznego filmu:

— Pani pozwoli sobie przedstawić...

Poczuła, że coś tu nie gra. Ale nie wytrzymała.

— Pozwolę — powiedziała udając wielkiego człowieka. Ja zaś ciągnąłem dalej ze szczerą radością w sercu:

— ...pozwoli sobie przedstawić pilota i konstruktora Wielkich Wypraw... Johannes Melassę. Johannes podszedł do niej. Wyciągnął rękę do powitania. Uśmiechnął się całą swoją brzydką, wesołą i mądrą twarzą. Ja jednak patrzyłem na Iris. W pierwszej chwili chciała zerwać się z fotela, ale zawiodły ją siły. Jęknęła coś słabym głosem. W oczach miała zachwyt zmieszany ze wstydem oraz wstyd zmieszany z szacunkiem.

— Ludzie! To... to pan... sam... sam Johannes? — bełkotała niczym nieletnia papuga.

Dźwignąłem ją z fotela. Melassa uściskała jej rękę, my zaś obaj z Kamantem przyglądaliśmy się „trzydzieście piątce” okiem dość bezlitosnym.

— Widzisz, kochanie — mruknął z zadumą Kamante — każdy kiedyś może się naciąć, i to silnie.

Udała, że nie słyszy. Nie miała ona bowiem słabych nerwów. Znowu w najlepszej formie wypowiedziała kilka zgrabnych zdań pod adresem wielkiego, słynnego, niezwykłego i wspaniałego człowieka, o poznaniu którego marzyła od lat. Co więcej: brzmiało to wszystko tak wiarygodnie i tak prawdziwie, że samemu Melassie zrobiło się trochę niewyraźnie, a my z Kamantem spojrzeliśmy na siebie, kiwając tylko głowami.

— Nie ma na nią siły — szepnął Kamante wyłącznie na mój użytek, ale ona zdaje się dosłyszała. Jednak nawet nań nie spojrzała. Zwróciła się do mnie, a w jej czarującym uśmiechu było też coś takiego, że mimo wszystko przeżyłem małą chwilkę niepokoju.

— Nigdy! — rzekła słodkim swoim głosikiem. — Nigdy ci, Pawełku, tego nie zapomnę, że przedstawiłeś mnie samemu Johannesowi Melassie.

Było w tym podziękowanie prawdziwe i rzeczywiste. Ale w słowach „nigdy ci tego nie zapomnę” zabrzmiała też jakaś całkiem inna nutka. Byłem już zdecydowany na to, że po powrocie na Ziemię w pierwszy wspólny wolny dzień odwiedzę tę kanadyjską mieszanekę wybuchową zamkniętą w bardzo urodziwej osobie rodzaju żeńskiego. Zrozumiałem jednak, że będę musiał potężnie się pilnować. Na razie sytuacja była mniej więcej remisowa. Nie wyglądało mi jednak na to, że Iris nie spróbuje uzyskać jakiejś przewagi.

— Bardzo mi miło — powiedziałem, byle coś powiedzieć.

Mimo woli spojrziałem przy tym na zegar zawieszony nad drzwiami - i wreszcie przypomniałem sobie, w jakim celu i po co w ogóle tu jestem!

— Ratunku! — szepnąłem.

Zegar wskazywał godzinę dwunastą minut czterdzieści osiem. Gdzie jest teraz moja wycieczka? Kiedy wreszcie ją dogonię? Zrozumiałem, że gratulacje profesora były szczerze i że powitają mnie oni wszyscy chyba całkiem po ludzku. Ale od klasówki nie wywinę się jednak żadnym sposobem. Ach, ten dzień!

— Czy tobie gorzej, serce? — spytała czule Iris. — Wyglądasz jak sfrustrowany pierwotniak.

— Nie jest mi gorzej. Jest mi całkiem źle! — krzyknąłem, aż cofnęła się o pół kroku.

Zacząłem coś tam tłumaczyć, że szkoła, że wycieczka, że klasówka, że w ogóle. Jeden Melassa rozumiał, o co chodzi w całym tym bełkocie, ale tamci oboje na mnie patrzyli nie całkiem przytomnie. Postanowiłem jednak, że nie mam już czasu na dalsze tłumaczenia. Wydobyłem od Kamantego jego kartę adresową, uściśniłem im wszystkim ręce i wybiegłem do hali głównej. W jej głębi świecił napis: Trasy wycieczkowe.

Numer szósty był pierwszy z prawej.

Ruszyłem w jego stronę niemal biegiem. Potem przypomniałem sobie, że na trasach wycieczkowych potrzebne są hełmy i skafandry. Zawróciłem więc do przechowalni rzeczy osobistych. W małej garderobie wdziałem na siebie skafander. Ręce mi się trzęsły i bardzo mi to nie szło.

O trzynastej zero cztery stanąłem u wejścia szóstej trasy wycieczkowej.

Wcale nie było mi lekko na duszy.

Taśma trzecia

Wspomniałem (u końca taśmy drugiej), że wcale nie było mi lekko na duszy. W oczach osób postronnych takie stwierdzenie może wyglądać na bezczelne kłamstwo albo po prostu na nieuzasadnione pretensje do swego losu. Bo w końcu, jak obliczyć uczciwy rachunek tej opętanej księżycowej serii dnia dzisiejszego?

Zarówno spotkanie z Johannesem Melassą, jak cała ta nieprawdopodobna historia z rajdem kosztowały mnie sporo nerwów. Ale przecież w jednym dniu — a ściślej, w ciągu kilku zaledwie godzin przeskoczyłem dwa stopnie pilotażu! Sprawa jest więc jasna: nikt mi nie uwierzy, jeśli zechcę narzekać czy skarżyć się. A tymczasem moja prawda jest taka, że wcale nie było mi lekko na duszy, równocześnie zaś nie bardzo potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego i skąd się bierze owo melancholijne pojękiwanie. Może było to zwykłe okłapanie po dużym wysiłku? Może obiad zbyt obfity? Charakter mi się popsuł? A może zbyt szybko, jak na moje chęci, pożegnałem się z Kamantem i Iris? A mówiąc ściślej: z Iris i Kamantem.

Wyjaśnienie tych wszystkich zagadek przekraczało jak im razie moje umysłowe możliwości. W każdym z tych pytań kryła się jakaś sensowna, ale raczej cząstkowa odpowiedź. A dodać by można jeszcze, że dotychczasowy przebieg tego urozmaiconego dnia uczulił mnie na możliwość wszelkich nowych przygód i niespodzianek. Zacząłem marzyć o spokojnym popołudniu i wieczorze — o bardzo spokojnym i bardzo nudnym popołudniu i wieczorze. Ale do wieczora było jeszcze daleko. A przede mną? Trasa numer sześć i cała droga do domu. Co będzie, jeśli nadal będzie działać prawo serii? Na samą myśl o tym wzdrygnąłem się i westchnąłem bojaźliwie. Zaraz potem twardo sobie obiecałem, że od tej chwili będę mocno uważał i unikał wszelkich okazji do nieprzewidzianych rozrywek i urozmaiceń tak pięknie rozpoczętego dnia. Trafiłem szczęśliwie na moment, w którym żadna większa wycieczka nie władowała się na ruchome chodniki szóstej trasy. W zasięgu mego wzroku znalazło się zaledwie kilkanaście osób: dwie rodziny z małymi, ale uciszonymi na szczęście dziećmi i kilkoro samotnych turystów. To

wszystko. Było cicho i spokojnie. Raz i drugi przypomniały mi się zmienne w barwie, uśmiechnięte oczy Iris. Zamyśliłem się na ten temat, no i w końcu ogarnął mnie znów dobry łagodny spokój. Wokół nas panowała cisza dawnych stuleci: znaleźliśmy się w Muzeum Pierwszych Wypraw.

Ten fragment trasy pamiętam dobrze. Wstęga ruchomego chodnika przewijała się przez pawilony, w których umieszczono ściśle kopie pierwszych księżycowych pojazdów oraz staroświeckie, naiwne i płaskie portrety tych dzielnych ludzi, dla których przed kilku wiekami każdy lot i każde lądowanie na Księżycu było sprawą życia i śmierci.

Powinienem był się śpieszyć. Właściwie można by sobie stanąć na najszybszym paśmie ruchomego chodnika i ulgowo, bez rozglądania się i rozmyślania, dojechać z szybkością trzydziestu kilometrów na godzinę z powrotem do kosmodromu Osiemnastego, nie trując zbytnio nóg, oczu ani mózgu. Można by również zaopatrzyć się w prospekty; filmy przedstawiające całość trasy. Wystarczyłoby ich chyba na drugą — spokojną już i nudną — część księżycowej klasówki. Miałbym ją z głowy w trybie przyśpieszonym a bezpiecznym. I taki plan nie byłby nawet głupi. Miał jednak podstawową wadę: na pewno nie był uczciwy. Znajdowałem się wprawdzie w wyjątkowym położeniu: byłem spóźniony, zmęczony i miałem jakie takie prawo do taryfy ulgowej. Ale przecież — i mimo wszystko — byłem tu po raz pierwszy od kilku lat. Wtedy, jako ośmiolatek, patrzyłem na Muzeum Pierwszych Wypraw przede wszystkim jak na scenerię starożytnej, ciekawej i niezbyt zrozumiałej bajki. Teraz zaczynałem pojmować, jaka w istocie była treść owej „bajki” o pierwszym półwieczu zdobywania i zagospodarowywania Księżyca. Mijałem niewielkie milczące grupki turystów, zamyślane nad eksponatami czasu Pierwszych Wypraw.

Tak, powinienem był się śpieszyć. Zamiast jednak przejść na najszybsze pasmo ruchomego chodnika, zszedłem z niego w ogóle. Znalazłem się właśnie przy pierwszej budowli, jaką ludzie wzniesli na tak obcej i groźnej niegdyś powierzchni księżycowego globu.

Tym razem nie była to już żadna kopia ani makieta. Po prostu ogromny dach Muzeum pokrywał ową półkolistą, maleńką konstrukcję, naiwnie pomyślaną, bardzo źle zabezpieczoną.

Zajrzałem do środka. Nie sięgnąłem po prospekt, nie oglądałem się za przewodnikiem. Byłem sam na sam z dawno minionym czasem i ze swą pamięcią — nieudolną pamięcią, z której wracały imiona, daty, zwycięstwa i klęski. W tej pierwszej (księżycowej stacji — na owym pierwszym kosmicznym przyczółku człowieka — trwała głęboka cisza. Mimo woli schyliłem głowę przed imionami dawnych pilotów, naukowców, badaczy. Żyli tu, pracowali miesiącami i latami. Zachowała się dokładna dokumentacja ich pracy, ich życia i kilku niszczących to życie katastrof. Przed kilku tygodniami zdawałem na historii z tego właśnie tematu. A przygotowując się do egzaminu myślałem o tych pierwszych z zazdrością i podziwem. Zazdrościłem im, i to bardzo. Wspomniałem nawet o tym podczas egzaminu. Historyk pokiwał głową nie bez zrozumienia. Przyznał, że sam w moim wieku myślał nie inaczej. Ale potem spytał, czy w naszych czasach nie ma miejsca i szans dla podobnej odwagi i dzielności? Ileż ta jeszcze białych płam na mapach Saturna i Neptuna, ile jeszcze do zrobienia w walce o przeniknięcie tajemnic Wenus! A pierwsze Wielkie Wyprawy poza układ słoneczny?

Milczałem nie przekonany do końca. Potakiwałem głową, ale niezbyt szczerze. I dopiero tu, na progu owej niewielkiej budowli, pomyślałem sobie, czy oprócz starań o miejsce w Instytucie Matematyki nie powinienem pomyśleć o Szkole Głównej Wielkiego Pilotażu, gdzie przygotowywano załogi do pierwszych zwiadów poza układ słoneczny. Ostatecznie przebieg dnia dzisiejszego mógł mi dać niejaki nadzieje w tej materii, a i sam Melassa zrobił jakąś aluzję na ten temat. Zamyśliłem się nad ową sprawą poważnie i głęboko.

Lada rok przekroczę granicę pierwszej młodości. A co dalej? Około stu lat pracy, pracy coraz dojrzałszej, coraz bardziej świadomej. Czy zdołam sprostać swoim marzeniom i nadziejom? Czy potrafię sprostać czasom, w których żyję?

Nie mogę powiedzieć, jak długo trwały chwile owej zadumy i zamyślenia. Pytałem siebie o czas, który przyjdzie, o lata, które nadejdą. A zapomniałem o dniu, który mijał, o kwadransach i minutach uciekających przede mną. Znowu ogarnęła mnie panika! Bo na co sobie pozwoliłem? Na filozoficzne dywagacje i rozważania w tym właśnie czasie, w którym powinienem był pamiętać tylko o jednym: o dopędzeniu wychowawcy, koleżanek i kolegów!

Wskoczyłem jednym susem na najszybszą wstęgę chodnika. Musiałem zrezygnować z dalszych oddziałów Muzeum, niezależnie od tego, czy potrafię, czy nie potrafię o nim cokolwiek napisać. Niech się dzieje, co chce — jeden mam teraz cel i jedno zadanie: jak najszybciej ukończyć trasę i jak najprędzej wracać do domu. Póki jeszcze nie straciłem resztek rozumu i odwagi.

Byłem już chyba na ostatnim kilometrze trasy muzealnej, kiedy na taśmę mego chodnika wskoczył sympatyczny i ugrzeczniony robot z opaską mechanicznego przewodnika.

— Czy można w czymś pomóc albo coś objaśnić? — spytał z ukłonem.

Wyglądał rzeczywiście miło, mnie jednak zrobiło się trochę niewyraźnie. Chodziły bowiem plotki o nadmierze gorliwych i przejętych swymi obowiązkami przewodnikach, którzy śpieszących się turystów zawracali z drogi, by obszernie i dokładnie omawiać poszczególne fragmenty trasy. Wprawdzie nikt z moich znajomych nie zetknął się osobiście z takim egzemplarzem, ale przy moim szczęściu mogłem tego właśnie dnia trafić na podobnego gorliwca. Uśmiechnąłem się niezbyt mądrze — to pewne.

— Dziękuję uprzejmie — odrzekłem. — Ale ten odcinek trasy znam bardzo dobrze.

— Czy na pewno?

— Ależ na pewno — odparłem bardzo stanowczo.

— Zgubiłeś swoją grupę?

— Właściwie tak.

— Może nawiązać z nią kontakt?

— To na nic się nie przyda, bo już na Ziemi zgubiłem ją i teraz pozostaje mi tylko jedno: jak najszybciej się do niej przyłączyć.

— Rozumiem — powiedział robot, ale mógłbym się założyć, że niczego w istocie nie rozumiał. Jego głos przybrał ton nieco marzący.

— Bardzo bym chciał kiedyś zobaczyć Ziemię. Słyszałem, że jest inna niż Księżyc i bardzo piękna.

Nie wiedziałem, jak rozumieć jego tęsknoty. Oczywiście nie było mowy, żeby księżycowy robot — i to przewodnik wycieczkowej trasy — mógł kiedykolwiek dotrzeć na Ziemię. Przypominał mi nieco Domka z jego bogatym życiem uczuciowym.

— Ziemia istotnie bywa bardzo piękna — odpowiedziałem dość niepewnie.

Kończył się powoli odcinek trasy muzealnej. Mijaliśmy makiety nowożytnych osiedli księżycowych z ostatniego półwiecza. A robot-przewodnik, zamiast objaśniać ich historię, zamyślił się tylko smutnie. Antenka kiwała mu się na głowie w bardzo melancholijny sposób, ręce splótł przed sobą. Wyglądał jak obraz smutku i przygnębienia, oczywiście w kategorii robotów.

— Może ci jakoś pomóc? — spytałem. Drgnął, przebudził się z zamyślenia.

— A mógłbyś... — zaszeptał gorączkowo — mógłbyś przewieźć mnie jakoś na Ziemię?

— Jakoś?! — krzyknąłem. — Ale jak? Przecież nie wolno.

— Ano właśnie — westchnął. — Nie wolno. Koniec. Kropka. Nie wolno.

Chciałem mu poradzić, żeby zgłosił się do przeglądu technicznego, żeby mu te marzenia o Ziemi jakoś wyhamowano lub zatarto — on jednak już nie słuchał. Szepnął słabym głosem „do widzenia” i przeskakując taśmy chodników zniknął we wnętrzu którejś z makiet.

Dojechałem wreszcie do końca trasy muzealnej.

Obecnie miał się zacząć odcinek tak zwanej drogi otwartej. Tu już trzeba było zabezpieczyć skafandry i wdziać hełmy. Droga otwarta prowadziła bowiem przez odkrytą powierzchnię księżycową, wyłączona też była z pól sztucznej grawitacji, które obejmowały wszelkie miejsca zamieszkania i pracy na Księżycu.

Skierowałem się do pierwszego punktu informacyjnego drogi otwartej. Panował tu jednak tłok i ścisk. Od razu zrozumiałem, że stąd się wyrusza na ową wygodną trasę z chodnikiem i daszkiem. Przy drugim punkcie oznakowanym literą „B” było zaledwie kilka osób, przy trzecim już tylko jedna.

Było chyba jasne, że właśnie pod literą „C” mieści się informacja i obsługa drogi najkrótszej, ale i najtrudniejszej. Podszedłem tam.

— No, nareszcie! — usłyszałem mocno skrzypiący głos. — Nareszcie ktoś z charakterem!

Odezwał się tak stojący przy kiosku ów jedyny turysta, który wybierał trasę najkrótszą. Był to mężczyzna z ogorzałą twarzą, pomarszczoną jak stary orzech, całkowicie łysy i z grubymi, całkiem siwymi brwiami. Wyglądało na to, że osiągnął bardzo ładny wiek, nie wypadało jednak pytać tak od razu o sprawy dość prywatne.

Obsługujący robot spytał mnie o numer hełmu, potem podał cały zestaw przedmiotów, które mnie nieco zdziwiły. Był tam mały aparat alarmowy, zwój lekkiej, ale dość długiej liny i coś w rodzaju czekana. Równocześnie zauważyłem, że turyści spod innych kiosków przyglądają się nam uważnie i po trosze nawet jakby z podziwem.

Starego pana bardzo to bawiło. Roześmiał się, poklepał mnie po ramieniu, spytał, jak się nazywam, skąd pochodzę i jak się tu dostałem. Równocześnie — nie bardzo słuchając, co mówię — wdział hełm, opasał się przez ramię liną, przyczepił na piersi aparat alarmowy, osadził w pasie skafandra czekan.

Naśladowałem go mimo woli, ale także zacząłem być nieco niespokojny.

— Przepraszam — odezwałem się do starszego pana. — Ale po co to wszystko?

Spojrzał na mnie z dużym zdziwieniem.

— Ty nie znasz trasy „C”?

— Nie bardzo. To znaczy... w ogóle nie znam. Nie wiem, po co ten aparat, lina i czekan?

Staremu panu nadal śmiały się bardzo jasne oczy, ale głos mu nieco spoważniał.

— A po co wybrałeś tę drogę?

— Bo słyszałem, że najkrótsza. A ja bardzo się śpieszę i chcę jak najprędzej ukończyć odkrytą drogę.

Tym razem zaśmiał się nie tylko stary pan, ale nawet obsługującemu nas robotowi lekko zaświergotało w głowie. Udał, że to nic takiego, ale przecież słyszałem.

— Masz szczęście, młody człowieku — rzekł stary pan — że trafiłeś na mnie. Trasa „C” istotnie jest najkrótsza, ale ma po drodze kilka przeszkód. Dwie głębokie szczeliny i jedno niewysokie pasmo skalne. Sam, bez przewodnika, mógłbyś się tam mocno zaplątać. Ale ze mną pójdziesz ci to łatwo. Chodzę sobie tędy raz na miesiąc dla podtrzymania kondycji. To bardzo zdrowe zajęcie. Pośpieszmy się. Zrobisz to dla siebie.

— Dziękuję panu — powiedziałem bardzo cichym głosem.

— Mów do mnie „profesorze”. To wystarczy.

— Tak jest, Profesorze.

— No to jazda! Trzymaj się prosto, ludzie patrzą na nas.

Staralem się trzymać prosto, ale w głowie miałem ciężki zamęt. Wdziałem już na siebie cały otrzymany rynsztunek. Lina uciskała mnie trochę w ramię, czekan uwierał w udo. A mówiąc szczerze, przez chwilę zastanawiałem się, czy po prostu nie oddać tego wszystkiego i nie przyłączyć się do sporej grupy turystów, która właśnie kierowała się do wyjścia „A”. Profesor jednak poklepał mnie po ramieniu z tak wesołą miną, jakbym o niczym innym nie marzył, tylko o szczelinach oraz pasmach skalnych i tym podobnych rozrywkach.

— Idziemy? — spytał.

Skinałem głową i tak to ruszyliśmy w stronę wyjścia „C”, żegnani pełnymi podziwu spojrzzeniami. Profesor szedł elastycznym krokiem młodego turysty i sportowca, ja zaś powłóczyłem nogami i garbiłem się pod jego ramieniem, jakbym był ze dwa razy starszy od niego.

Wszystko już było jasne. To ten dzień! Dzień, w którym nie ma wytchnienia. Że też musiałem trafić na tę wiekową osobę, która ciągnie mnie za sobą w nieznanym terenie, na drogę oznaczoną jako skrót, który to „skrót” może wydłużyć okres przebycia trasy przez swoje trudności i przeszkody!

Nie sprawdziłem dokładnie, jak wygląda trasa „C”, a ten staruszek, kiedy dowiedział się, że o niczym nie mam zielonego pojęcia, po prostu zdecydował za mnie.

Przystanąłem na chwilę przed przejściem głównym, u wejścia do kabin przemiany grawitacyjnej i ciśnieniowej. Profesor też zatrzymał się i tym razem — już bez słowa — przyglądał mi się z uwagą. Zrozumiałem: chce mi jednak zostawić czas na własną decyzję. A więc miałem teraz chwilę na wolny wybór — na swobodne postanowienie.

I właśnie wtedy po prostu zbuntowałem się! Zbuntowałem się przeciw własnym strachom i niedołęstwom.

Jeszcze przed dwiema minutami jojczałem w duszy jak skończony mękoła. Ale właśnie w tej chwili cały ów bagaż głupawego niedołęstwa rozżłościł mnie bardziej niż wszystko, co mi się w tym dniu przydarzyło. Jeśli ma być kolejna próba — pójdę na ryzyko z własnego wyboru i z pełną świadomością.

Spokojnie już i z uwagą poprawiłem sobie linę na ramieniu. Przestała uciskać. Rękojeść czekana przesunąłem na właściwe miejsce i nagle, jakby wbrew woli, roześmiałem się z radością i ulgą. Zauważyłem, że któryś z płaczących się w pobliżu turystów skierował na Profesora i na mnie wizjer podręcznej kamery. Wzruszyłem ramionami. Cóż mnie to obchodzi?

Profesor zajrzał mi w oczy.

— A więc? — spytał. — Zdecydowaliśmy się?

— Tak, Profesorze.

— Cieszy mnie to — powiedział z nieoczekiwaną powagą i ruszył przodem. Minęliśmy kabiny przejścia głównego i po kilkunastu sekundach znaleźliśmy się na terenie odkrytym. Przed nami otworzył się szeroki księżycowy pejzaż: surowy, nieprzyjazny, martwy i płaski. Tylko w głębi, z prawej strony, widać było ostre zarysy skał dziwacznej kształtu. Nie był to widok krzepiący serce, a mimo to ucieszył mnie na swój sposób. „Ano, spróbujemy się” — pomyślałem. Na dalsze jednak rozważania nie pozwolił mi Profesor.

— Lubisz kangury? — spytał. Spojrzałem na niego nieprzytomnie.

— Słucham?

— Pytam — śmiał się — czy lubisz kangury?

— I owszem — odpowiedziałem ze spokojem, rozumiejąc już, o co chodzi.

— A więc, mój Pawle, zaczynamy skakać. Jasne? Oczywiście, sprawa była jasna. Przy

zmniejszonej grawitacji poruszanie się na odkrytym terenie księżycowym jest czymś w rodzaju amatorskiej akrobacji, którą turyści nazywają zazwyczaj „kangurzym krokiem”. Przed wielu laty, kiedy byliśmy tu z całą rodziną, Lutek wyprowadził mnie na kilka minut na teren otwarty i pokazywał ów krok. Zabawa była świetna, choć częściej lądowałem wtedy na głowie i plecach niż na nogach. Teraz jednak nie o zabawę chodziło. Trzeba się było wykazać czymś, o czym nie miałem bladego pojęcia. Jeszcze przed dziesięciu minutami na samą myśl o „kangurzym kroku” jęknąłbym zapewne głuchym głosem i błagał o litość. Ale przed pięciu minutami zbuntowałem się przeciw podobnym bęcwałstwom. Byłem już tego dnia ratownikiem, rajdowcem, mogę więc zostać w końcu i kangurem. Muszę się tylko tego nauczyć.

— Teoretycznie — powiedziałem — sprawa jest dla mnie jasna. Gorzej natomiast z praktyką, Profesorze. Nie umiem.

— To się nauczysz, moje dziecko — rzekł Profesor. — Dawaj łapę i chwytaj rytm.

Wykonałem polecenie i odbiliśmy się do pierwszego skoku. Był on jeszcze nieduży. Drugi już wyraźnie się wydłużył, a trzeci miał około ośmiu metrów. I byłoby to całkiem sympatyczne, gdyby nie fakt, że przy skoku czwartym po prostu wywaliłem się przez łeb na plecy i rozpląszczyłem jak stara żaba pod drogowym walcem. Starczyło mi przytomności umysłu, żeby (jeszcze leżąc) spytać Profesora, jak nazwać taki krok. On jednak nie odpowiedział na pytanie, bo aż się zapłakał ze śmiechu. Przybrałem zatem dość surowy wyraz twarzy i dźwigając się na nogi starałem się okazać coś w rodzaju rozżalenia.

— Przepraszam za incydent — rzekłem — ale wydaje mi się, że powinienem zawrócić.

— Dokąd?!

— Na łatwiejszą trasę. Liczyłem na pedagogiczną opiekę — ciągnąłem — na atmosferę współpracy, a słyszę tylko śmiech! Zamiast dobrej rady... śmiech!

Trafiłem w dziesiątkę! Profesor wyglądał przez chwilę jak po dwudziestokrotnym przeciążeniu. Szczeka mu opadła, brwi wyskoczyły niemal na szczyt łysiny. Wyglądał, jakby chciał mnie przeproszać, tylko że teraz ja nie zdołałem powstrzymać się od serdecznego śmiechu. Od razu zrozumiał. I nie obraził się. W oczach błysnęło mu coś na kształt szacunku. Poklepał mnie po ramieniu.

— Jeden do jednego — powiedział. — Kolega zdradza talenty aktorskie.

Skloniłem się uprzejmie.

— Jestem gotów, Profesorze, do dalszej drogi. Prosiłbym tylko o wyjaśnienie, czy przy moim obecnym braku kwalifikacji zdołamy dotrzeć do celu w czasie krótszym niż tydzień.

Profesor bez wahania podjął ton tej zgrywy.

— Jeśli łaskawca — rzekł — zechce oprócz nóg posługiwać się także mózgiem i jeśli przy każdym drobnym niepowodzeniu nie będzie chciał zawracać na wybieg dla niemowląt, znany jako droga „A”, gwarantuję, że wystarczy nam siedem dni. A teraz, małpiszonie — krzyknął normalnym już tonem — dawaj łapę. I w drogę!

A więc w drogę „kangurzym krokiem”. Pierwszy łatwy, drugi dłuższy, trzeci jeszcze dłuższy — a przy czwartym wcale się już nie wywaliłem. Profesor podtrzymał mnie raz i drugi, bo raz i drugi jeszcze się zachwiałem. Ale wreszcie za dziesiątym czy dwunastym skokiem puścił moją rękę. Ogarnęło mnie wspaniałe uczucie niezwykle lekkości i zręczności. Istota rzeczy polegała na tym, żeby nie wybijać się zbyt wysoko, tylko możliwie blisko trzymać się powierzchni. Byłem rozluźniony, zręczny, niemal szczęśliwy. Przestały mnie niepokoić wszelkie groźne przeszkody drogi „C”. Cieszyłem się, że ją właśnie wybrałem, że trafiłem na tak niezwykle opiekuna, jak Profesor, że zbuntowałem się przeciw swojej własnej słabości i niezgulstwu. Biegliśmy dalej i dalej. Szlak naszej trasy nie wyglądał na często uczęszczany. Zadbano o nią

jednak solidnie — ustawione co kilkaset metrów jasnopomarańczowe słupki dokładnie wytyczały kierunek. Pobłądzić byłoby trudno. Zresztą i tak nie miało to żadnego znaczenia. Przecież Profesor „dla podtrzymania kondycji” bywał tu raz na miesiąc. Musiał więc starszek znać ją na ślepo. Starszek?! Ledwo za nim nadażalem, a kiedy podtrzymał mnie przy pierwszych „kangurzych krokach”, uchwyt jego dłoni miał siłę wędrownego dźwigu. Musieliśmy nieco zwolnić. Szlak wiódł teraz przez szerokie pole skruszałej lawy. Trzeba było mocno uważać na szczeliny i pęknięcia, trzeba też było z uwagą wypatrywać miejsc, z których można się odbić do następnego skoku. Nie biegliśmy już obok siebie. Profesor wysunął się nieco do przodu i kazał dokładnie naśladować swoje ruchy. Udało mi się to całkiem nieźle — ale mimo najlepszego samopoczucia psychicznego trudy tego dnia dawały znać o sobie. Zaczęłam chwilami tracić oddech — raz i drugi o mało nie zesunęła mi się stopa w wąską a głęboką szczelinę.

— Profesorze — spytałem nieśmiało — czy nie mógłbym prosić o chwilę odpoczynku?

— Już teraz? — zdziwił się. Ale jego głos od razu złagodniał.

— Zgoda. Odpoczywamy.

Przysiedliśmy na niewielkim, płaskim bloku czarnej lawy. Profesor przyjrzał mi się z niejakim zatroskaniem.

— Co tam z twoją kondycją, chłopcze?

Zaczęłam mu tłumaczyć, że nie jest tak źle, jak mógłby sądzić, że w gruncie rzeczy chodzi mi o nabranie oddechu przed prawdziwymi trudnościami trasy. Nie potrafiłem się też powstrzymać przed tym, ażeby nie opowiedzieć mu w największym skrócie przygód dnia, w którym przeżyłem więcej niż przez cały ostatni rok. Słuchał z uwagą, trochę mi gratulował, trochę się śmiał, a kilka razy z całkiem wyraźnym współczuciem pokiwał głową. W końcu wstał. Przeciągnął się.

— W drogę, człowieku — rozkazał. — Sam chciałeś, żeby się śpieszyć.

Byłem gotów. Krótki odpoczynek przydał mi się ogromnie — zaczęliśmy się śpieszyć, szlak stał się łatwiejszy i gładszy. Profesor skakał przodem nadając ostre tempo. Nucił przy tym jakąś bardzo starą melodię.

Grunt twardniał, podnosił się nieco ku górze. Zaczęły się pojawiać pierwsze większe bloki skalne. Pozbyłem się niepokojów, minęło zmęczenie. Z minuty na minutę coraz bardziej podobał mi się mój obecny towarzysz i opiekun podróży. Byłem już pewien, że przy jego pomocy i w jego towarzystwie uda mi się wybrnąć z każdej niedobrej sytuacji, z każdej pułapki tej trudnej drogi. Ciekawiło mnie tylko, co to będą za pułapki.

— Stop, Pawle — usłyszałem rozkaz Profesora, kiedy przedarliśmy się przez pole bloków skalnych. — Teraz masz się ruszać jak mucha w mazi.

Nie widziałem wprawdzie nigdy, jak rusza się mucha w mazi, ale widziałem, jak zachowuje się Profesor. Nie było już mowy o żadnym „kangurzym skoku”. Poruszał się teraz powoli i z niezwykle ostrożnością. W końcu zatrzymał się na niewielkim skalnym występie i patrzył w dół. Podszedłem do niego krokiem nie kangura, lecz zmęczonej ameby. Wziął mnie za rękę, ustawił obok siebie.

— Patrz — powiedział wesolutkim głosem — i tylko mi się nie popłacz ze strachu.

— Co proszę? — spytałem ostro. — Jaaa?!

— A kto?

Rozzłoszczony na potęgę — spojrzałem za ręką Profesora w dół.

Do tego momentu byłem w świetnej formie i bardzo pewny siebie. Ale okazało się nagle, że ta świetna forma nie jest jednak zbyt świetna i że ma kruchy fundament. Dobrze, że Profesor trzymał mnie za rękę, bo poczułem nagle dziwną miękkość kolan. Zaś radosny mój optymizm i

cała odwaga uległy natychmiast niejakiemu zachwianiu. Znowu odezwał się stary refren: Ach, ten dzień! Kiedy on się wreszcie skończy?

Oto przed nami otwierał się wąwóz skalny ogromnej głębokości ukryty w czarnym mroku. Ściany miał niemal pionowe, a z jednego brzegu na drugi było nie mniej niż pięćdziesiąt do sześćdziesięciu metrów.

— Prze... przepraszam — wystękałem słabym głosem. — Co to właściwie jest? I co ja mam z tym zrobić?

Profesor tylko się roześmiał.

— Jest to zwykła szczelina skalna, drogi kolego — powiedział — o głębokości nie większej niż osiemset metrów. A co ty masz z nią zrobić? Po prostu przejść na drugą stronę.

— Aha — szepnąłem. — Po prostu...

— Właśnie! — krzyknął Profesor. — Sprawa jest dziecinnie łatwa, więc nie jęczeć mi tu i nie wzdychać jak niemowlę nad pieluchą!

Tego już było za dużo. Co on sobie właściwie wyobraża? I jak się do mnie odzywa? Odsunąłem się od niego.

— Bardzo proszę — powiedziałem dość ostro. — Kto schodzi pierwszy?

Profesor kiwnął z uznaniem głową.

— Takim tonem możemy rozmawiać. A teraz spojrzysz uważnie. Widzisz linę? Widzisz stopnie? Rzeczywiście, u samego skraju przepaści zwiślała gruba lina, zaś w skalistej ścianie wyraźnie było widać stopnie niezbyt szerokie, ale w sam raz na wymiary ludzkich stóp. Od razu poweselałem. Zrozumiałem, że zadbano tu o niezbyt nawet wytrenowanych i doświadczonych turystów.

— Schodzę — powiedziałem.

Ale Profesor ścisnął mnie za ramię.

— Powoli. Na tej drodze, jeśli chcesz się śpieszyć, musisz postępować z wielkim namysłem i bez pochopnych decyzji. Te stopnie prowadzą prawie na samo dno szczeliny. A potem znów w górę. Zapewniam cię, że nawet przy zmniejszonej grawitacji taki spacer potrwa długo i mocno cię umęczy. Trzeba go skrócić.

— Jak?

— Zobaczysz — zaśmiał się Profesor. — Idź za mną i rób to, co ja.

Zaczęliśmy schodzić. On pierwszy. Ja drugi. Było to dziecinnie łatwe, póki nie spojrzałem za siebie i w dół. Od razu jakoś poczułem się gorzej. Przepaść była wielka i groźna. Zatrzymałem się na moment. Potem zacząłem zlązić chwytając się liny kurczowo i bardzo ostrożnie szukając nogą stopni.

— Hej! Co tam u ciebie? — spytał Profesor.

— Lęk wysokości, Profesorze.

— No tak. I taki pcha się na „C”. Niedołęga i nedorajda!

— Kto?

— Ty!

Znowu podziałało. Ponieważ Profesor zszedł już dużo niżej ode mnie, odbiłem się lekko od ściany i trzymając się samej liny zeskoczyłem mu tuż nad głową.

— Tobie gorzej? — krzyknął.

— Właśnie że lepiej — odparłem.

— Zaraz zobaczymy, jaki z ciebie nadzwyczajny bohater — mruknął.

Zeszliśmy już ze sto metrów w głąb przepaści. Profesor zatrzymał się na półce skalnej szerokości około metra. Było tu miejsca na dwie osoby. Stałem tuż obok niego, on zaś wskazał ręką na

podobną do tej naszej półkę znajdującą się po przeciwnej stronie, na przeciwległej ścianie. Od jednej do drugiej półki przewieszono linę dość grubą i mocno napiętą.

— Tu masz skrót — powiedział. — Czterdzieści metrów na samych rękach. Odpowiada? Myślał, że zacznę jojczyć, ale pomylił się, bo mnie już było wszystko jedno. Czterdzieści metrów na samych rękach? Bardzo proszę. Tym bardziej że rzeczywiście minął mi pierwszy lęk wysokości. A poza tym uprzytomniłem sobie, że z pasa skafandra mogę wyjąć linkę z zaczepem, którą normalnie przypinam się do fotela rakiety. Będzie to znakomite zabezpieczenie.

— Profesor pozwoli — powiedziałem uprzejmie — że pójde przodem?

— Zwariowałeś?

— Jeszcze nie — uśmiechnąłem się.

Wyciągnąłem z kieszeni pasa zaczep i zahaczyłem go o linę. Potem zsunąłem się z półki i zacząłem posuwać się na rękach, z każdym ruchem zwinniej i szybciej. Tym razem niezbyt mnie interesowało, że mam pod nogami około siedmiuset metrów przepaści. Byłem lekki i sprawny, znów czułem się znakomicie.

— Bardzo ładnie, synku! — zawołał.

On już także znajdował się na linii. Przesuwał się zgrabnymi, równomiernymi ruchami, był coraz bliżej mnie.

— Uwważaj teraz — mówił. — Najtrudniej dostać się na półkę. Tuż obok półki znajduje się lina i stopnie, ale w sporej odległości. Trzeba się trochę rozhuścić i po prostu przerzucić się na tamtą drugą linę. A więc po kolei: odepnij zaczep od pasa, rozhuśćaj się i — hop!, na stopnie w skale. To już trochę mniej mi się podobało.

Żeby odpiąć i schować zaczep, trzeba było zawisnąć na jednej ręce. A potem rozhuścić się i skakać. „Trudno — pomyślałem — wybrałeś sobie tę drogę, to cierp!” Profesor to żelazny staruszek! Chodzi tędy raz w miesiącu „dla podtrzymania kondycji”. Kto to właściwie mógł być? Nie miałem jednak czasu na dłuższe rozmyślenia. Wisiałem na lewej ręce, drugą odpinałem sprzączkę zaczepu z liny. Sprzączka jakby się nieco zacięła. Lewa ręka, na której wisiałem, zaczęła nieco cierpnąć. Szarpnąłem sprzączkę zaczepu trochę mocniej — puściła. Schowałem ją z powrotem do pasa. Znowu wisiałem na obu rękach i rozglądałem się za liną, na którą trzeba będzie się przerzucić.

— No, jak tam? — spytał zatroskanym nieco głosem Profesor.

— Już się robi! — zawołałem niby dziarsko. Dojrzałem wreszcie tę linę. Zwisała obok skalnej półki, gruba i lśniąca, i wszystko byłoby dobrze, gdyby można było po prostu dotknąć jej ręką. Niestety — brakło mi do niej dobre półtora metra, jeśli nie więcej. Profesor kazał się rozhuścić i — hop! To by mogła być na pewno świetna rozrywka dla jakiegoś makaka albo szympansa. Ale dla mnie? Powiedziałem: już się robi. Trudno. Nie ma odwrotu.

Zacząłem się rozhuścić. Liczyłem sobie: raz, dwa, trzy, cztery i...

— Hop! — wrzasnąłem i poleciałem w przestrzeń. Tylko że znowu źle sobie obliczyłem siłę ciężenia. Zamach był potężny, więc wyrzuciło mnie na dobre trzy metry w górę. Na szczęście we właściwym kierunku. Uchwyciłem się liny, ale równocześnie huknąłem o ścianę, aż zadudniło mi w głowie.

Zerknąłem za siebie. Profesor właśnie przerzucił się od liny do liny, a robił to zgrabnie i elegancko. Chichotał przy tym niemal bez przerwy. Nie miał nic lepszego do roboty jak natrzasać się ze mnie! Urażony, bez słowa zacząłem piąć się w górę, najszybciej, jak mogłem. Mimo to już po kilkunastu metrach zjadliwy staruszek dopędził mnie i najwyczejniej złapał za piętę.

— Słucham? — powiedziałem cierpkim tonem.

— Dlaczego tak uciekasz?

— Śpieszę się.

— Głupstwa mówisz, mój Pawle — zezłościł się nagle. — Obraził się bohater i próbuje uciekać przed jedynym opiekunem, na jakiego może tu liczyć.

Rzeczywiście! Zimno mi się zrobiło na myśl, że zalazłbym w te okolice całkowicie samotny.

— Bardzo Profesora przepraszam — szepnąłem pokornie.

— Na drugi raz nie obrażaj się i nie przepraszaj, tylko przepuść mnie do przodu.

Przepuściłem go, a on nadał takie tempo, że w minutę byliśmy na brzegu rozpadliny. Wylazłem na wierzch nieco zdyszany, a stary pan uśmiechnął się do mnie bardzo sympatycznie i objął ramieniem.

— Powiadamiam cię uprzejmie, że mamy za sobą więcej niż jedną trzecią drogi. Tylko tak dalej, a rzeczywiście nadrobimy sporo czasu. Chociaż...

W tym słówku „chociaż” kryły się zapewne jakieś zagadki albo zasadzki, ale wolałem już o nie nie wypytywać. Na razie wszystko szło rzeczywiście o wiele lepiej, niż myślałem — a poza tym nadal wierzyłem, że z Profesorem dam sobie radę wszędzie i ze wszystkim. Uprzytomniłem sobie też jedną najważniejszą rzecz: otóż cała trasa była nie tylko dokładnie oznaczona, ale i niezłe zabezpieczona. Byłem niemal pewien, że pod tą liną między półkami dostrzegłem szeroką siatkę zabezpieczającą przed upadkiem na dno przepaści.

Ruszyliśmy w dalszą drogę skacząc jeden przez drugiego, całkiem jak w zoo. Trasa była tu wyraźna, gładka, omal że nie wyzamiatana dla użytku turystów. Za nami dawno znikł już dach Muzeum, zbliżyły się za to ściany skalne, coraz wyraźniejsze i groźniejsze. Ja jednak przyglądałem się im z ufnością. Wiadomo: z daleka dość strasznie to wszystko wygląda, ale z bliska okaże się, że wszędzie są liny, stopnie, klamry i haki i że będzie można tanim kosztem i w dobrym tempie przebnąć przez tę ostatnią przeszkodę trasy „C”.

Ciekawiło mnie tylko, jak będzie wyglądać przeszkoda druga. Pamiętałem, że Profesor mówił o dwóch szczelinach i jednym pasmie skalnym. Wypadałoby więc z tego, że przed sobą mamy jeszcze jeden skalny wąwóz. Spytałem o to Profesora. Skakał sobie przodem, wyglądał bardzo śmiesznie i znowu coś podśpiewywał na staroświecką nutę.

— Że co? — spytał. — Nie dosłyszałem.

— Mamy jeszcze jeden skalny wąwóz przed sobą, Profesorze?

— A tak, tak. Z jakieś dziesięć minut skakania. Tam już będzie trochę trudniej niż za pierwszym razem, ale jak nie będziesz tchórzył, to jakoś damy sobie radę.

Uśmiechnąłem się do siebie. Zobaczy moje tchórzostwo jak stokrotki na Marsie! Oczywiście obiecałem sobie, że nie będę przesadzał, ale że swoje pokażę. Zwolniliśmy trochę tempo, bo oznakowanie trasy ostrzegało przed następną przeszkodą. Tym razem ja skakałem pierwszy i pierwszy znalazłem się nad dwukrotnie szerszą i o wiele głębszą niż tamta przepaścią.

Równocześnie jednak ujrzałem, że oba jej brzegi łączy mocno napięta lina.

„Aha! — pomyślałem sobie. — Są tu pewnie jakieś schody i stopnie dla użytku starych czapli i bohaterkich maluchów”. Dotknąłem stopą liny. Poczułem jej elastyczność. A ja zawsze dobrze umiałem chodzić po linie i na gimnastyce było to moje najulubieńsze ćwiczenie. Toteż nie pytając o nic, wierząc, że kilkadziesiąt metrów pode mną wisi siatka zabezpieczająca, wbiegłem lekko na linę. Patrząc wprost przed siebie posuwałem się długimi krokami, ślizgając się lekko niby na łyżwach. Potem zrobiło się trochę trudniej, jako że trzeba było kilkanaście ostatnich metrów iść trochę pod górę. Nie utraciłem pierwszego rozpędu, ale lina lekko się rozkołysała. Pomyślałem sobie: „A czemu by nie podskoczyć?” Zamiast więc nadal ślizgać się, odbiłem się mocniej raz, drugi, trzeci i czwarty — i oto byłem już na drugim brzegu. Dopiero wtedy usłyszałem dziwne jakieś stęknienie Profesora.

Stał na tamtym brzegu nieruchomy, z rękami uniesionymi w górę, żywy pomnik zachwytu i zdumienia.

— No, Profesorku! — zawołałem rześkim głosem. — Kto tu stchórzył?

Nie odpowiedział mi jednym słowem. Zdjął tylko swoją linę z ramienia, związał ją umiejętnie w dwie grube pętlice, umocował ją do liny głównej, usiadł na owych pętlicach niby na linowym foteliku i zaczął powoli a uważnie przesuwając się w moją stronę. Trochę mnie to zdziwiło, że tak ostrożnie się porusza. Przysiadłem na skalnym brzegu i zacząłem wypatrywać owej zabezpieczającej sieci oraz innych udogodnień na użytek turystów. Im dłużej jednak patrzyłem, tym dziwniej robiło mi się na duszy. Nie widziałem żadnej sieci, żadnych stopni, żadnych lin! Profesor przebył już jedną trzecią drogi. Słyszałem, że mruczał coś do siebie, ale nie rozróżniałem jeszcze słów. A od wpatrywania się w przepaść zaczęło mi się lekko kręcić w głowie. Odszedłem dwa kroki od brzegu i przysiadłem sobie na słupku orientacyjnym.

W pewnym momencie zacząłem rozróżniać profesorskie pomruki. Był tam szereg pojedynczych słów, a wszystkie w jednej tonacji: megatuman nad tumany, burkrabek, pękoła, galaktyczne matolstwo, bezmózgi ciołek, półgłówek generalny... i tak dalej, i tym podobnie.

Straciłem trochę na dobrym humorze, póki Profesor nie odezwał się zduszonym głosem:

— Może byłbyś łaskaw pomóc mi?

Zerwałem się z miejsca tak gwałtownie, że omal nie przerzuciło mnie nad nim w przepaść. Na szczęście jednak uchwyciłem się pala, na którym umocowana była lina, i jakoś poszło.

Wyciągnąłem do Profesora rękę i pomogłem mu wydostać się na brzeg. On zajął się rozplątywaniem swego siodełka czy też fotelika, a gdy wreszcie zdjął go z liny, odzyskał znowu głos.

Stanął tuż nade mną i wrzasnął:

— Co ja mam z tobą robić? Mów natychmiast: co ja mam z tobą zrobić?!

Przyznaję — spieszyłem się. I to mocno.

— Nie rozumiem, Profesorze.

— Coś ty zrobił przed chwilą?

— Przeszedłem po linie.

— Czy ty masz dobrze w głowie?

— Nie wiem.

— Ale ja wiem — rozwrzeszczał się Profesor — że podobnego idiotyzmu w życiu nie widziałem! Biega sobie po linie nad półtorakilometrową przepaścią bez żadnego zabezpieczenia, bez namysłu, bez krzty rozumu! Czy ty wiesz, co by było, gdyby obsunęła ci się noga?

Poleciałbyś półtora kilometra w dół! Łyzeczką trzeba by cię zbierać!

Poczułem, że zielenieję. Sam nie wiedziałem, jak usiadłem na skale. W głowie mi huczało.

— Przepraszam bardzo — spytałem. — To tam pod spodem, pod liną, nie ma żadnego zabezpieczenia?! Żadnej sieci? Żadnej ochrony?

— Nie!

— I ja tak na wariata?

— Właśnie! — krzyczał Profesor. — Właśnie!

— A ja myślałem... — szepnąłem cały w zimnym pocie.

Profesor złapał mnie za ramiona i z powrotem ustawił na nogach. Gięły się jeszcze trochę, ale jakoś mnie utrzymywały. Zwalił się na mnie za to cały strach na myśl, co by było, gdyby — gdyby mi obsunęła się noga, gdybym skoczył trochę w bok, gdybym pomyślał, że lina nie jest zabezpieczona, gdybym wykonał jeden, tylko jeden fałszywy krok. Co wtedy by się stało?

Profesor powiedział wyraźnie: trzeba by mnie zbierać z dna przepaści łyżeczką! Koniec, kropka.

Łyżeczką!

Zaczerpnałem głęboko oddechu, ale jeszcze nie mogłem wydać z siebie żadnego ludzkiego głosu. Powiedziałem tylko coś w rodzaju „ebelebe” i jęknąłem.

Profesor zaciekawił się szczerze.

— Po jakimu to? — spytał spokojniejszym już nieco głosem.

Potrząsnąłem głową.

— Ja... ja... — westchnąłem — ...tylko tak... Staruszek roześmiał się wreszcie.

— Wystraszyło cię?

— Tak jakby.

— Bardzo?

Rozłożyłem bezradnie ręce, opuściłem wzrok na dół. Nie było co udawać bohatera. Profesor sam widział, co się ze mną stało. Jemu jednak już przeszło: znów wrócił do swego uprzedniego poczucia humoru i żywej wesołości.

Objął mnie przyjaźnie ramieniem, lekko uściśnął. Zrozumiałem, że jest to człowiek wielkiej dobroci i wielkiego rozumu. Trochę może dziwaczny. Ale jeśli jest się jakimś prawdziwie wybitnym człowiekiem, to takie dziwactwa nazywają się po prostu „osobowość” i w istocie nikogo nie dziwią. Ciągłe nie śmiałem spytać, kim jest i jak się nazywa. On zaś zwinął już swoją linę, przewiesił ją sobie przez ramię i wskazał ręką ścieżkę, która wiodła w stronę dobrze już widocznego pasma skał.

— Pośpiesz się, chłopcze-bęcwałku. Przed nami już tylko jedna trzecia drogi i jedna tylko przeszkoda. I zapamiętaj: nie ma tam żadnych siatek, podnóżków, łóźeczek ani pieluch na użytek turystów. Zrozumiano?

— Zrozumiano.

— No, to jazda!

Ruszył przodem. Ja za nim. Niezbyt mnie jeszcze nogi słuchały i raz czy drugi omal nie zaryłem hełmem w zwirowato pylistą ścieżkę. Wkrótce jednak wszedłem w dobry, wspólny z Profesorem rytm kroków. Próbowałem sobie obliczyć swoje szanse dopędzenia naszej wycieczki, ale wydało mi się już to niepodobieństwem całkowitym.

A poza tym po raz pierwszy pomyślałem w sposób rzeczowy. Co ja będę miał do opisania w swojej powieściowej klasówce? I znowu o mało nie rymnąłem jak długi. Jasne: będę musiał opisać wszystko, po kolei i dokładnie. Niczego przecież nie potrafię wymyślić. Nie będę nawet mógł przemilczeć swojej akrobacji na linie! Wyobraziłem sobie, jaką zabawę będą mieli ze mnie w budzie, i tylko cicho jęknąłem.

— Co tam znowu? — spytał Profesor.

— N-nic.

— Co za nic?

— Później opowiem.

— Niech ci będzie.

Pasma skalne było coraz bliżej. Grunt podnosił się w górę. Zwolniliśmy nieco biegu, czarne zbocza skał stały w oślepiającym blasku. Profesor prowadził dnem ciasnego wąwozu, który wznosił się w górę, a zarazem coraz bardziej się rozszerzał.

— Daleko jeszcze? — spytałem.

— Pięć minut drogi — odpowiedział Profesor głosem jakby nieco zasapanym, co wyraźnie mnie pocieszyło. A więc nie tylko ja w tym kangurzym biegu zmęczyłem się.

Trochę długo trwały te ostatnie pięć minut. Co więcej: zauważyłem, że Profesor porzucił oznakowaną trasę i skierował się w prawo od pomarańczowych słupków. Nie całkiem mi się to

spodobało, ale o nic go nie pytałem. Nie dał się oszukać moim milczeniem.

— No i co? — spytał? — Nie denerwuje cię, że zeszliliśmy z drogi?

— Trochę.

— To czemu się nie odezwiesz?

— Bo mam do Profesora zaufanie.

Zatrzymał się nagle i o mało go nie potrąciłem. Uchwycił mnie za ramię, uśmiechnął się.

— Powiadasz, że masz do mnie zaufanie? Zastanowiłem się więc przez dobrą chwilę.

— Prawie całkowite.

— Prawie? — spytał ostro.

— Prawie całkowite — powtórzyłem kładąc silny nacisk na drugim słowie. On zaś przyjął to serio. Skinął głową.

— Rozumiem. Jak szczerłość, to szczerłość. Dziękuję. Profesor zdjął linę z ramion, wyjął czekan zza pasą.

Kazał mi zrobić to samo. Zrobiłem. Spojrzałem przy tym w górę i właściwie nawet nie wystraszył mnie jej połyskliwy ogrom. A niech się dzieje, co chce.

— Paweł! — odezwał się wreszcie Profesor, wiążąc końce obu naszych lin. — Teraz idziemy na prawdziwy skrót. Sam go sobie znalazłem. Daję ci słowo, że spacer będzie ryzykowny. Jedno tylko zapamiętaj — powiedział surowym tonem — tutaj nie ma już miejsca na żadne własne pomysły ani inicjatywy.

— Tak jest.

— Ładnie — uśmiechnął się. — A byłoby też nieźle, gdybyś zapamiętał, że tchórzyc tutaj też nie należy.

Właściwie nieco się obraziłem. Nie twierdzę, że jestem najodważniejszym człowiekiem europejskiego kontynentu. Trochę strachu w trudnej sytuacji to rzecz ludzika, a najczęściej ci się niczego nie boją, którzy w ogóle nie mają wyobraźni. A jednak uczułem się dotknięty.

Profesor oczywiście to zauważył i cicho się roześmiał.

— Nie masz się co obrażać, bohaterze — powiedział. — Sam przeżyłem na tej ścianie kilka niezbyt miłych chwil i wcale się tego nie wstydzę. I jeszcze jedno: chodziłeś po górach?

— Trochę.

— Dość trochę czy całkiem trochę?

— Średnio trochę.

— To znaczy mało. Tak?

— Tak.

Muszę szczerze wyznać, że nigdy nie byłem entuzjastą wysokogórskich spacerów. Z całej rodziny właściwie tylko mama jako tako lubiła to zajęcie, nie odziedziczyłem jednak owego jej zamiłowania. Teraz zaś miałem tuż przed nosem pięćsetmetrową pionową ścianę, do przejścia której zapraszał mnie Profesor. Nie było rady.

— No? — spytał Profesor głosem jakby nieco kpiącym. — Idziemy?

— Idziemy — odpowiedziałem udając, że wszystko jest w porządku, choć nie zabrzmiało to zbyt dzielnie.

Profesor wszedł już w ścianę. Była prawie pionowa, na szczęście jednak pełna rys, szczelin, wąskich półeczek, dobrych i silnych uchwytów. Patrząc, jak ten stalowy staruszek pcha się ku górze bez wahań i zatrzymań, w równym tempie i z wielką precyzją, zacząłem nabierać niejakkiej otuchy.

Patrzyłem z wielką uwagą, jaką trasę Profesor wybiera, i z największą uwagą notowałem sobie w głowie przynajmniej główne punkty oparcia i wytchnienia. Nie starczyło mi jednak zbyt wiele

czasu na owe uważne rozmyślania. Ni z tego, ni z owego poczułem delikatne szarpnięcie liny.

— Usnąłeś, chłopaczku? — spytał Profesor.

— I owszem — odpowiedziałem z możliwą godnością.

— A co ci się śniło?

— Że jestem już na górze.

Profesor roześmiał się całkiem sympatycznie. Osiągnął już mniej więcej jedną piątą ściany.

Wparł się plecami w jakąś głębszą rysę skalną i (widziałem) przyglądał mi się z wyraźnym zaciekawieniem. Zrozumiałem: pora na mnie. Zaszło mi trochę w gardle, uśmiechnąłem się jednak do Profesora bardzo niby dzielnie i zacząłem pchać się w górę.

Pierwsze pięć kroków było czystą męką. Ale do wszystkiego można przywyknąć. Tak więc już po kilku metrach zacząłem się przyzwyczajać do tej diabelskiej sytuacji. Z dołu zresztą wyglądało to o wiele gorzej, niż mogłem przypuszczać. Raz i drugi obsunęła mi się noga, ale właśnie wtedy poczułem lekkie napięcie liny, którą asekurował mnie Profesor, i odzyskując równowagę fizyczną odzyskiwałem też spokój i coraz większe poczucie pewności siebie.

I w końcu ani się spostrzegłem, kiedy ujrzałem buty Profesora zaledwie o jakie dwa, trzy metry nad swoją głową. Uczułem wielką radość i roześmiałem się na głos.

— Sługa pana Profesora! — zameldowałem się nie bez dumy.

Zrobił mi obok siebie miejsce na wąskiej półeczce skalnej, poklepał po ramieniu, ale kiedy chciałem stanąć plecami do ściany, przytrzymał mnie żelazną ręką.

— Ani mi się waż patrzeć w dół — rozkazał surowo. — Rozsypałbyś mi się ze strachu na części podstawowe.

I zaraz rozwinął tempo, jakiego się po nim nie spodziewałem. Gapiłem się w górę osłupiałym okiem, a starszy pan dopiero teraz pokazywał, co potrafi. To już była niemal że akrobacja.

Zrozumiałem, że dotychczas stosował wobec mnie taryfę ulgową i opiekował się swym partnerem jak przedszkolakiem. Widząc to powiedziałem sobie twardo: „Dość niezgultwa!” Czekałem zatem posłusznie na kolejny rozkaz Profesora „w drogę”, a kiedy go wreszcie usłyszałem, ruszyłem w górę na całego. Poduczyłem się już co nieco na pierwszych stu metrach ściany, zapomniałem o pustce za plecami i próżni pod nogami, pamiętałem za to dobrze, że asekurowuje mnie ktoś, komu mogę zaufać. W dodatku ściana robiła się coraz łatwiejsza: coraz więcej widać w niej było rys, szczelin i pęknięć dających pewne uchwyty dla rąk i bezpieczne oparcie dla nóg.

Minęliśmy połowę ściany, potem dwie trzecie. Profesor mruczał coś pod nosem. Nie rozróżniałem słów, ale brzmiało to całkiem sympatycznie.

W końcu usłyszałem zdanie, na które czekałem jak na zbawienie.

— Jazda, Paweł! — zawołał Profesor. — Ostatnie sto metrów!

To już był właściwie spacer. W ścianie otworzył się wąski, ale wygodny komin, który w porównaniu z dotychczasowymi trudnościami wspinaczki wygodny był i łatwy jak podwójna drabina. Pozwoliłem sobie nawet spojrzeć w dół i tym razem tylko się uśmiechnąłem.

Profesor stał już na szczycie skały, na wielkim płaskim głazie, i przyglądał mi się bardzo przyjaznym okiem.

— Czuję się w obowiązku — rzekł — złożyć ci coś w rodzaju gratulacji. Myślałem, że będę cię musiał windować w górę jak cielę na rzeź. A tymczasem poszło całkiem, całkiem...

— Dziękuję uprzejmie — odparłem stając tuż obok niego i spojrzałem na drugą stronę skalnego łańcucha. Przyznaję: zatkało mnie na dobrą chwilę. Spodziewałem się mianowicie, że ujrzę przed sobą przepaściste urwisko, że znowu trzeba będzie schodzić w dół stylem akrobatycznym z duszą na ramieniu (jak niegdyś mawiano) i sercem w piętach. Tymczasem omyliłem się całkowicie, a

była to bardzo miła pomyłka. Z tej bowiem strony łańcuch skalny obniżał się długim, wygodnym i gładkim stokiem. Co więcej, spod wielkiego głazu, na którym właśnie staliśmy, spływała w dolinę gładziusia, wygodna rynna, wyslizgana niczym bobslejowy tor, o łagodnych skrętach i niezbyt ostrym spadku. Całkiem jakby nie była to dzika i odkryta powierzchnia Księżyca, tylko zjeżdżalnia w dziecięcym lunaparku.

— Jak ci się ten luksus podoba? — spytał chichocząc wesolutko Profesor.

— Zbyt piękne, żeby było prawdziwe — powiedziałem. — Pod warunkiem, że ta śliczna zjeżdżalnia nie poczęstuje nas jakąś szczeliną lub zadrą skalną, która rozedrze nam kombinezony w miejscu całkiem niepoważnym, lecz ludzkim.

Profesor z dobrotliwym uśmiechem poklepał mnie po ramieniu.

— Bardzo ładnie. Przezorność młodego człowieka zasługuje, i owszem, na szczerze uznanie. Ale po pierwsze, dobrze znam tę zjeżdżalnię i nie przewiduję żadnych specjalnych niespodzianek. A po drugie, na wszelki wypadek zjeżdżać będziemy na siodełkach uplecionych z lin. A teraz proszę się przyglądać i naśladować w sposób możliwie inteligentny i dokładny.

Przysiedliśmy na szerokim, wygodnym jak fotel głazie i Profesor zaczął splatać swoją linę w rodzaj okrągłej poduszki, w sam raz przydatnej do przewidzianego celu. Robota była zresztą łatwa i bez żadnego trudu udawało mi naśladować Profesora w sposób — cytuję — „możliwie inteligentny i dokładny”. Chodziło po prostu, aby zwój liny opleść jaj częścią tak, aby jazda po rynnie nie doprowadziła do rozsypania się owej „zjazdowej poduszki”.

Profesor zerkał spod oka na moją robotę. Naśladowałem go bardzo starannie i wyglądał na zadowolonego. Był moment odpowiedni na zastanowienie: co dalej? Mnie jednak w owej chwili przede wszystkim interesował Profesor. Wiedziałem, że rządzące mną w tym dniu przypadki znów zetknęły mnie z kimś niezwykłym. Coraz bardziej go lubiłem, coraz szczerzej podziwiałem. Ale wraz z owym podziwem i rosnącą sympatią rosła też we mnie nieśmiałość, nie miałem odwagi pytać wprost: kim jest? Profesor skończył swoją robotę. Ja zaś trochę się zagapiłem i zapóźniłem. Mimo to, kiedy oddałem mu swoją „poduszkę” do sprawdzenia, nie okazał żadnych zastrzeżeń. Trzepnął nią kilka razy o głaz z całej siły, potem sprawdził ostatnie węzły i wreszcie uśmiechnął się z aprobatą.

— Całkiem niezłe — powiedział. — Sądzę, że nie musisz już drzeć o całość swojej... że tak powiem... odwrotnej strony. Ja i tak zjadę pierwszy i przetrę drogę.

Próbowałem zaprotestować.

— Profesorze... może jednak...

— Nie ma dyskusji — przerwał mi dość ostro. — Tu się słucha bardziej doświadczonych.

Co miałem mu odpowiedzieć? Skłoniłem się lekko, bez słowa.

— A więc uważaj — zaczął mnie pouczać. — Do połowy trasy możesz sobie jechać na pełnej szybkości. Ale tam, koło tej czerwonawej grupy skałek, zacznij hamować. Jak? A zwyczajnie: piętami. Koniec tej rynny wystaje bowiem na kilka metrów ponad poziom dalszej drogi. Jeżeli więc nie zmniejszysz tempa do minimum, wyrzuci cię w górę aż miło... i z lądowaniem będziesz miał niejakie trudności. Mam nadzieję, że zrozumiałeś.

— Również mam tę nadzieję — odparłem z godnością w głosie.

— Bardzo mi miło — zaśmiał się Profesor. Rozsiadł się na swojej „zjazdowej poduszce” u szczytu rynny, pokiwał mi dłonią i odepchnął się rękami. Myślałem, że początek zjazdu będzie powolny i łagodny. Omyliłem się jednak. Postać Profesora malała z zadziwiającą szybkością. Tak więc i ten odcinek drogi wcale nie będzie taki łatwy, jak mi się początkowo wydawało. Odepchnąłem się rękami od brzegów rynny i rozpocząłem swój zjazd. Pierwsze dwie, trzy sekundy były jeszcze powolne. Raz i drugi pomogłem sobie rękami i wreszcie poczułem, że

nabieram dobrego tempa.

Była to wspaniała zabawa. Czuło się własną szybkość, coraz większą, coraz przyjemniejszą. Czuło się ją o wiele wyraźniej niż w rakiemie czy w pojeździe nadładowym. Tam w istocie tylko chwile startu i lądowania uprzytamniały człowiekowi stopień szybkości, z jaką się poruszał. Tutaj zaś — choć przecież osiągnąłem tempo co najmniej kilka tysięcy razy wolniejsze od najwolniejszej rakiety — czułem w każdym ułamku sekundy, że pędzę, że migają wokół mnie brzegi rynny, skalne płyty i niewielkie grupki skałek. Raz i drugi zaśmiałem się ze szczerej radości, ale nagle zabrakło mi ochoty do śmiechu. Minąłem już chyba połowę zjazdowej trasy, ale gdzie jest wiązka owych czerwonych skałek, przy których powinienem był rozpocząć hamowanie? Nie widziałem ich przed sobą, a za siebie nie bardzo mogłem się obejrzeć. W dodatku poruszałem się coraz szybciej i szybciej. A koniec rynny wystaje kilka metrów ponad poziom dalszej drogi. Jeśli więc nie zmniejszę tempa do minimum, wylecę w przestrzeń jak z katapulty i Profesor będzie miał kolejną okazję do kilku znaczących uwag pod adresem mojej umysłowej i fizycznej sprawności.

Zacząłem hamować. Tak, jak radził Profesor, piętami. Oczywiście nie mogłem tego robić zbyt gwałtownie. Mógłbym się przewalić przez łeb albo zwyczajnie Wypaść z toru.

Starąłem się więc, jak mogłem. Przyszedł jeden i drugi łagodny zakręt. Od razu nabrałem otuchy. Udało mi się wytracić na nich tę największą i tak niby przyjemną szybkość — coraz silniej wpierałem pięty w wyslizgany tor zjazdowej rynny. Wpadł mi też do głowy nie najgorszy pomysł. W jednej z kieszeni skafandra miałem coś w rodzaju kieszonkowej apteczki: zestaw leczniczych pigułek i zwój uniwersalnego elastycznego bandaża. Rozwinałem go (nadal hamując piętami) i wpuściłem jeden koniec pod poduszkę z liny. Bandaż był szorstki i nie do zdarcia, więc on też zaczął spełniać rolę dodatkowego hamulca. I byłoby wszystko w porządku, gdybym całkiem nieoczekiwanie nie znalazł się na ostatniej prostej. Ile miałem do końca? Dwieście czy pięćset metrów? Na Księżycu, bez dłuższego doświadczenia, cholernie trudno jest ocenić właściwą odległość. Ja zaś nie miałem prawie żadnej w tej mierze praktyki. A chociaż poważnie udało mi się zmniejszyć tempo, to jednak ciągle posuwałem się szybciej od rekordzisty świata w biegach krótkich.

Co gorsza, u końca rynny ujrzałem coś w rodzaju ciemnej przeszkody. Nim jednak zdołałem pomyśleć, co to w istocie być może, zobaczyłem, jak owa przeszkoda wylatuje nagle w górę, wiosłując bezradnie w powietrzu rękami i nogami, jak wzlazuje ponad powierzchnię sposobem już nie kangurzym, lecz zgoła jaskółczym.

Kto to mógł być? Cały zatrzęsłem się od idącego z głębi serca chichotu. Albowiem mógł to być i był na pewno Profesor! Za późno zaczął hamować i wyrzuciło go w górę jak na cyrkowym pokazie. A tak mnie przestrzegął, ostrzegął i pouczał!

Zabrakło mi jednak czasu na dalsze zastanawianie się. Z pouczeń Profesora wynikało, że u końca trasy należy się poruszać z szybkością znudzonego ślimaka. A ja ciągle jeszcze miałem tempo utalentowanego czterystumetrowca. Co gorsza — przy jakimś nierozważnym ruchu poduszka z liny uciekła nagle spode mnie jak żywe stworzenie, ja zaś rozpląszczyłem się na dnie rynny hamując teraz już całym sobą — nogami, rękami, plecami i resztą swojej odwrotnej strony, co mogło być nawet śmieszne, ale na pewno nie dla mnie.

I tak to poszedłem, a raczej poleciałem, wprost w ślady Profesora. Rynna urwała się pode mną, a ja wyleciałem w górę tak bezładnie i niezdamie jak rozsrubowany, przeznaczony na złom robot. Rozluźniłem mięśnie, podgiąłem kolana, no i wylądowałem wprost na szczycie pylistej wydmy. Zapadłem się w nią po kolana i łokcie. Poruszywszy się dość ostrożnie poczułem, że na szczęście wszystkie kości, mięśnie i ścięgna mam w całkowitym porządku. Chmura pyłu, której byłem

ośrodkiem, zaczęła powoli rzednąć. Ujrzałem nagle jakieś ostre światło rozjaśniające otaczający mnie mrok. Usłyszałem też jakiś radosny gwar, jakieś okrzyki w rodzaju: „brawo... brawo!” Zebrałem się w sobie mocno i zacząłem brnąć przez wydmy w kierunku owego jasnego promienia światła.

I oto ściana wzniesionej przeze mnie chmury urwała się nagle. Stałem na twardszym już gruncie. Przetarłem nieco hełm, otrząsałem się z resztek pyłu i na wszelki wypadek przybrałem możliwie obojętny i spokojny wyraz twarzy, choć nagle poczułem drobne kropelki potu na skroniach i u nasady nosa.

Przede mną, w odległości dwudziestu, może trzydziestu metrów, stał rząd kilkunastu dość godnie wyglądających osób. Nieco na uboczu krzątała się grupka telereporterów szczerząc w moją stronę wizjery podręcznych kamer. Za owymi zaś dostojnymi osobami widać było mały tłumek, rozbawiony i wesoły. Usłyszałem radosne „hura”. Mało wtedy brakowało, żebym utracił całkowicie rozeznanie sytuacji i klapnął siedzeniem na skraj wydmy, gdyby nie to, że usłyszałem wreszcie głos Profesora i ujrzałem go wśród owych godnie wyglądających osób.

Najwidoczniej on jeden zrozumiał, co się w istocie ze mną dzieje. W trzech pięknych skokach był już przy mnie, wziął mnie w ramiona, uściśnął. Równocześnie usłyszałem jego szept, zagłuszony przez tamte okrzyki, ale przecież wyraźny.

— Udawaj, że wszystko jest w porządku, i niczemu się nie dziw.

— Ale... — jęknąłem cicho.

— Żadne „ale”! Potem wytłumaczę i przeproszę. Teraz trzymaj się.

Co miał tłumaczyć? Za co przeproszać? Pojąłem tylko, że ten dzień ze swymi rozrywkami nie ma końca. Że znowu dzieje się coś, czego mój już jako tako ukształtowany intelekt nie może zgłębić. I że pozostaje tylko jedno: posłuchać rady Profesora i trzymać się, udawać, że wszystko jest w porządku i niczemu się nie dziwić.

Nie było to jednak zbyt łatwe. Profesor obejmując mnie ramieniem szedł wprost na szereg dostojnych osób. W końcu zatrzymaliśmy się przed nimi. Profesor kazał mi się przedstawić. Przedstawiłem się. Wtedy w wesołej grupce z tyłu znów usłyszałem „hura” i „brawo”, a telereporterzy zamrowili się koło nas na dobrą chwilę. Z największym trudem udało mi się uniknąć rybio-baraniego wyrazu twarzy. Już drugi raz tego dnia łyśkały do mnie chytre oczy kamer. Ale z jakiego tym razem powodu? Nigdy nie miałem szczęścia do kamer. Przy najlepszym oświetleniu i najbardziej sprzyjających warunkach wyglądałem jak skrzyżowanie robota trzeciej kategorii z indykiem jajem.

— Uśmiechnij się — mruknął Profesor.

Uśmiechnąłem się, nieco jakby głupio. Ale dopiero teraz miałem zgłupieć do końca.

Oto bowiem z szeregu dostojnych osób wystąpiła osoba najdostojniejsza: jegomość o gębie starego morsa i wylupiastych oczach. Tuż przy nim znajdował się jego pomocnik, który chytrze podsunął mu pod rękę dwa srebrne wieńce. I tak to pierwszy z tych wieńców zawisł na karku Profesora, który najwyraźniej poblądł ze złości. Drugi wtłoczono na łeb mnie. „Za co? Po co?” — myślałem w (popłochu i już gotów do ucieczki. Dopiero uścisk dłoni Profesora pozwolił mi odzyskać jaką taką równowagę.

Natomiast Stary Mors zabrał się teraz do przemówienia. A widać było, że nie daruje ani słowa. Wszyscy jakby to od razu zrozumieli, przygaśli, oklapli. W wielu oczach ujrzałem coś w rodzaju rezygnacji, a może cichego smutku.

Stary Mors rozłożył ręce, jakby obu nas z Profesorem chciał przytulić do rozłożystej piersi. Na szczęście nie uczynił tego.

— Drogi Profesorze — zaczął — i ty, drogi Pawle! My, to znaczy kierownictwo tras

wycieczkowych Księżyca, obchodzimy dziś swoje święto, swoje i wasze zarazem. Mówiąc najprościej, jest nim jubileusz pięćsetnego przejścia trasy „C” przez kochanego naszego Profesora Pawła Kostala oraz pierwszego przejścia tejże trasy przez tak uzdolnionego młodzieńca, jak Dariusz Amfikoupulos.

Nie wiem, kto pierwszy — Profesor czy ja — zaśmieliśmy się na cały głos. Ale nieważne. Śmiech potoczył się szeroko, zaś telereporterzy od razu obudzili się z senności i skupili tym razem ogień kamer na twarzy Starego Morsa. Nie był to jednak słabeusz. Nachylił się do pomocnika, ten mu coś szeptnął, tamten warknął groźnie, że od razu wolał czytać z kartki, a zaraz potem huknął tak, że w sekundę nastąpiła cisza.

— Proszę o spokój! — zagrzmał.

I zaraz jego głos osłodził się i wzruszył niezwykle.

— Wybaczcie, przyjaciele, tę omyłkę. Ale i ona stanowi najlepszy przykład, jak ważne jest dla nas to święto i jak jestem nim wzruszony. Wybacz mi mój błąd, kochany profesorze Amfikoupulos, i ty drogi młodzieńcze, Pawle Kostalu. A teraz przystępuję do właściwej części swego przemówienia.

No i przystąpił. Ja zaś zacząłem się męczyć nad rozwikłaniem bardzo ważnej dla mnie zagadki: kim jest Profesor? Dotychczas byłem pewien, że jak tylko usłyszę jego nazwisko, natychmiast będę wiedział, kto zacz. Wyglądał mi na czarującego dziwaka o ogromnych zasługach i wielkiej sławie. A tymczasem? I owszem — pętało mi się po zakamarkach pamięci jego imię i nazwisko, ale w żaden sposób nie mogłem sobie uprzytomnić, z jakiej okazji i dlaczego je spamiętałem. Stary Mors buczał dalej, wieniec uwierał mnie w nasadę hełmu i nawet telereporterzy spali z otwartymi oczami, gdy nagle usłyszałem coś, od czego zrobiło mi się zimno i gorąco zarazem. Oto padło słowo: „film”.

I zrozumiałem, że mowa jest o filmie, który kierownictwo tras wycieczkowych kazało nakręcić z naszej wędrowki. Stary Mors z dumą mówił o tym, że uzyskano dlań miejsce w wielu dzisiejszych głównych programach telewizyjnych. Spojrzałem z rozpaczą na Profesora, ale on miał taki wyraz twarzy, jakby przepowiadał sobie w myśli tablice logarytmiczne albo coś w tym rodzaju. Mnie zaś migały przez myśl urywki tego „filmu” z trasy „C”, jakie zachowały się w mojej pamięci. A więc: pierwsze próby kangurowego kroku, kiedy to tak pięknie przewaliłem się przez łeb — strachliwe chwile przekraczania pierwszej szczeliny — potem owa parada na linii, którą Profesor określił jako szczyt bęcwałstwa — i tak aż do owego finalnego lotu, podczas którego musiałem wyglądać jak skończony pajac.

Najzwyczajniej trząsałem się ze złości. Wyobrażałem sobie, jakiego komika urządziła ze mnie ekipa realizatorska. Poukrywali się gdzieś po drodze z teleobiektywami i dobrą musieli mieć zabawę z całej tej historii. A równocześnie nie miałem zielonego pojęcia, czy w takim przypadku jak film turystyczny obowiązuje realizatorów zgoda filmowanego. Z tego jednak, co powiedział Stary Mors — że już sobie zarezerwowali miejsce w kilku dzisiejszych głównych programach — wynikało, że nawet nie spytają mnie, czy mam ochotę zobaczyć taśmę. No tak, to, co chyba zyskałem sobie w kronice rajdu, przepadnie teraz całkowicie.

Na szczęście głos mówcy nareszcie przestał huczeć. Skończył się nastrój dostojnej nudy. Zrobiło się koło nas tłumnie i wesoło. Proszono o autografy, Profesora i mnie, na gotowych już, pięknych zdjęciach. Pocięszyło mnie trochę, że tym razem wyglądałem o wiele lepiej niż zwykle. Byliśmy na nich bez hełmów. A więc zrobiono je jeszcze przed wejściem na trasę „C”. Gdybym wtedy wiedział, co się zaczyna dziać — uciekłbym na trasę „A” jak w inną galaktykę! Wciąż jednak udawałem, że wszystko jest w porządku, i ze skromnym uśmiechem podpisywałem podstawiane mi zdjęcia.

W końcu organizatorzy opanowali ten świąteczny bałagan i wraz z Profesorem zaprowadzono mnie do jednego z pojazdów. Czekał nas jeszcze bankiet i jakieś niespodzianki, jak zapowiadał Stary Mors, który zgubiwszy dostojną minę mówcy zrobił się całkiem sympatyczny i swojski. Tylko że ja na samo słowo „niespodzianki” dostałem gęsiej skórki.

Powiedziałem sobie twardo, że zażadam ochrony, i to ścisłej ochrony, od Profesora. Ostatecznie wszystko było jego winą. Wplątał mnie w tę historię niemal na siłę, choć w końcu nawet przeprosił. Nie dałem się więc od niego oderwać i usiadłem tuż przy nim, na wygodnym fotelu nadładowego pojazdu.

Zdjęliśmy hełmy. Zapanował wesołym gwar. Mogliśmy wreszcie zamienić kilka słów. No i nie zawiodłem się na Profesorze. Teraz zresztą było widać, że i on ma tego jublu powyżej uszu.

— Musisz mi wybaczyć, mój drogi — tłumaczył — ale na śmierć zapomniałem, że właśnie dzisiaj miało być to idiotyczne pięćsetne przejście. Gdybym pamiętał, sam bym cię ostrzegł. Nie znoszę takiego świętowania. Gada się i gada, a pożytku nie widać. Za to kolacja będzie chyba niezła.

— Profesorze — jęknąłem. — Wszystko to drobiazg. Ale ten film!

— O co ci chodzi?

— Przecież ja na tym filmie na pewno będę wyglądał jak skończony niedołęga.

— Nie jest wykluczone — zamyślił się Profesor.

— Będę ośmieszony na całe życie. Z tym przewalaniem się przez łeb i skakaniem po linie. A Profesor obiecał mi opiekę! Czy w filmach turystycznych potrzebna jest zgoda filmowanego?

— Chyba nie.

— Więc co ja zrobię?

Profesor objął mnie po przyjacielsku.

— Nie płacz, synu. W razie jakiejś większej kompromitacji pogadam z reżyserem, żeby trochę przyciął, trochę wyciął. Będzie dobrze.

Chciałem mu powiedzieć, że nie życzę sobie żadnych kompromitacji, ani większych, ani mniejszych, ale pojazd właśnie wpłynął na obszerne lądowisko Biur Turystyki Księżycowej. Znowu zajęli się nami organizatorzy, ktoś porwał nasze hełmy i skafandry, dano nam chwilę czasu na odświeżenie się we wspaniałych biurowych łazienkach, w końcu spotkaliśmy się znów z Profesorem w dużym gabinecie, gdzie czekało kilku organizatorów ze Starym Morssem na czele.

Byliśmy z Profesorem bez skafandrów. I stanąwszy naprzeciw siebie po prostu nieco zgłupieliliśmy, dokoła zaś podniósł się śmiech. Ale za chwilę wiedzieliśmy już, o co chodzi. W

ostatnim miesiącu zrobiła się moda na pomarańczowe koszule w różnobarwne ciapki, kwiatki i ptaszki oraz na gładkie zielone spodnie. No i okazało się, że obaj z Profesorem nadażaliśmy za modą. Obaj mieliśmy na sobie identyczne koszule i spodnie. Wyglądaliśmy zatem jak para bliźniaków, z których jeden (czyli ja) spóźnił się z urodzeniem o dobre sto dwadzieścia lat.

Tym razem nawet Profesor dał się zaskoczyć. Poczzerwieniał, zachnął się z jawną złością.

Natomiast Stary Mors zaczął bić brawo.

— Cóż za niezwykły efekt! — wołał. — Wspaniale, wspaniale! Życie jest najlepszym reżyserem!

Mina Profesora świadczyła, że nie podoba mu się ta sytuacja. Nie dano mu jednak czasu na protesty i namysły. Już nas prowadzono do sali bankietowej, znowu obskoczyli całą naszą grupę panowie z kamerami. W końcu Profesor machnął tylko ręką, a mnie po prostu zachciało się śmiać.

Bo co mi pomoże martwienie się i zamartwianie? O dopędzeniu mojej wycieczki nie mogło już być mowy. Staralem się, jak mogłem, ale wszystko, co działo się tego dnia, było po prostu

silniejsze ode mnie. Uśmiechnąłem się bardzo ironicznie na samą myśl, jak będzie wyglądała moja klasówka i jak oceniający będą musieli łamać sobie nad nią głowę. Roześmiałbym się w końcu na cały głos, gdyby nie solidny kuksaniec wymierzony łokciem Profesora.

— Co tobie tak wesoło?

— Bo już nie mam sił się martwić, Profesorze.

— Nawet filmem?

Wzruszyłem ramionami. Popadłem w nastrój wesołej rezygnacji. Jeśli już los uparł się tego dnia zabawić się ze mną na całego, to niech i ja mam z tego trochę radości.

Wyjaśniłem to Profesorowi, a on spojrzał na mnie jakby z rodzajem uznania czy nawet podziwu. Mruknął, że chyba mam rację — i sam się wreszcie rozpogodził. Czas był już na to najwyższy, jako że weszliśmy właśnie do wielkiej sali bankietowej. Powitały nas znowu oklaski, co już było całkowitą bzdurą, więc tylko mrugnęliśmy do siebie. Sprawa nie była jasna. Czy to o nas chodziło? Czy też Biura Turystyczne chciały sobie zrobić reklamę? Znalazła się śliczna okazja: pięćsetne przejście trasy „C” przez profesora Amfikoupulosa połączone z pierwszym jej przejściem przez debiutanta, który akurat tego dnia znalazł się w czołówce księżycowego rajdu młodzików, no i proszę: od razu całe święto! Przemówienie, film, bankiet, niespodzianki, toasty — jak to na Księżycu, słynącym z gościnności i wesołego usposobienia jego mieszkańców. Tak się wprawdzie mówiło o każdej zamieszkaney już planecie, ale na Ziemi mówiło się tak o Ziemi, na Marsie o Marsie, a o Księżycu na Księżycu. W końcu rzecz ludzka i nie bardzo było się czemu dziwić.

Stary Mors usadził nas za stołem głównym, na szczęście obok siebie.

— Będzie znowu przemawiał? — spytałem cichutko Profesora.

Profesor potrząsnął głową.

— Chyba nie — mruknął. — Jakby sam przemawiał, musiałby chwalić tylko nas. A kto jego pochwali? Trzymam zakład, że tym razem ktoś inny odśpiewa hymn pochwalny... i to głównie na jego cześć.

— Profesorze — rzekłem ze szczerym podziwem — pan zna życie!

— Trochę — zaśmiał się.

Rozglądałem się już za kolejnym mówcą, organizatorzy jednak wykazali sporo taktu. Postanowili zacząć od bankietu, czyli kolacji. Nie miałem zresztą nic przeciw temu. A ściśle mówiąc, było mi do niej spieszno. Raz i drugi zakwiliło mi coś w żołądku, jakby znalazł się tam próbujący swego głosu młody szpak. Na szczęście prawie nikt tego nie usłyszał, tylko siedzący koło mnie zastępca Starego Morsa rozejrzał się wokół siebie trochę nieprzytomnym wzrokiem.

— Słyszałeś coś? — spytał.

— Niestety nic — odpowiedziałem surowo.

— Jakby jakiś ptaszek — wyjaśnił.

— A hodujecie tu jakieś ptaszki? — spytałem ze szczerym zdziwieniem.

Na szczęście na dalszą rozmowę zabrakło nam czasu. Oto wokół stołów pojawiły się bardzo sprawne i bardzo estetycznie zaprojektowane roboty. Każdy z nich z nienaganną elegancją niósł nakrycia, półmiski z przystawkami, wazy wonnych zup, aż do kunsztownych piramid tortów, ciastek, owoców i innych deserów. Stoły zajaśniały wszelkimi barwami tęczy — zakwitły jak czerwcowe klomby.

Na dobry kwadrans zapomniałem o wszystkim. Na całej sali zapanowała uroczysta cisza.

Widocznie nie tylko ja jeden uległem czarowi słynnej kuchni księżycowej. Słyszałem wprawdzie, że Profesor mruczy coś do siebie gniewnie, apetyt przytępił mi jednak słuch i nie miałem ochoty psuć sobie smaku wspaniałych potraw humorami profesora Amfikoupulosa.

Przyszła wreszcie kolej na desery. Nad salą znów podniósł się przyciszony gwar rozmów. Rozparłem się w fotelu. Czułem lekkie rozleniwienie i miłą senność. Nie ma co ukrywać — żarłem jak po tygodniowym poście. Uśmiechałem się przed siebie tępo i z dużą błogością. Nadal wszystko wydawało mi się godne zadowolenia oraz miłych na przyszłość wspominków. Bawiłem się teraz doskonale. Byłem też pewien, że sam się z siebie uśmieję, jeśli filmowcy Starego Morsa zrobili ze mnie okolicznościowego komika. Ostatecznie bawienie ludzi swoją osobą też bywa zajęciem wdzięcznym i pożytecznym.

Zrobiło mi się tylko trochę nieswojo na myśl, że Iris może również obejrzeć mnie w roli turystycznego błazna.

Na dalsze rozmyślenia nie dano mi już czasu. Zastępca Starego Morsa wezwał wszystkich obecnych, by nie ruszali się z miejsc, światła nieco przygasły i na ten znak sala bankietowa zaczęła samoczynnie zmieniać swój kształt. Stoły znikły bezszelestnie w zapadniach, fotele zaś ruszyły spokojnie swoją drogą — zaczęły się ustawiać rząd za (rzędem, nieco amfiteatralnie, w łagodnych półkolach. Tak to sala bankietowa zmieniała się w kinową. Za chwilę miałem się przekonać o swoich aktorskich talentach. Mimo woli zacisnąłem silniej dłonie na poręczach fotela. Profesor był nadal tuż obok. Nachylił się ku mnie.

— Wielką masz treść? — spytał.

— Nic podobnego — zaprzeczyłem fałszywie.

— Hm — szepnął — bo ja mam lekkiego pietra.

— Ja też — przyznałem się natychmiast.

— Ale udajemy, że wszystko jest w porządku?

— Tak jest. Udajemy, Profesorze.

W głębi sali rozświetliła się wstęga szerokiego ekranu. Nie ukazała się na nim jednak czołówka filmu, natomiast na znajdującym się obok: ekranu podeście ujrzeliśmy jakąś sylwetkę. W sekundę później objęło ją łagodne światło punktowego reflektora. Od razu podniosły się głośne westchnienia podziwu i przez całą właściwie salę przeszedł szmerek zachwytu. Ja sam poruszyłem się niespokojnie w fotelu, jedynie Profesor okazał na razie zimną krew.

— Aha — mruknął. — Mamy przemówienie numer dwa.

Nie zdołałem odpowiedzieć. Po prostu zatkało mnie, jak ogromną większość znajdujących się na sali osobników rodzaju męskiego. Widzieliśmy bowiem przed sobą zjawisko całkiem niezwyklej piękności. To znaczy, nie było to żadne zjawisko — tylko dziewczyna. Ale jaka dziewczyna! Napatrzyłem się w teatrach, kinach i na teleściance na wiele bardzo pięknych aktorek, spikerek, śpiewaczek i tak dalej, i tym podobnie. Wuj Seweryn, który pracował w genetyce — a na marginesie interesował się historią urody kobiecej — twierdził, że w przeciągu ostatnich lat pięciuset w ogóle znikła prawdziwa brzydota, natomiast ilość kobiet urodziwych i (pięknych) przekroczyła sześćdziesiąt dwa procent osobników płci żeńskiej. Nie trzeba zresztą było odwoływać się aż do aktorek czy pieśniarek. Wystarczyło dobrze rozejrzeć się w każdym większym damskim zgromadzeniu, żeby przytaknąć tezie wuja Seweryna. Ot, choćby w naszej szkole było kilka dziewcząt, za którymi głowa obracała się w sposób niemal automatyczny. Tylko że równocześnie te pięknotki wcale nie miały największego powodzenia. Wspomniałem kiedyś o tym wujowi Sewerynowi, on zaś pokiwał głową. I powiedział rzecz dość dziwną, ale w istocie przekonującą, a mianowicie że tym pięknym i urodziwym może zaszkodzić ich własna piękność. Że, być może, w niedalekiej przyszłości zaczną się bardziej podobać te brzydkie, te, których jest coraz mniej, ale które mają w twarzy więcej charakteru niż piękności.

Ale stojąca obecnie przed nami w świetle reflektora dziewczyna była naprawdę czymś całkowicie niezwykłym. Nie próbowałbym jej nawet opisywać, do tego trzeba byłoby wielkiego

poety albo w ogóle jakiegoś artysty. A może i oni nie daliby sobie rady? Bo choć była to tylko zwykła dziewczyna, zapewne pracownica Biura Księżycowej Turystyki, to przecież było to zjawisko, na którego widok sam wuj Seweryn straciłby chyba swój zwykły, niewzruszony spokój.

— Któż to jest? — usłyszałem pytanie Profesora skierowane pod adresem Starego Morsa. Ten odchrząknął z lubością i wyjaśnił:

— Kierowniczką Działu Tras Trudnych... a zarazem moją stryjeczna wnuczka.

Spojrzałem na niego, potem na nią i jeszcze raz na niego, i znów na nią. Chciałem coś powiedzieć Profesorowi, ale sam nie bardzo wiedziałem co. On zresztą też wyglądał w tej chwili na osobę niezbyt przytomną.

Dziewczyna zaś uśmiechnęła się i powiodła wzrokiem po całej sali. Nastąpiła cisza wprost doskonała, jakbyśmy wszyscy wstrzymali na chwilę oddech.

— Drodzy goście — powiedziała zjawiskowa kierowniczka Działu Tras Trudnych i stryjeczna wnuczka Starego Morsa. — Drodzy goście i przyjaciele!

Cóż to był za głos! Słuchało się go jak doskonale czystej, łagodnej i pięknej muzyki. Znów niezbyt przytomnie spojrzałem na Starego Morsa, generalnego dyrektora wszystkich Biur Turystyki Księżycowej, i nagle zachciało mi się śmiać. Profesor chyba nie omylił się w swoich przewidywaniach. To drugie przemówienie zostało zaplanowane także jako hymn pochwalny na cześć Biur Turystyki, ich pracowników, kierownictwa i generalnego dyrektora. Stary Mors najwyraźniej czekał na tę chwilę, przygotował już skromny uśmiech i subtelny wyraz twarzy na wypadek oklasków. Tymczasem czas mijał, a nikt nie składał rąk do klaskania. Cała sala zasłuchiwała się w owym cudownym głosie i kiedy ktoś w pewnym momencie chciał rozpocząć brawa, uciszono go w ćwierć sekundy. Z minuty na minutę sprawa stawała się coraz jaśniejsza, po prostu słuchano i chciano słuchać przede wszystkim owego głosu.

Profesor trącił mnie łokciem, a w oczach miał sam śmiech.

— Przedobrzyli — szepnął najcichszym szeptem.

— Całkowicie — przytaknąłem.

Ktoś za nami syknął z oburzenia. Umilkliśmy więc na amen. A mnie nagle zrobiło się trochę żal Starego Morsa. Jego czas najwidoczniej minął. Oklapł, broda osunęła mu się na piersi, skromny uśmiech znikł ze zmęczonej twarzy.

Cudowny głos wciąż jeszcze panował nad salą. Usłyszałem nazwisko Profesora, potem swoje. Nachyliłem się więc do ucha Profesora i spytałem trochę nieśmiało, czy nie powinien by odpowiedzieć w kilku słowach i choć raz (a miło) wspomnieć o Starym Morsie. Profesor zajrzał mi z uwagą w oczy, uściśnął rękę, skinął głową.

Wreszcie „zjawisko” ściszyło nieco głos. Na twarzy dziewczyny rozkwitł delikatny i przepiękny uśmiech. Powiedziała półszepem „dziękuję”, skłoniła się z niewymownym wdziękiem i zeszła ze swego podestu, a reflektor prowadził ją jeszcze przez moment, póki nie znikła w półcieniu sali.

Dopiero wtedy wybuchły oklaski. Jak czerwcowy burza, jak ulewa monsunu. I w gruncie rzeczy nie były to oklaski za przemówienie. Za słowa — najmądrzejsze nawet słowa — nie bije się takich braw. Dałoby się te brawa porównać jedynie do entuzjazmu, który budzi najwspanialszy wirtuoz w najwspanialszym ze swoich koncertów. Wtedy — po ostatnim dźwięku — trwa zawsze jeszcze drobna, niepochwytana chwila ciszy, a dopiero po niej wznosi się nagła i ogromna fala oklasków. Właśnie takich, jakie podniosły się w naszej sali po ostatnich słowach niezwyklej kierowniczki Działu Tras Trudnych. Zaczarowała swoim głosem i wyglądem wszystkich. Jedynie Stary Mors bił brawo jakby z przymusu, jakby wbrew sobie — cicho i niedbale. Nie przewidział

jednak tego, co się stało, gdy brawa wreszcie ucichły.

Oto Profesor zerwał się z miejsca i zawołał o światło. Nastąpiła chwila drobnej konsternacji, ale krąg punktowego reflektora posłusznie się przesunął na jego postać, obejmując zresztą całą trójkę: Profesora, Starego Morsa i mnie.

— Przyjaciele — powiedział Profesor. — Chcę podziękować...

Nie był dobrym mówcą, niezbyt mu poszło to podziękowanie. Ale właśnie dlatego zabrzmiało prosto i bardzo szczerze. Powiedział, że z naszej strony (co znaczy: ze strony księżycowych turystów, których miliony rokrocznie korzystają z pracy Biur Turystyki) należy się gorące i uczciwe podziękowanie całemu ich zespołowi. A ponieważ trudno byłoby każdego z nich serdecznie uściskać i każdemu powiedzieć serdeczne słowa, uczyni to wobec najbardziej chyba zasłużonego z zasłużonych człowieka, który w ciągu ostatnich lat siedemdziesięciu przeszedł wszystkie stopnie pracy w Biurach, czyli wobec obecnego ich generalnego dyrektora.

Stary Mors dał się całkowicie zaskoczyć. Wstał niepewnie, na twarzy miał uśmiech naprawdę nieśmiały i prawdziwie szczęśliwy. Profesor objął go, ucałował. A jemu po prostu zaszklily się oczy i zabrakło głosu.

— Przecież — powiedział ledwo dosłyszalnie — przecież... ja... właściwie... nie zasługuję...

— A właśnie że tak! — krzyknął ktoś z głębi sali i był to na pewno szczery bardzo okrzyk. Wtedy urządzono mu owacje, a on tylko mrugał powiekami i prosił gestem ręki, że dość, że wystarczy. Profesor zaś bardzo zadowolony i uśmiechnięty wypowiedział jeszcze jeden komentarz, tym razem jednak na mój wyłączny użytek i dla mojego tylko ucha.

— Mamy nie najlepsze charaktery, Pawełku — mówił poprzez zgiełk i brawa. — Od razu zaczęliśmy podejrzewać jakieś dziwne rzeczy...

— Przepraszam — rozzłościłem się — to Profesor zasugerował mi... a ja właśnie przed chwilą... dodatkowo wpłynąłem na Profesora!

Spojrzał na mnie nie najmądrzej. Nie odpowiedział nic już jednak, bo sala znów ucichła. Stary Mors usiadł na swym fotelu, a ekran rozświetlił się migotliwym blaskiem.

Spojrzelśmy na siebie z Profesorem. Nie mieliśmy wielkiej tremy, ale lekkiego pietra na pewno. Z ekranu zabrzmiał sygnał Księżycy, migotliwa fala barw ukształtowała się w obraz jego pełni, potem na tym tle ukazał się znak wytwórni księżycowych filmów turystycznych, a głos spikera podał miejsce, czas, nazwę trasy i nasze dane osobiste, ubrane kilku miłymi ozdobnikami, a raczej przymiotnikami. No i od razu ujrzałem siebie obok Profesora, który zgodnie z prawdą zawołał na mój widok: „Nareszcie ktoś z charakterem!”

Po sali przeszedł lekki szmer śmiechu i tak to zaczął się ów film o przygodach profesora Amfikoupulosa oraz ucznia Pawła Kostala na trasie „C” szóstej drogi wycieczkowej.

Trwał ten film minut dwadzieścia. I początkowo byłem zachwycony nie tylko fantastyczną plastycznością obrazu, mistrzowską operatorką, znakomitymi efektami dźwiękowymi oraz tym, że nareszcie wyglądam na filmie jak człowiek, a nie jak skrzyżowanie japońskiej wiewiórki ze skafandrem kosmicznym. Zachwyciłem się przede wszystkim faktem, że reżyser filmu okazał wobec mnie najlepszą wolę: pokazał pierwsze próby kangurowego skoku, ale wyciął owego kozła przez łeb, którego widoku tak się bałem. Dał wprawdzie śmiech Profesora, ale w tej sytuacji brzmiał on całkiem inaczej niż w rzeczywistości — nie jak kpina, tylko jak wesoła aprobata moich kangurzych uzdolnień. Tym bardziej że zaraz potem pokazano nas, jak obaj pięknie i szybko skaczemy sobie przez trudny teren, jacy to niby obaj dzielni i wspaniali jesteśmy. Usłyszeliśmy piosenkę nuconą przez Profesora, potem jakiś mój wesoły okrzyk. Zbliżała się pierwsza szczelina. Ukazano ją z góry i nieco z boku. Wyglądała bardzo groźnie. A potem znów my stojący nad jej brzegiem.

Pamiętałem świetnie, jak Profesor pokazał mi tę głębię, a ja poczułem dziwną miękkość kolan, więc i minę musiałem mieć nieświetną. Potem była jakaś rozmówka, w której Profesor wspomniał coś o niemowlęciu i pieluchach i zdrowo mnie objechał. Tymczasem reżyser wcale nie zwrócił na to uwagi. Od razu przeskoczył do tej chwili, kiedy się pozbierałem i poweselałem nawet. A zaraz potem ukazaliśmy się na linii, przesuając się na rękach nad wielką przepaścią — a wyglądało to tak dzielnie, że przez salę przeszły nawet lekkie brawka.

I właśnie w tym momencie przestałem się tym wszystkim zachwycać. Zaczynało mnie to po prostu złościć. Złościć i zawstydzać. Czulem co chwila na sobie uważne spojrzenie Profesora. To prawda, że reżyser upodobał sobie przede wszystkim jego, a Profesor „grał swoją rolę” bardzo naturalnie i bardzo wspaniale. Tak było i tak po prostu być musiało. Ale to, że ze mnie robiono coś w rodzaju niezłomnego bohatera o akrobatycznych zgoła uzdolnieniach, to już stawało się z minuty na minutę coraz większą bzdurą.

Kiedy wreszcie przyszedł czas na nasze przejście przez drugą szczelinę, o mało nie zerwałem się z miejsca, żeby krzyknąć jakieś brzydkie słowo. Oto moje bezdennie głupie i nieodpowiedzialne skakanie po linii sfilmowano tak, jakby to był gwóźdź programu i coś w rodzaju wspaniałego wyczynu. Z filmowego punktu widzenia robota była świetna. Ale co to miało wspólnego z prawdą? Sala biła wielkie brawa, a mnie szumiało we łbie ze złości. Czy oni całkiem powariowali? Co będzie, kiedy jakiś podobny do mnie turysta urządzi sobie podobnie „bohaterskie” skakanie po linii i nie trafi na nią, ale osunie się w przepaść? Czy to też sfilmują w ultraplastyce i superkolorze?

— Już ja im wygarnę — warknąłem.

— Komu? — spytał Profesor.

— Filmowcom.

— Oni pracowali na zamówienie Działu Tras Trudnych.

— Im też wygarnę!

— Chcę to widzieć — zachichotał cichutko Profesor, a ja dopiero teraz uprzytomniłem sobie, z kim będę musiał obgadać całą tę sprawę. Z kierowniczką działu! Ze stryjeczną wnuczką Starego Morsa!

Jęknąłem cicho, ale Profesor zwrócił do mnie rozweseloną twarz.

— Nie płacz, dziecko — szepnął. — Pomogę. Po ekranie biegły ostatnie metry filmu.

Uścisk Profesora, jego miłe słowa, pierwsze zdanie powitania nas przez Starego Morsa i wreszcie słowo „koniec” skojarzone z radiowym sygnałem i międzyplanetarnym znakiem Księżyca.

Sala pojaśniała. Rozległy się jeszcze uprzejme oklaski trochę pod adresem realizatorów filmu, trochę pod adresem jego bohaterów, a w dwie czy trzy minuty potem znaleźliśmy się już sami — w towarzystwie Starego Morsa, jego ugrzecznionego i trochę bezbarwnego zastępcy oraz bardzo młodego chłopca (starszego ode mnie najwyżej sześć, siedem lat), którego zastępca dyrektora przedstawił nam jako reżysera filmu.

Wesoły, bystry przystojniak tylko spojrział po nas i już się zorientował, że coś nie tak. Trochę jakby posmutniał, ale głos miał dzielny.

— Są, zdaje się, jakieś zastrzeżenia. Tak?

— Tak — powiedział Profesor.

— Jakie? — zdziwił się Stary Mors. — Przecież robota jest bardzo dobra.

Profesor wskazał na mnie, oddając mi tym gestem głos.

— Zgoda. Ale mnie się wydaje — powiedziałem niezbyt śmiało — że ta dobra robota jest jakby trochę za dobra. A mianowicie...

Tu wtrącił się zastępca:

— O ile się nie mylę, w filmach tego typu zastrzeżenia filmowanego nie muszą być brane pod uwagę.

— A ja sędzę — powiedział ostro reżyser — że w każdym razie powinny być brane pod uwagę.

To sformułowanie naprawdę mi się podobało. I to bardzo. Reżyser zaś mrugnął do mnie okiem jak do przyjaciela. Na pewno zaś nie był to tylko chwyt, żeby przekabacić mnie na swoją stronę.

— W takim razie — oświadczył sucho zastępca — sprawę proszę uzgodnić z Działem Tras Trudnych. Ja przepraszam... wzywają mnie obowiązki.

Sklonił się i już go nie było. Stary Mors spojrzął za nim.

— Czasami odnoszę wrażenie — mruknął niby tylko do Profesora — że przydałby mi się zastępca o nieco większej wyobraźni.

— Wygląda na to, że masz rację — stwierdził spokojnie Profesor.

Potem Stary Mors zwrócił się do reżysera. Spytał, czy wystarczy czasu na korektę filmu. Kiedy otrzymał zapewnienie, że tak, zaczął się z nami żegnać, oddał nas pod opiekę reżysera i dodał niezbyt jasno, że bardzo jest nam wdzięczny i że bardzo nam dziękuje, choć wcale nie wyjaśnił za co.

— A zatem idziemy do Działu Tras Trudnych — uśmiechnął się Profesor. — Udała się wam jego kierowniczką. A tobie wnuczka.

Stary Mors najnieoczekiwanej w świecie zamyślił się trochę smutno, westchnął, pokiwał frasobliwie głową.

— Nie uwierzysz — powiedział cicho — ale dziewczyna wcale nie jest zbyt szczęśliwa.

Wszyscy niby się w niej kochają... ale nikt nie potrafi się do niej zbliżyć. Jest bardzo, bardzo piękna... i dość samotna. Boją się tej piękności czy co?

Zauważyłem, że oczy reżysera rozbłysły jasnym blaskiem. Zacisnął wargi. Wyglądał na upartego chłopca.

— To się kiedyś skończy — oświadczył i od razu zabrał nas ze sobą. Właśnie do owej zbyt pięknej kierowniczką Działu Tras Trudnych.

Nie ma co ukrywać: znów dostałem tremy. Profesor też jakby spowaźniał. Jeden reżyser zachował swą naturalną i wesołą swobodę. A zajął się przede wszystkim mną. Po pierwsze, wyjaśnił, że z największą chęcią wysłucha moich zastrzeżeń i jeśli uzna ich rację, zastosuje się do nich. A po drugie — i tu jego głos przybrał jakby ton proszący — wspomniał o tym, że Zofija (czyli właśnie kierowniczką, do której idziemy) jest przede wszystkim rozumną i wrażliwą osobą. Nie należy zatem zachowywać się wobec niej jak wobec najpiękniejszej dziewczyny układu słonecznego (którą chyba nawet jest), tylko właśnie jak wobec mądrego i wrażliwego człowieka.

— Tak sądzisz? — spytał Profesor.

— Tak twierdę — oświadczył reżyser.

— Aha — mruknął Profesor. — Rozumiem. Reżyser jakby się lekko zarumienił, ale nic nie odpowiedział.

Byliśmy na miejscu.

Zofija przywitała nas na progu swego gabinetu uśmiechem, od którego zakręciło mi się w głowie. Na szczęście reżyser przydeptał mi niechcący nogę i na dodatek szturchnął jeszcze w plecy. Od razu wróciłem do jakiejś takiej równowagi.

— Mamy jakieś problemy? — spytała Zofija (ten głos! ten głos!).

— I owszem — powiedział reżyser.

— Jakie?

— Mój młody przyjaciel — rzekł Profesor nie bez cienia złośliwości w głosie — ma zastrzeżenia w stosunku do waszego filmu.

— Spodziewałam się tego — powiedziała.

— Czego? — spytałem nie najmądrzej.

— Mówiliśmy już o tym z Erykiem... to znaczy, z reżyserem.

Reżyser Eryk skwapliwie przytaknął.

— Dlatego z góry przewidzieliśmy możliwość korekty filmu — tłumaczyła dalej Zofija — i teraz czekamy na twoje uwagi.

Przez chwilę jeszcze milczałem. Musiałem zebrać jakoś i uszeregować swoje zastrzeżenia. Ujrzałem równocześnie krótką wymianę spojrzeń między Zofiją a Erykiem i całkiem na marginesie pomyślałem sobie, że Stary Mors ma niedostateczne informacje i że, być może, już wkrótce skończy się samotność kierowniczkę Działu Tras Trudnych. Wreszcie odchrząknąłem znacząco. Wszyscy patrzyli na mnie. Ja zaś zacząłem:

— Uważam, że w waszym filmie potraktowano mnie w sposób niewłaściwy. Zrobiono ze mnie równorzędnego partnera Profesora. A jest to oczywisty nonsens, jeśli Profesor obchodził właśnie jubileusz pięćsetnego przejścia, ja zaś wlażłem na trasę po raz pierwszy.

— Wcale nie czuję się skrzywdzony — mruknął Profesor.

— A ja uważam — ciągnąłem patrząc w rozumne oczy Zofii — że skrzywdzona została tu prawda.

— Mieliliśmy zrobić reklamówkę... — wtrącił Eryk. Zofija powstrzymała go gestem — i to dość czułym.

Położyła swoją dłoń na jego dłoni.

— Od początku byłam zdania — powiedziała — że trzeba ściślej trzymać się prawdy. Paweł ma rację. Nie będziemy go ośmieszać ani kompromitować. Ale musimy pokazać ludziom, że nawet w trakcie jednego przejścia niepewny siebie i całkiem niedoświadczony turysta może zmienić skórę, poczuć się pewniej i przeżyć satysfakcję z pokonania własnych strachów i niezdarności. Czy tak, Pawle? O to ci chodzi?

— Właśnie tak! — krzyknąłem.

— Bardzo dobrze, Pawełku — rzekł Profesor, a Eryk nagle roześmiał się bardzo wesoło,

— Przewidując coś podobnego... to znaczy: przewidując podobne lanie, jakie tu dostałem... jestem gotów już w tej chwili przedstawić inną redakcję filmu, która, jak sądzę, zaspokoi żale szanownego młodzieńca nazwiskiem Paweł Kostal oraz pretensje mojego szefa, który... oby był nim zawsze.

— A kiedy wasz ślub? — spytał z wielką niby powagą Profesor.

To małe pytanko podziałało na tamtych dwoje jak niewidzialna i niesłyszalna, ale za to mocna eksplozja ładunku wybuchowego. Zofija zbladła, Eryk poczerwieniał. Profesor uśmiechnął się, ja też. Mijały sekundy milczenia — a obaj bardzo dobrze wiedzieliśmy, jak ważne są te sekundy dla tamtych dwojga. Pierwsza odezwała się Zofija:

— Nie myśleliśmy jeszcze o tym... to znaczy...

— Nie myśleliście czy nie mówiliście? — przerwał Profesor.

— Nie mówiliśmy — odpowiedziała już z większą pewnością siebie. — Ale ja myślałam... i sądzę...

— Zofija! — krzyknął Eryk.

— Więc kiedy? — prowadził dalej swoje śledztwo Profesor. — Za rok? Za miesiąc?

Eryk podszedł do Zofiji, objął ją za ramiona.

— Za tydzień! — powiedział jasnym głosem.

— Będziecie naszymi świadkami? — spytała nas Zofija z niewiarygodnie pięknym uśmiechem.

— Ja tego żądam — stwierdził z powagą Profesor.

— Ja też! — krzyknąłem. — Hip, hop, hura! Ja też! Zofija musnęła wargami policzek Eryka, odsunęła się lekko od niego i znowu mieliśmy przed sobą rzeczową i spokojną kierowniczkę Działu Tras Trudnych.

— Czy chcecie obejrzeć drugą redakcję filmu? — spytała głosem tak opanowanym, jakby scena, która rozegrała się przed chwilą (a przecież było to jedno z najważniejszych wydarzeń jej życia) w ogóle się nie odbyła.

— Kopia jest prawie gotowa do wyświetlania — dodał z równym spokojem Eryk.

Spojrzelśmy po sobie z Profesorem. Widziałem najwyraźniej, że podobnie jak ja nie ma najmniejszej ochoty na ponowny przegląd filmu. Bardzo chciałem powiedzieć „nie” — ale przecież to ja przyszedłem tu z pretensjami i żądaniem zmian. Po prostu nie miałem moralnego prawa odmawiać. Nie była to tylko moja sprawa.

Westchnąłem cicho.

— Bardzo proszę — powiedziałem. — Bardzo proszę... o ile nie macie nic przeciw temu. Zofija wprowadziła nas do sąsiedniej niewielkiej salki, w której przyćmiono już światła i rozświetlono ścienny ekran.

— Za pół minuty projekcja — odezwał się z ekranu głos Eryka.

Zofija siadła między nami. Spojrzała wpierv na Profesora, potem na mnie.

— Czy... — spytała cichym głosem — czy dobrze zrobiliśmy?

— Tak — powiedziałem.

— I koniec dyskusji — zamknął sprawę Profesor. Zaśmiała się prześlicznym swoim głosem, a zaraz potem znów ujrzelśmy siebie na ekranie i usłyszałem głos Profesora: „Nareszcie ktoś z charakterem”.

Niewiele jest tu do opowiadania. Po prostu tym razem było tak, jak było. I jeśli poprzednia redakcja filmu przedstawiała coś w rodzaju bohaterских przygód dwóch niezwykle dzielnych turystów, to tym razem wszystko działo się w stylu bardzo sympatycznej komedii. Ja przewaliłem się przez łeb, Profesor gderał, potem było lepiej, potem znowu gorzej — zaczęliśmy się śmiać przy scenie nad pierwszą przepaścią, przy drugiej zamilkliśmy z napięcia. Potem znalazł się bardzo komiczny epizod na ścianie, kiedy to zawisłem na linie, a Profesor (zbliżenie) nie omieszkął ponarzekać na swój nieszczęsny los. Zaraz zaś potem okazało się, że zaczynam wspinać się lepiej od niego.

No i tak było aż do końca. Chwilami robiło mi się trochę głupio. Ale Eryk ani razu nie przekroczył tej granicy, poza którą człowiek przestaje być śmieszny, a staje się nieszczęsnym ogłupiałym błaznem. Przy tym wszystkim było wyraźnie widać, że Profesor zna trasę wspaniale i przechodzi ją jakby spacerkiem, okazując trochę zabawną skłonność do złości i gderania, ja zaś, choć początkowo zagubiony i niezdarly, z minuty na minutę zyskuję sprawność, orientację i choć do końca gram rolę raczej komiczną, to jednak ani przez chwilę nie wygląda to kompromitująco, tylko naprawdę całkiem sympatycznie.

Film kończył się, gdy do salki wszedł Eryk.

— W porządku? — spytał.

Daję słowo honoru, że moja odpowiedź była stuprocentowo szczerą.

— Po prostu znakomita robota!

— Nie „za dobra”? — zaśmiał się Eryk.

— Znakomita — potwierdził Profesor. — Chcę tylko wiedzieć, dlaczego przedtem pokazaliście tamto uroczyste głupstwo?

— Zastępca generalnego — powiedziała Zofija — żądał tego. Że niby jubileusz musi być uroczysty.

— Aha — mruknął Profesor i sądzę, że w tejże samej chwili wszyscy czworo w podobny sposób pomyśleliśmy sobie o zastępcy Starego Morsa.

— A puszczając drugą redakcję na program — spytał Profesor — nie będziecie mieli kłopotów z tym uroczystym bęcwałem?

Zofija roześmiała się, Eryk również.

— Żadnych — wyjaśniła. — Ta sprawa należy wyłącznie do moich kompetencji i właśnie zależy mi na tym, żeby ten uroczysty bęcwał... przepraszam... żeby się o tym przekonał.

— No i przekona się — powiedział Eryk twardym głosem. - Uroczyście się przekona.

Tak to przyszła pora na pożegnanie.

Stali naprzeciw nas oboje, a jej piękność była jaśniejsza od blasku wschodzącego słońca.

Powiedziała, że mamy się wszyscy czworo spotkać za tydzień w miejscu i porze, o której nas powiadomią. A potem ucałowała w pierw Profesora, potem mnie. Ucałowała nas w oba policzki! Westchnęliśmy obaj jednym głosem, aż Eryk parsknął głośnym śmiechem.

— Uważajcie, żebyście nie przywykli! — zawołał. Uścisnął nam ręce i już go nie było.

— A więc za tydzień? — spytała z lekkim rumieńcem Zofija.

Pomyślałem, że może będę miał jakieś tam trudności z profesorem Górką, ale byłem też pewien, że mama załatwi wszystko na sto procent. Obiecaliśmy więc, że za tydzień, i podaliśmy sobie dłonie. Zofija wezwała robota--przewodnika do naszej dyspozycji, kazała przekazać nam nasze skafandry, i tok to w końcu pożegnaliśmy się nie bez cichej melancholii i smutku z najpiękniejszą dziewczyną układu słonecznego.

Robot zjawił się wraz z naszymi skafandrąmi i uprzejmie spytał, czym może służyć. Poprosiłem, żeby zawiózł mnie na właściwy kosmodrom, numer osiemnaście, kwadrat F, rakieta XL-218.

Spojrzałem na Profesora, chcąc go spytać, czy nie zechciałby poświęcić mi jeszcze trochę czasu, on zaś objął mnie za

— Odprowadzę cię, mój chłopcze. Zgoda?

— Dziękuję — szepnąłem.

W kilka minut później byliśmy już w poczekalni kosmodromu. Robot obejrzał wszystko, co należy, poinformował, że mam jeszcze dwadzieścia minut do chwili startu, że automaty sprawdziły stan techniczny rakiety (który jest nienaganny), i życząc dobrej drogi, odszedł.

Usiedliśmy wraz z Profesorem na uboczu, w cichej wnęce. Od pożegnania z Zofiją milczeliśmy.

A choć dzieliła nas wielka ilość lat, wielka odmienność czasu i doświadczeń, czułem, że jest to milczenie przyjaciół. Nie śmiałem go przerywać, choć bardzo chciałem prosić Profesora o odwiedzinę, o to, żeby nie zapomniał o mnie i żeby jeszcze choć raz wziął mnie ze sobą na trasę „C”. Mieliśmy się wprawdzie widzieć już za tydzień, ale wtedy będzie zapewne tłumnie i gwarno i może zabraknąć okazji do jakiejś dłuższej rozmowy, w której spróbowałbym mu wytłumaczyć, jak szczerze i prawdziwie go polubiłem.

I w tejże chwili przyszło olśnienie: przypomniałem sobie, kim jest Dariusz Amfikoupulos! Na moment zabrakło mi głosu i odwagi.

— Profesorze — szepnąłem wstając niezdarnie z fotela. — Ja... ja wiem, kim pan jest.

Uśmiechnął się.

— Jesteś pewien?

Zacząłem wylizywać jak w gorączce:

— Badania wnętrza Ziemi. Badania wnętrza Wenus. Pierwsze i drugie prawo Amfikoupulosa dotyczące się...

— Co jeszcze?

— Poza odkryciami naukowymi jeden z pierwszych wielkich poetów języka uniwersalnego. Pseudonim: Amfilaos. Organizator badań...

Profesor roześmiał się, chwycił mnie za rękę, zmusił do zajęcia z powrotem fotela.

— Cieszy mnie, że tyle wiesz o Dariuszu Amfikoupolosie, choć znany on jest ze swego samotnictwa i niechęci do wszelkiej popularności. Ale...

— Wiem jeszcze... — zacząłem znowu.

— Dość — powiedział Profesor.

Chwilę jeszcze milczał, a ja nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Jak zachowywałem się wobec takiego człowieka? Klóciłem się, pozwalałem sobie na głupie złośliwości, a na domiar wszystkiego chciałem mu zaproponować zwykłą przyjaźń, wzajemne odwiedziny, pogaduszki, niczym byle równolatkowi.

— Cieszy mnie — powtórzył z bardzo serdecznym uśmiechem — że tyle wiesz o Dariuszu. Chciałem ci jednak wyjaśnić, że wiesz to wszystko nie o mnie... tylko o moim synu.

— Co?!?

— To właśnie, co usłyszałeś. Natomiast profesor Dariusz Amfikoupolos, który siedzi tu przed tobą, jest całkiem zwyczajnym człowiekiem. Od bardzo wielu lat zajmuje się nauczaniem młodych ludzi, lubi turystykę i dobrą muzykę. Czasem pozwala sobie na wycieczki poza układ słoneczny. Ma niewielu, ale za to wypróbowanych przyjaciół. I na koniec: chciałby wkrótce zaliczyć do ich grona młodego człowieka, Ziemiańszaka, imieniem „Paweł”, nazwiskiem „Kostał”. No i co ty na to?

— Profesorze! — zawołałem.

Mało brakowało, a zacząłbym pleść jakieś niewiarygodne głupstwa. Przede wszystkim ogarnęła mnie szczerą i wielką radość, że to nie tamten Wielki Amfikoupolos. Równocześnie było mi jakby trochę żal, że go nie poznałem. A zaraz potem znów radość: Profesor chce mnie zaliczyć do swoich bliskich przyjaciół. Ale czy na przykład przyjmie mnie, gdybym chciał odwiedzić go razem z Iris?

Wiedział dobrze, co się ze mną dzieje. Ujął mnie za rękę.

— Miałeś dziś ciężki dzień — powiedział łagodnym, uspokajającym głosem. — Trzeba to wszystko odespać, przemyśleć. Spotkamy się za tydzień, pogadamy...

— Może zajrzemy na trasę „C”? — spytałem nieśmiało. Zaczął się śmiać tak serdecznie, że aż załzawiły mu się oczy.

— Nic lepszego nie wpadło ci do głowy?

— Nic — przyznałem.

Przy naszym stole pojawił się robot z obsługi kosmodromu. Odczekał uprzejmie, aż Profesor przestanie się śmiać, przypomniał mi, że startuję za cztery minuty, powiadomił również, że z Biura Turystycznych przekazano dla mnie dwie skrzynie, które obsługa kosmodromu umieściła już w komorze bagażowej mojej XL-218.

— A cóż to znowu? — zaniepokoiłem się.

Robot, niestety, nie był poinformowany o zawartości tego ładunku. Przeprasił więc i odszedł.

— Sprawa jest jasna — oświadczył Profesor. — Zapomniałeś o „niespodziankach” zapowiadanych jeszcze na trasie „C”? Wpakowali ci tam jakieś prezenty. Jeśli to organizowała Zofija, prawdopodobnie będziesz miał z nich uciechę.

— A jeśli zastępca generalnego? — spytałem niespokojnie.

— To dasz na przemiał. Albo i nie. Wstaliśmy obaj. Profesor podał mi rękę.

— Dziękuję za wszystko — powiedziałem. Uśmiechnął się tylko. Odprowadził mnie do kabin

przejsiowych, pomógł umocować hełm.

— Dobrej drogi — rzekł na koniec.

Na progu kosmodromu obejrzałem się za siebie. Za przejrzystymi ściankami kabin przejściowych dostrzegłem jeszcze jego sylwetkę. Nie chciałem już nic mówić. Podniosłem tylko rękę na pożegnanie. Odpowiedział tak samo.

W minutę później znalazłem się w fotelu mojej pocziwej i wspaniałej XL-218. Poprosiłem Dyspozytornię Ruchu o wyznaczenie mi dokładnej trasy powrotnej na linii: Księżyc, Stodwudziestką, Dom (bez zatrzymywania się na Stodwudziestce). Mieli tu szybki sztuczny mózg. Był gotów w dziesięć sekund i przekazał właściwe dane komputerowi mojej rakiety. Ja zaś uśmiechnąłem się do siebie z wielką błogością. Profesor powinien był mi życzyć nie tyle dobrej drogi, ile dobrego snu. Obiecałem sobie, że najdalej w minutę po starcie oddam prowadzenie automatycznemu pilotowi i co najmniej dziewięć dziesiątych drogi prześpię sobie w sposób cichutki a spokojny. Oto kończył się wreszcie ten obłąkany, księżycowy dzień, kończyła się też chyba seria przygód i rozrywek. Nie czułem wprawdzie zbyt wielkiej senności, ale byłem zmęczony. Wiedziałem zresztą, że jeśli ułożę się do snu, nie będę nań czekał dłużej niż pół minuty.

Włączyłem zespoły ruchu i łączności. Zostało mi do startu piętnaście sekund, które zegar startowy kosmodromu odliczał z godnym spokojem. Ziewnąłem mi się po raz pierwszy. Ostatnie sekundy: cztery, trzy, dwa, jeden...

Start.

Wyszedłem w przestrzeń łagodnym łukiem.

— A więc wracamy do domku — rzekłem na głos i ziewnąłem po raz drugi, szeroko a szczęśliwie.

Taśma czwarta

Tak więc rzeczywiście wracałem do domu.

Minęło dokładnie sześćdziesiąt siedem sekund od startu, kiedy podłączyłem automatycznego pilota do komputera. Mogłem być spokojny o drogę — i to o wiele spokojniejszy, niż gdybym prowadził sam. Komputer miał dane wyliczone z dokładnością do tysięcznych sekundy i tysięcznych metra, a było pewne, że pilot-automat będzie go słuchał z nie mniejszą dokładnością. Choćby z tej przyczyny, że stanowił po prostu jedną z jego części.

Nareszcie byłem wolny od obowiązków i odpowiedzialności. Zdjąłem hełm, ułożyłem fotel w pozycji poziomej i z niewymowną ulgą wyciągnąłem się na nim. Ziewnąłem po raz trzeci, porykując z lekka, niczym młodociany bawół, czyli mówiąc po prostu: ciele. I od razu umilkłem, bo uprzytomniłem sobie, że ktoś mógłby usłyszeć owo porykiwanie i w najlepszej woli wezwać pogotowie lekarskie. Na wszelki wypadek wyłączyłem z zespołu łączności fonię mojej rakiety, czyli własny swój głos.

Przepisy bezpieczeństwa nie pozwalały wyłączać nasłuchu. Przyciszyłem go jednak co nieco i westchnąłem z cichą nadzieją, że nie natrafię na jakichś latających gadułów, którzy nie pozwolą mi spać. Następnie zamknąłem oczy i powiedziałem:

— Dobranoc.

Miałem takie uczucie, jakby ktoś odpowiedział tym samym słowem.

Płynąłem już przez przestrzeń na pełnej szybkości, w pełnej ciszy i doskonałym spokoju. Któryś tam raz z rzędu pomyślałem ze szczerą wdzięcznością o Lutku, o jego konstruktorskich talentach

i umiejętnościach. Równocześnie powiedziałem sobie:

— Spać!

Wydałem ten rozkaz w przekonaniu, że już po minucie czy dwóch będę lulał, cicho i niewinnie niczym syte niemowlę. Jak dotąd nie wiedziałem, co to znaczy czekać na zaśnięcie dłużej niż dwie czy trzy minuty. Z budzeniem się i wstawaniem — i owszem, miałem czasami kłopoty. Ale z zasypianiem? Nigdy! Przy dobrej woli i lekkim zmęczeniu mógłbym chyba nawet odstawić drzemkę podczas tańca z nudną dziewczyną.

Ale tym razem okazało się, że znowu zaczyna się dziać coś nie tak, jak powinno. Upłynęły trzy minuty — i nic. Przeczekałem jeszcze spokojnie czwartą i piątą. Ale w szóstej zacząłem się już niecierpliwić.

Po takim dniu powinienem był wpaść w sen jak kamień w czarną wodę. Okazało się jednak, że widocznie za dużo było tego wszystkiego, żeby tak zaraz uciszyć niespokojną pamięć.

Niespokojną? Nie było to właściwe określenie. Panował bowiem w niej ścisk i bałagan nie z tego świata i nie z tej galaktyki. Zamknąłem oczy i... zaczęło się! Kamante przemawiał głosem Starego Morsa, Stary Mors skakał po linie, Profesor pytał mnie i Iris: kiedy wasz ślub? — a ja nie umiałem wydusić z siebie jednego słowa, bo Melassa karmił mnie tortem o smaku i zapachu płynnego asfaltu. Szarpnąłem się wściekle i wyrwałem z owej obrzydliwej zmy. No tak! Tylko tego jeszcze brakowało, żeby męczyć się nawet we śnie. Mógłbym wprawdzie zażyć jakąś pigułkę z gatunku łagodzących napięcia systemu nerwowego. Ale powiedziałem sobie — „nie”. Chyba że nie uda mi się spokojnie usnąć aż do Stodwudziestki. Wtedy będę usprawiedliwiony.

Na razie przestałem liczyć minuty oczekiwania na spokojny sen, a zamiast pigułki wrzuciłem do ust dwie miętówki. Natychmiast poczułem się pewniej i od razu przyszło mi do głowy, żeby odpocząć co nieco w stanie nieważkości. Zmniejszyłem więc lekko grawitację i uniosłem się nad fotelem. Tak — był to dobry pomysł. Rozprężyłem się, leżałem w powietrzu spokojnie i wygodnie, jak na cichej fali południowych mórz. Znow zamknąłem oczy i ujrzałem przed sobą twarz Iris Dalton.

Pożegnaliśmy się nie najserdeczniej. Byłem też głęboko przekonany, że kawał z Melassą nie został mi wybaczony. Że w swoim czasie ten dług zostanie spłacony, i to — znając jej charakter — z nadwyżką.

Teraz jednak uśmiechała się do mnie. Jej oczy mieniły się barwami błękitnych i zielonych mórz, złotorude włosy lśniły jasnym blaskiem, lekko zadarty nos zmarszczył się prześlicznie. Ale nie był to żaden sen. Po prostu tak ją zapamiętałem i tak ją teraz widziałem przez zamknięte powieki i dzielące nas setki tysięcy kilometrów.

Chciałem jej coś powiedzieć — nie znalazłem jednak słów, więc szybko otwarłem oczy.

— Ostrożnie, człowieku! — rzekłem do siebie surowym tonem. — Cała sprawa wygląda bardzo podejrzanie.

I wtedy odezwał się całkiem sympatyczny i całkiem mi nie znany młodzieńczy głos.

— Przepraszam — powiedział głos — ale nie rozumiem, o co konkretnie chodzi.

Poderwałem się tak gwałtownie, że rzuciło mną o górny ekran, który wykazał wielką twardość.

Poczułem to na czubku głowy, a w sekundę potem sprawdziłem nosem, że fotel wcale nie jest tak miękki i wygodny, jak mi się dotychczas zdawało.

— Ależ uspokój się — powiedział drżący od powstrzymanego śmiechu głos. — Przecież od tysiąca lat wiadomo, że duchów nie ma.

Opanowałem się z najwyższym trudem. Zawadziłem wprawdzie jeszcze brodą o tablicę zegarów, ale w następnej już sekundzie włączyłem grawitację, wróciłem na fotel i nadałem mu właściwe

położenie.

— Czy mogę wiedzieć, kto mówi? — spytałem spokojnym niby głosem, choć cały trząsałem się z oburzenia.

Wyłączyłem przecież swoją fonię, tak że nikt na trasie nie mógł mnie usłyszeć. Nikt, kto nie posunął się do takiej bezczelności, żeby złapać mnie na podsłuch, i to wbrew mojej woli! Był to postępek niedopuszczalny. System podsłuchu posiadała wprawdzie każda rakietę i każdy pojazd kosmiczny — wolno było jednak nim się posługiwać tylko w wypadkach awarii czyjejś łączności i jedynie za zgodą podsłuchiwanego.

Któż był więc tak bezczelny, żeby łamać jeden z głównych przepisów porozumiewania się w przestrzeni?

Sprawdziłem jeszcze raz fonię. Była wyłączona na głucho. Przysiągłem sobie, że niezależnie od tego, kto się do mnie odzywa, popamięta dobrze swoje skandaliczne i bezprawne nachalstwo.

— Pytam: kto mówi? — odezwał się z takim spokojem, jaki mi się zdarzał tylko w chwilach największego gniewu.

Równocześnie włączyłem wszystkie ekrany. Na przednim ujrzałem dwie osobowe rakietę i niewielki pracowniczy kosmobus. Za mną nie było nikogo. A więc na podsłuch musiał mnie wziąć ktoś z tych dwóch osobówek. Postanowiłem, że jeśli do trzech sekund nikt mi nie odpowie, zażadam pomocy od lotnej Służby Ruchu. A ci bardzo nie lubią łamania przepisów.

Nim jednak minęła druga sekunda, głos odezwał się po raz trzeci:

— Sądziłem, że sam mnie rozpoznasz — mówił z lekkim zakłopotaniem. — Okazało się, że muszę się przedstawić osobiście. Co gorsza: zdaje się, że trochę cię zdenerwowałem.

— Trochę! — zaśmiałem się z gorzką ironią.

— W takim razie wybacz mi. Jestem jeszcze niewprawny. Dziś rozmawiam z tobą po raz pierwszy.

— Ale nie ostatni — zapowiedziałem z uczciwą groźbą.

— Oczywiście! Jestem przekonany, że nie ostatni. Sądzę, że przez kilka dobrych lat będziemy razem. Że się zaprzyjaźnimy, że...

— Co? — spytałem z całkowitym brakiem orientacji i z absolutną tępotą.

— Taką mam przynajmniej nadzieję — rzekł głos jakby z niepewnością.

— Ale kto mówi? — jęknąłem błagalnie, już bez złości i gniewu.

— Twój komputer. To znaczy komputer twojej XL-218, nazwany przez konstruktorów Pawłem II. Ty jesteś Paweł I. A ja pozostaję do twojej dyspozycji w każdej dostępnej moim możliwościom sprawie. Mam podwójny układ logiczny oraz szereg elementów, które jako tako upodabniają mnie do człowieka. Znam dokładnie Twój życiorys i charakter, a przez ostatni miesiąc miałem możliwość bezpośredniego obserwowania ciebie. Zostałem nastawiony na prądy czynnościowo-postrzegawcze twojego mózgu, tak że z wyjątkiem twoich godzin snu mogłem towarzyszyć ci we wszystkich miejscach i okolicznościach. Oczywiście na zasadzie całkowitego zaufania. I dyskrecji też. A chcę ci przy tym powiedzieć, że szczerze cię polubiłem, mimo że bywasz czasami zbyt porywczy, a czasami zbyt nieśmiały. Sam zresztą jestem nie bez wad. Chciałbym jednak wierzyć, że uznasz mnie jeśli nie za przyjaciela, to przynajmniej za dobrego kumpla...

— Chwileczkę — powiedziałem cicho. — Chwileczkę. Muszę zebrać myśli.

— Rozumiem. Oczywiście. Poczekam.

Nastąpiła cisza, podczas której usiłowałem te myśli „zebrać”. One jednak wykazywały dużą skłonność do rozbiegania się co chwila. Nic w tym zresztą dziwnego. Wiedziałem, że mam komputer najwyższej klasy. Ale gdybym się sam teraz nie przekonał, że wbudowano w moją XL-

218 maszynkę podobną do ludzkiej osobowości — nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego w ogóle jest możliwe!

I tu przeszedł mnie lekki dreszcz. Tego Pawła II najwidoczniej uczłowiczono w sposób niemal doskonały. A moje dotychczasowe doświadczenia z nazbyt uczłowiczonymi robotami były nie najlepsze. Bo choć Domek dawał się lubić — i naprawdę szczerze — to jednak bywał też mocno nieodpowiedzialny, i to nawet w tak prostych domowych czynnościach, do jakich był przeznaczony. A ów przewodnik księżycowy, który prosił, żebym go przewiózł na Ziemię? Przecież on namawiał mnie po prostu do przemytu, czyli do przestępstwa. Obaj zaś byli przeznaczeni do całkiem łatwych zadań.

Natomiast komputery raket osobowych miały dość zajęć z prowadzeniem, kontrolą, bezpieczeństwem i łącznością lotów, żeby obarczać je jeszcze człekopodobnym układem myślowym. Dotychczas słyszałem i uczyłem się o tego rodzaju komputerach montowanych w transportowcach najdalszego zasięgu, a obsługiwanych przez samotnych pilotów. Były to jednak duże rozmiarami maszyny, dość pożyteczne, bo zwalczające poczucie samotności u pilota odbywającego długie podróże.

— No i co? — spytał Paweł II. — Zebrałeś już myśli?

— Niezupełnie.

— Więc jak ci pomóc?

Spojrzałem na obudowę komputera i po raz pierwszy ujrzałem na niej słaby, ale dostrzegalny zarys lekko uśmiechniętej ludzkiej twarzy. Ten — sympatyczny zresztą — cień uśmiechu wzbudził we mnie nagłe podejrzenie: czy aby ten Paweł II nie podsłuchuje moich myśli? Spytałem o to. Najwyraźniej się oburzył.

— Powiedziałem ci przecież, że jestem nastawiony na czynnościowo-postrzegawcze prądy twego mózgu. Nie rozumiesz?

Zrozumiałem. Westchnąłem z ulgą.

— A więc — spytałem jeszcze dla pewności — nie jesteś w stanie czytać moich myśli, tylko towarzyszysz mi na odległość, widzisz to, co ja, i słyszysz to, co ja? Tak czy nie?

— Właśnie! Zachowuję zresztą własny charakter i własną osobowość.

— I to niezależnie od odległości, która nas dzieli?

— Nie całkiem — odpowiedział Paweł II z wyraźnym zawstydzeniem. — Mogę ci towarzyszyć tylko na odległość do dziesięciu tysięcy kilometrów.

Pierwszy raz w tej rozmowie zaśmiałem się na całe gardło.

— Drobiazg! — zawołałem.

— Nie taki znowu drobiazg — oburzył się Paweł II. — Ostatecznie powinieneś wiedzieć, że jestem szczytem ludzkich osiągnięć w dziedzinie budowy komputerów człekopodobnych.

— To prawda — pokiwałem głową. I od razu znów się wystraszyłem.

— O co chodzi? — pytał z wyraźnym poczuciem godności Paweł II. — Wyglądasz, jakbyś się czegoś wystraszył.

— Bo... — zacząłem i nie skończyłem.

— Bo co?

Teraz dla odmiany on zaczynał się niecierpliwić i złościć. Nie bardzo wiem dlaczego, ale właśnie ten fakt wyraźnie mnie uspokoił. Zadałem więc wreszcie pytanie, które chciałem zadać.

— Bo... chciałbym wiedzieć, czy ty jesteś eksperymentalny?

— Jeszcze jak! — zawołał z dumą Paweł II. Musiałem mieć w tej chwili mocno ogłupiałą i nadal

wystraszoną minę, bo roześmiał się na całe gardło.

— Tego się boisz?

— Mam chyba prawo — mruknąłem bez większego przekonania.

— Nie masz. Bo co ty sobie wyobrażasz? Że mogę stracić kontrolę nad lotem czy coś w tym rodzaju? — i tu znowu zaczął się gniewać. — Czy ty rozumiesz, jak takim posądzeniem obrażasz moich konstruktorów i twojego brata, który na ich zlecenie wmontował mnie w twoją raketkę?

— Ależ...

— Żadne „ależ”! Zapewniam cię, że we wszystkich sprawach dotyczących się sprawności i bezpieczeństwa lotów jestem całkowicie wypróbowany i bezbłędny. A ty nie masz najmniejszego prawa do jakichkolwiek wątpliwości na ten temat!

Trzeba było się przyznać.

— Chyba masz racje. Głupio się wyrwałem, co? Ale musisz się zgodzić, że miałem dziś trudny dzień.

Od razu złagodniał.

— Co prawda, to prawda. Nie gniewaj się, stary. Bo ja na przykład nie wiem jeszcze, co to jest zmęczenie.

Uśmiechnąłem się do niego. Najwyraźniej się wzruszył.

— Jak myślisz? — spytał. — Czy będziemy mogli zostać przyjaciółmi?

— Jestem prawie pewien! — powiedział spokojnie i naprawdę szczerze.

Paweł II nie odpowiedział. Jakby na dłuższą chwilę zabrakło mu słów i śmiałości. Ale zrozumiałem go chyba dobrze — i sam też się co nieco wzruszyłem. Milczałem jednak.

— Powiedziałeś coś bardzo dla mnie ważnego — odezwał się w końcu. — Dziękuję.

Poklepałem go po obudowie jak stary kumpel starego kumpla.

— Nie ma o czym mówić, stary. Pożyjemy, dogadamy się. Ale na razie mam do ciebie kilka pytań.

— Słucham.

— Dlaczego dopiero dziś się odezwałeś?

— Tak mnie zaprogramowano. Ustalono, że muszę mieć pełny miesiąc czasu, żeby się z tobą oswoić, żeby cię poznać, zrozumieć i nauczyć się właściwego postępowania. A właśnie przed czternastoma minutami minął równy miesiąc od chwili, w której spotkaliśmy się po raz pierwszy. Tak, to było jasne. Ale co dalej? Trzeba pytać. Pytałem więc:

— Kto cię skonstruował?

Kiedy usłyszałem kilka najślawniejszych nazwisk, nogi się pode mną ugięły, oczywiście w sensie psychicznym.

— Nie gadaj... — szepnąłem.

— Nie gadam, tylko informuję.

— Rozumiem, tak, rozumiem. Ale właściwie jakim cudem przydzielono cię do mojej Iks-elki?

— Zasluga Lutka. Podsunął, gdzie trzeba, twoją kandydaturę. Po dwumiesięcznej obserwacji twego postępowania, działania i tak dalej... wybrano cię.

— Wybrano?!

— A co ty sobie myślisz? Kandydatur było ponad tysiąc. Ściśle: tysiąc osiemdziesiąt dwie.

— A dlaczego... akurat mnie... wybrano?

— Widocznie się im podobałeś.

— Tak sądzisz? — spytałem nadymając się rozkoszną pychą.

— Nie pękaj z dumy — odpowiedział suchym tonem. — Wcale nie szukano jakiegoś ideału czy geniusza. Chodziło o kogoś z zaletami powyżej przeciętnej i przede wszystkim z wadami

powyżej przeciętnej.

— Kto ci to powiedział? — roześmiałem się.

— Nikt. Po prostu wiem. Wystarczy?

— Wystarczy.

Nie chciałem okazać, że czuję się urażony tymi ostatnimi odpowiedziami. Zadałem więc kolejne pytanie z typu rzeczowo-obojętnych.

— Powiedz mi jeszcze, czy ty jesteś jednorazowym eksperymentem, czy prototypem do szerszej produkcji?

— Oczywiście że jestem prototypem. Jestem — i tu Paweł II zaśmiał się wesoło — ojcem wielkiego rodu.

— A jakie ma być wasze główne przeznaczenie?

— Dla pilotów Wielkich Wypraw.

— Przecież Wielkie Wyprawy odbywają się w wielkich zespołach.

— Zgoda. Przekonano się jednak, że każdy taki wielki zespół musi mieć kilku zwiadowców w kilku ultraszybkich jednoosobowych rakietach. A działanie takiego zwiadu może trwać tygodnie i miesiące. Dotychczas doświadczenia wykazują, że łączność ze statkiem macierzystym to, mimo wszystko, trochę mało. Że samotnym pilotom potrzebny jest ktoś bliski, ktoś na każde zawołanie, rozumujący, rozumiejący i mówiący po ludzku. Taki ktoś, jakim ja powinienem się okazać. Zapomniałem o urazie i złości. Dopiero teraz pojąłem, jakiej wagi doświadczeniem może stać się nasza współpraca — i co mają oba Pawły do zrobienia dla Ośrodka Wielkich Wypraw.

— Wiesz co, stary? — powiedziałem po chwili milczenia. — Nadymać się nie ma co. Ale faktem jest, że obaj mamy całkiem ludzkie prawo poczuć coś w rodzaju dumy. Ostatecznie to my obaj zaczynamy wielkie doświadczenie. Może nie?

— Co prawda, to prawda.

— Widzisz.

— Raczej rozumiem niż widzę.

— Nie czepiaj się drobiazgów — roześmiałem się. — Tym bardziej że wymyśliłem już nawet hasło dla naszej współpracy. Słuchasz?

— Słuchani.

— Komputer-Przyjaciel Człowieka — powiedziałem uroczystym tonem.

On zaś nie mniej uroczyście dodał:

— I odwrotnie.

Zaczęliśmy się mocno śmiać. Całkiem ładne hasło: „Komputer-Przyjaciel Człowieka, i odwrotnie”.

— Paweł — zacząłem.

— Co, Pawełku?

— Czy nasza współpraca ma być jawna?

— Za tydzień. Jeśli już po tygodniu okaże się, że nadają się do takiej współpracy, konstruktorzy podadzą rzecz do wiadomości publicznej.

W tym momencie uprzytomniłem sobie, co się stanie, kiedy za tydzień konstruktorzy Pawła II podadzą sprawę do publicznej wiadomości. Przecież dziennikarze, reporterzy, filmowcy itp. — zamęczą nas żywcem. Nie dadzą jeść, spać, pracować, uczyć się.

Poczułem, że błędę wewnątrz i zewnątrz.

— Słuchaj, stary! Co tobie?! — krzyknął Paweł II. Wyjaśniłem. Ale on tylko się zaśmiał.

— Spokojna głowa, Pawełku! Konstruktorzy podadzą rzecz do publicznej wiadomości, ale nie podadzą naszego adresu przed upływem roku. Wszystko więc zależy od nas, a właściwie od

ciebie. Potrafisz milczeć?

— Potrafię.

— Hm... na pewno?

— Żadne „hm” i żadne „na pewno”! Potrafię i koniec.

— Nie złość się.

— Wcale się nie złościę. Jestem tylko trochę zły.

I tu obaj roześmieliśmy się. A potem zamyśliliśmy się. O czym myślał Paweł II — nie wiem. Nie pytałem go o to. Ja natomiast poczułem na karku wielki ciężar. Ciężar odpowiedzialności.

Dlaczego mnie wybrano? Paweł II odpowiedział na to pytanie w sposób raczej niepoważny. Nie będę go jednak dalej rozpytywał, sam się w swoim czasie dowiem o przyczynach wyboru. Byle tylko wytrzymać i nie zdradzić się przed ludźmi z naszą tajemnicą.

I tu nagle jęknąłem na głos.

— Co się dzieje? — Paweł II wyraźnie się przestraszył. Zacząłem mu wyjaśniać, co się dzieje.

— Zapomnieliśmy o jednej sprawie. I ty, i ja.

— Ja niczego nie zapomniałem.

— Jesteś pewien?

— Jestem... to znaczy... — zaczął się jąkać.

— A klasówka? — spytałem groźnym tonem.

Tu Paweł II jęknął nie mniej boleśnie niż ja przed chwilą. Zrozumiał od razu. Przecież nie uniknę klasówki z wycieczki na Księżyc. Mam zaś obowiązek opowiedzenia wszystkiego. Dosłownie wszystkiego.

Wiedzieliśmy o tym obaj: i Paweł II, i Paweł I.

Cóż więc będzie z zachowaniem tajemnicy?

— W każdym razie... — zaczęliśmy obaj jednym głosem i natychmiast urwaliśmy.

— Mamy jeszcze kilka dni czasu — dokończył Paweł II.

Pokiwałem tylko głową i postanowiłem taktownie zmienić temat.

— Słuchaj no — zapytałem z trochę sztucznym ożywieniem. — Od czego to właściwie zaczęliśmy całą naszą rozmowę?

Dopiero wypowiedziawszy te słowa przypomniałem sobie, od czego, i poczułem, że czerwienieją mi uszy, potem czoło, potem policzki.

— Nie pamiętasz?... Wypowiedziałeś takie zdanie: „Ostrożnie, człowieku! Cała sprawa wygląda bardzo podejrzanie.” Koniec cytatu. Mnie zaś właśnie skończył się miesiąc milczenia, więc skorzystałem z okazji i oświadczyłem, że nie rozumiem, o co konkretnie ci chodzi.

Ucichł skromnie i po przyjacielsku. Po prostu zrozumiał, że dotknął sprawy drażliwej.

Równocześnie jednak — czułem najwyraźniej — czekał na moją szczerość. Przynajmniej na jej ułamek.

Chwila była ważna. Nawet bardzo. Przyszedł bowiem czas na pierwszą próbę zaufania. I ode mnie teraz zależało, czy będzie on tylko miłym towarzyszem podróży, czy też prawdziwym przyjacielem.

Zdecydowałem się.

— Powiem ci prawdę, Pawełku — rzekłem po prostu. — Chodziło mi o Iris. Rozumiesz?

— Nie całkiem — dziwił się. — Co podejrzanego widzisz w tej świetnej dziewczynie.

Zacząłem się śmiać, długo i wesoło. On milczał urażony. W końcu przeprosiłem go i wytłumaczyłem, że w niej samej nie widzę nic podejrzanego. Natomiast podejrzewam siebie o lekki udar uczuciowy spowodowany Iris Dalton.

— Podejrzewani, bracie — tłumaczyłem dalej — że trafiło mnie. Pierwszy raz w życiu. Ale za

to bez ostrzeżenia, szybko i dokładnie. Trochę za często przypominam sobie jej uśmiech, oczy, głos... łącznie z jędrzowatą odmianą tegoż głosu... żeby to nie wydawało mi się podejrzane. To znaczy: uczuciowo podejrzane. Teraz rozumiesz?

— Rozumiem — odpowiedział po chwili namysłu. — Ale w tych sprawach ja... ja niestety... wiem dość niewiele. I boję się, że nie bardzo potrafię ci pomóc. Natomiast...

— Co „natomiast”? — zdziwiłem się, bo nagle umilkł i musiałem poczekać dobrą chwilę, nim wyjaśnił, o co mu chodzi.

— Natomiast dziękuję ci za szczerość. Naprawdę dzie...

— Dość! — przerwałem mu — „Komputer-Przyjaciel Człowieka"! A ty co myślałeś? Że wystarczy nam hasło? Samo hasło bez praktyki? Jak wiadomo, praktyka określa świadomość. A po drugie: nie bądź taki skromny. I nie kryj się tak nachalnie, ty mikronie złamany!

— A to co znowu?! — podniósł głos. — Sam jesteś mikron złamany!

— Nie potrafisz nic lepszego wymyślić? — pytałem już ze śmiechem (bo on też zaczął się śmiać).

— Spróbuję!

I rzeczywiście zaczął próbować:

— Ty... próbówko ze zgniętymi protonami! Ty antymaterio zielona! Ty trójkącie z powyłamowanymi przyprostokątiami!

— Stop! — przerwałem. — Nie mówi się przyprostokątiami, tylko przyprostokątnymi.

— Wiem. Ale tak mi lepiej brzmi.

— No dobrze! — zgodziłem się. — Niech będzie. Ale czy masz coś jeszcze na składzie? Coś z biologii na przykład?

Od razu zareagował.

— Ty wypławku uduchowiony! Ty pantofelku pod włos wygolony! Ty wybrakowany enzymie! Wystarczy?

— Jak na początek — przyznałem — całkiem nieźle. Ale... ale od czego myśmy zaczęli?

— Od tego, że to ja nazwałem Iris świetną dziewczyną. A co? Nie mam racji?

— Masz. Tylko...

— Tylko co?

— Tylko cała sprawa polega nie na tym, co ja o niej myślę ani co ty o niej mówisz.

— Rozumiem — podjął. — Chciałbyś wiedzieć, co ona o tobie mówi i myśli. Tak?

Skinałem tylko głową — i obaj zamilkliśmy.

Problem był na razie nie do rozwiązania. Westchnąłem. On też westchnął, tylko ciszej i ze współczuciem.

Przymknąłem oczy, żeby znów ją zobaczyć, ale tym razem nie udało się. Była bardzo daleko i wiedziałem tylko tyle, że jest. I że naprawdę mnie trafiło. Mocno a dokładnie, co było stanem trochę męczącym, trochę bolesnym, lecz w istocie bardzo wartym tego, by go przeżywać.

Uśmiechnąłem się do niej, dalekiej, lecz bliskiej, i westchnąłem ponownie. Tym razem już nie tak smutno.

Paweł II chrząknął. Raz, potem drugi. Otwarłem oczy.

— O co chodzi! Pawełku?

— Trochę się zgapiłem — tłumaczył — i zapomniałem spytać, czy chciałbyś jeszcze raz obejrzeć film Eryka. Niestety... Zaczęło się już dawno. Teraz jesteście przy skałach. Włączyć ekran?

— Nie. Chyba nie. Ale...

— Co?

— Sprawdź, czy łatwo uzyskamy połączenie z Działem Tras Trudnych.

Nie czekałem sekundy. Odpowiedział natychmiast, że można będzie to zrobić w minutę, najwyżej dwie.

— Dobra — powiedziałem. — Zaraz się z nimi łączę.

— A ja się wyłączam — mruknął.

Na połączenie czekałem niespełna minutę. Poprosiłem więc o rozmowę z Zofiją i od razu usłyszałem jej cudowny głos:

— Paweł?

— Tak, to ja!

— Oglądamy właśnie...

— Wiem — skłamałem — bo ja też oglądam. Chciałem tylko prosić albo ciebie, albo Eryka o informację, jaką ocenę dostanie jego film, to znaczy on sam. Reszta mnie nie interesuje... z Pawłem Kostalem na czele.

— Dobrze, mój drogi. Do usłyszenia.

Czułem, że mówiąc te słowa uśmiechnęła się bardzo pięknie. Mimo to w jej głosie słyszało się wielkie napięcie. Ona też czekała na ocenę. Był to przecież debiut reżyserski Eryka na głównych programach.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że Erykowi natychmiast po studiach (i na podstawie ich wyników) zaproponowano bardzo dobre, znakomite nawet miejsce i warunki pracy. On jednak ich nie przyjął. Zgłosił się natomiast do Biur Księżycowej Turystyki z propozycją opracowywania filmów reklamowych i dokumentalnych Działu Tras Trudnych. Wtedy jeszcze nikt nie pojmował tej zagadki, dlaczego świetnie zapowiadający się młody reżyser robi takie głupstwo i zagrzebuje się w prowincjonalnej, źle wyposażonej, malutkiej wytwórni. On jednak wiedział, co robi. Jeszcze w czasie studiów szukając jakiegoś księżycowego tematu spotkał Zofiję, dowiedział się, kim jest i gdzie pracuje ta niezwykła dziewczyna. I w tym właśnie zdarzeniu kryła się cała tajemnica owego „głupstwa”. Miał zaś taki charakter, że nie wystraszyła go jej niezwykła uroda. Postanowił przekonać się, co się za nią kryje. Długo to nie trwało — po prostu zakochał się, nie wiedząc i nie wierząc, że z wzajemnością. Ten stan rzeczy mocno go onieśmielał. Dlatego tak mu była potrzebna pomoc profesora. Ściśle, jego bezpośrednio i mądre pytanie: „A kiedy wasz ślub?”

Ślub będzie za tydzień. Ale co dalej? Jeśli młodego reżysera dziś nie zauważą, będzie nadal pracował pod zwierzchnictwem swojej cudownej żony.

Sprawa całkiem zwykła. Podobne sytuacje spotyka się na każdym kroku, w każdym zawodzie i każdej dziedzinie życia. Osobiście jednak wolałbym, żeby z okazji naszych przygód na trasie „C” dostrzeżono jego temperament i talent reżyserski. Tym bardziej że zastępca Starego Morsa, jeśli tylko film Eryka zostanie nie dostrzeżony lub, co gorsza, otrzyma złą ocenę, na pewno zechce się go czepiać za nadanie mu innej, niż on żądał, redakcji. Przypomniałem sobie jego drętwe oczy i rybio-uroczyisty uśmiezek. Wyglądał na takiego, który potrafi dokuczać nie jednemu i nie dwojgu.

Nagle zrobiło mi się głupio: zapomniałem o Pawle II. Natychmiast wyłączyłem fonię.

— Przepraszam cię, stary, za to milczenie — powiedziałem — ale...

— Przyjaźń polega także i na tym, że można wspólnie milczeć — odparł. — Chciałem cię tylko prosić o wyjaśnienie: co to ma być za ocena Erykowego filmu? Nie zakodowano mi tej informacji, a ja przecież nabrałem mnóstwo sympatii dla tych dwojga i interesują mnie ich sprawy.

Zdziwiłem się, że zapomniano o tej informacji. Była to przecież stara bardzo tradycja i

powszechny obyczaj. Zacząłem więc tłumaczyć:

— Sprawa jest prosta. Każda teleścianka i każdy teleekran mają tak zwany licznik oceny. I po każdym programie, który ludzi zainteresował (w dobrym lub złym sensie), stacje nadawcze otrzymują w ciągu kilku minut wystawioną przez widzów notę. Punktuje się od jednego do dziewięciu.

— Im więcej punktów, tym wyższa ocena? — Tak.

— A ile ty byś dał?

— Nie jestem obiektywny.

— Ja dałbym dziewiątkę.

— No, no, Pawełku II. To jest baaardzo dużo.

— Ale mnie się film baaardzo podobał, Pawełku I,

— Pamiętaj jednak — zacząłem go pouczać — że są różne gusta. I zdarza się, że ten sam program jedni punktuja bardzo nisko, inni bardzo wysoko. To też może świadczyć o talencie autora, ale wtedy ocena zbiorcza wypada na piątkę lub szóstkę. Nie za wysoko.

— A ilu widzów przypada na główne programy?

— Od pięciuset milionów do dwóch miliardów.

— Nieźle.

— I owszem. Całkiem nieźle — przyznałem.

Paweł II zamilkł, a mnie przez moment ogarnęła taka senność, że nawet ziewnąć mi się nie chciało. Nie warto było jednak zasypiać. Za kilka minut odezwie się Zofija albo Eryk. Żeby więc się rozbudzić, spytałem Pawła II, co słyhać. On jednak jakby nie słysząc mego głosu zachichotał wesolutko i nie mruknął nawet słówka. Zdziwiło mnie to, prawie zaniepokoiło.

— Hej, stary! — zawołałem. — Co z tobą?

On zaś roześmiał się pełną (o ile można tak powiedzieć) piersią.

— Paradne!

— Co „paradne”? — wystraszyłem się, że naprawdę coś złego dzieje się w mikrostrukturze jego ośrodka psychicznego. Stuknąłem w obudowę Pawła II, i to nawet chyba trochę za mocno. Od razu przestał się śmiać.

— Co to za nowe zwyczaje? — spytał wyraźnie oburzonym głosem. — Za co mnie stukasz?

— Nie gniewaj się — przeprosiłem. — Wystraszyłem się, że z tobą coś nie w porządku...

— W porządku, w porządku.

— To z czego się tak głupkowato śmiałeś?

— Z ciebie. Ten twój wyskok z rynny skalnej to prześliczna scenka.

— O czym ty gadasz?!

— O czym? O filmie Eryka. Oglądam go sobie. Chyba mi wolno, co?

— Jak go oglądasz?

— Zwyczajnie, od środka. Ale... — przypomniał sobie. — O co mnie pytałeś?

— Nic ważnego. Tak ogólnie: co słyhać? I gdzie jesteśmy?

Ale Paweł II zamilkł.

Rzecz była jasna: obaj usłyszeliśmy męski wesoły głos, który wywoływał nasze imię. W związku z tym faktem Paweł II sensownie zamilkł, ja natomiast uległem kompletnemu skołowaniu.

— Paweł! — wołał tamten głos. — Paweł Kostal, na XL-218 łamane przez PL, łamane przez...

Włączyłem fonię.

— Jestem! — zawołałem. — Eryk?

— Tak! Eryk!

— Wraz z narzeczoną — dodał kobiecy głos, który rozpoznałbym w najdalszej metagalaktyce.

— Co się z tobą dzieje? Czemu milczałeś? — pytał Eryk.
— To przez... mniejsza o to.
— Oglądałeś film?
— Oczywiście — skłamałem niezbyt przekonująco, ale tamci byli chyba zbyt podnieceni, żeby zastanawiać się nad wiarygodnością moich oświadczeń.
— A więc? — pytał Eryk. — Jaką dałbyś ocenę?
— ósemkę z plusem — powiedziałem niepewnie, bo choć (podobnie jak Paweł II) dałbym mu pełną dziewiątkę, wołałem być ostrożny. Bo co będzie, kiedy usłyszę, że z całej naszej przygody wyszła marna trójka czy czwórka?
Ale na szczęście oboje roześmieli się pełnym głosem.
— Źle, Paweł! — wołał Eryk. — Niedostatecznie! Nie trafiłeś! Jest pełna dziewiątka! Rozumiesz, człowieku? Pełna dziewiątka i od razu siedemnaście propozycji i siedemnaście zaproszeń do współpracy z najlepszymi wytwórniami Ziemi, Księżycy i nawet Marsa. Możesz mi pogratulować.
Pogratulowałem z całego serca. A zaraz potem, pomyślawszy o owych siedemnastu zaproszeniach, spytałem trochę nieśmiało:
— Postanowiłeś już coś?
— Nie.
— Dlaczego?
— Bo — głos Eryka brzmiał rzeczowo i poważnie — bo wpiery muszę naradzić się z żoną.
— Przecież masz narzeczoną.
Zofija zaśmiała się cichutko i prześlicznie. Eryk jednak nadal zachował powagę.
— Właśnie — powiedział. — W tej chwili interesuje mnie jedna tylko sprawa. Dlatego najpierw ożenię się z moją narzeczoną i dopiero potem będę się naradzał z moją żoną. Masz coś do powiedzenia w tej sprawie?
— Mam — śmiałem się. — To mianowicie, że całuję was gorąco.
— Całuję cię, Paweł — powiedziała Zofija.
— Dość! — zażądał Eryk. — Już po raz drugi w tym dniu całujesz tego osobnika. Zakładam sprzeciw.
— A ja jeszcze raz całuję was oboje! — krzyknąłem. — I do zobaczenia za tydzień!
— Do zobaczenia... do zobaczenia...
Ich szczęśliwe głosy umilkły. Wyłączyłem swoją fonię i pokiwałem głową w zamyśleniu.
— Nasz Eryczek — rzekłem — sam pcha się pod pantofel żony.
— Ty też tak w swoim czasie zrobisz — zaśmiał się Paweł II. — Prosta sprawa: dzielenie się odpowiedzialnością nie zawsze jest mądre, ale zawsze jest wygodne.
— Nie przeczę. Ale w wypadku Eryka jest to nie tylko wygodne, lecz przede wszystkim mądre. Tak! Dadzą sobie radę ci oboje. A chciałbym — dodałem z satysfakcją — zobaczyć teraz minę zastępcy Starego Morsa.
— Jakiego znowu starego morsa? — zdumiał się Paweł II. — Przecież na Księżycu nie ma morsów.
— Och, nie nudź! Tak sobie nazwałem generalnego dyrektora.
— Rozumiem.
— Zaś jeśli chodzi o „nienudzenie” — dodał lodowatym głosem — mogę się w ogóle nie odzywać.
— Pawle! — szepnąłem z cichą rozpaczą. — Obrażasz się już całkiem po ludzku. To spróbuj teraz nie mniej po ludzku wczuć się w moją, a raczej w naszą sytuację. Przecież obaj nie wiemy,

jak uniknąć głupiego rozgłosu wokół naszej współpracy, co robić i jak się bronić przed działaczami i kibicami rajdów...

— Co do mnie — przemówił współczującym już tonem — to mam wyrobiony pogląd na tę sprawę. Jeśli chodzi o jakieś głupie sensacje wokół naszej przyjaźni i współpracy, nie sędzę, żebyśmy trafiali na samych łowców sensacji. Takim poślesz na wywiad choćby waszego Domka. On jest, jak to sam zauważyłeś, bardzo ładnie zepsuty i nagada im wiele różnych śmieszności. A z mądrymi ludźmi można porozmawiać, jeśli tylko konstruktorzy się zgodzą. Jestem zaś pewien, że się zgodzą. Nauka nie może być tajemnicą, tak jak nie może być głupią sensacją. Jeśli zaś chodzi o twoje ewentualne kłopoty z rajdami, masz kogoś, kto w każdej sytuacji cię obroni... jeśli tylko zajdzie potrzeba obrony.

— Kogo? Przecież nie będę prosił o pomoc ani mamusi, ani tatusia. Cała buda, więcej, całe miasto nie pozbierałoby się od śmiechu.

— A Melassa ci wystarczy?

Zamilkłem na dłuższą chwilę. Potem zaś rzekłem uroczyście i z głębokim przekonaniem:

— Pawle! Jesteś wielkim człowiekiem. Powiadam: bardzo mądrym, wielkim człowiekiem.

— Nie przesadzaj, staruszk.

— Nie przesadzam, staruszk. Za pomysł z Melassą należy ci się pełne najgłębszego szacunku uznanie. Tylko czy on zechce mnie bronić?

— Podejrzewam, że on nie tylko będzie cię bronił przed małowartościowymi rajdami, ale będzie też cię namawiał do udziału w comiesięcznych sprawdzianach i lotach dla kandydatów do Szkoły Głównej Pilotażu Wielkich Wypraw.

— Nie wierzę!

— Twoja sprawa. Pozwól jednak, że ja pozostanę przy swoim zdaniu.

Nie odpowiedziałem mu na te słowa, on zaś taktownie zamilkł. Sprawa, o którą zahaczył przed chwilą Paweł II, przekraczała jak na razie ramy mojej wyobraźni i umysłowej wydolności.

Gdyby mi dziś kazano cokolwiek w tej materii rozstrzygnąć, zdołałbym tylko rozłożyć ręce i głupio milczeć. Tym bardziej że dotychczas istniała w naszej rodzinie cicha umowa na temat moich dalszych studiów. Pracowałem nad tym, i to dość ostro, by uzyskać miejsce wśród kandydatów na studia w Instytucie Matematyki Teoretycznej (ze specjalizacją w dziedzinie geometrii pięciowymiarowej). Oczywiście jak każdy młody człowiek marzyłem też czasami o kandydowaniu do którejś ze szkół głównych Ośrodka Wielkich Wypraw.

Istniał jednak pewien nigdy nie dopowiedziany do końca problem. Nasza matka ani jednym słowem nie sprzeciwiła się, kiedy Lutek uzyskał miejsce w Instytucie Konstruktorów przy Ośrodku Wielkich Wypraw. Natomiast w moim przypadku matka (może nawet nieświadomie) pierwsza zaczęła popierać i rozwijać moje zainteresowania matematyczne. Dlaczego? Sprawa właściwie była zrozumiała. Nie jest łatwo być matką pracowników Ośrodka Wielkich Wypraw. Każdy z nich może stać się uczestnikiem kolejnej wyprawy w galaktykę. A takie wyprawy trwają lata, czasem dziesiątki lat. Bywało zaś i tak, że przepadały na zawsze.

Jeśli więc i ja poszedłbym śladem Lutka, matka chyba znów nie powiedziała by ani słowa.

Uśmiechałaby się jednak rzadziej, a cierpiała częściej.

Zamyśliłem się niezbyt wesoło. Paweł II też się chyba nad czymś zadumał. Może nawet urządził sobie małą drzemkę. W tym jednak momencie, kiedy zacząłem go o coś podobnego podejrzewać, odezwał się trzeźwym głosem:

— Paweł. Woła Centrala Stodwudziestki. Trzeba przyjaść.

Trudno. Miał rację. Trzeba było przyjaść. Zresztą damski głosik, który mnie wzywał, był bardzo miły — w sam raz dla drobnej blondyneczki o błękitnych oczkach (choć niewykluczone, że

mogła to być też brunetka wzrostu metr dziewięćdziesiąt).

Westchnąłem, włączyłem fonię, potwierdziłem swoją tożsamość.

— Bardzo się cieszę z połączenia z tobą, radiowego oczywiście — rzekł miły głosik.

— A jakie mogłoby być inne? — spytałem całkowicie bezmyślnie.

Wtedy miły głosik wpięrowo trochę głupawo zachichotał, ale natychmiast potem stał się lodowaty i krańcowo oficjalny. Zrozumiałem, że rzekło mi się coś mocno niemądrego. Ale przeproszenie za gafę czy nietakt bywa czasami jeszcze głupsze i gorsze od samej gafy lub nietaktu. Głosik nadal ział mrozem niczym lodowa czapa na Marsie:

— Przekazuję radiogramy z Ziemi, łącznie siedem tekstów. Żegnam.

— Do usłyszenia — powiedziałem błagalnym już nawet tonem. Głosik jednak raz jeszcze dobił mnie swoim „żegnam” i wyłączył się z trzaskiem.

— Słyszałeś coś podobnego? — spytałem Pawła II.

— Pierwszy raz.

— No właśnie.

— Nie jęcz, bo sam się głupio odezwałeś. A przede wszystkim bierz radiogramy, już ci je wydrukowałem. Przepraszam, że znam teksty, ale inaczej nie mógłbym ci ich przedrukować.

— Nie mam przed tobą tajemnic, Pawełku — powiedziałem z

dziewięćdziesięciodziecioprocentową szczerością, on zaś mruknął coś, czego nie dosłyszałem, i wysunął z zespołu łączności plik radiogramowych kart.

Pierwsze dwa teksty były krótkie, ale od razu zrobiło mi się cieplej koło serca. Oto pierwszy z nich — od matki:

Zawsze twierdziłam, że jesteś całkiem dorzecznym chłopcem. Jeśli będziesz miał ochotę, możemy przy okazji wybrać się we dwójkę na jakiś ładny spacer w Tatry, Dolomity albo nawet w Alpy. Oczywiście bez przymusu. Czeka na ciebie w domu twoja stęskniona rodzina. Domek oraz stos radiogramów. Otrzymałam serdeczne pozdrowienia od twojej rajdowej koleżanki, Iris Dalton. Co to ma znaczyć, młody człowieku? Całuję cię — Twoja M.

A oto drugi:

Kiedy rozpoczynasz starania o przyjęcie do którejś ze szkół aktorskich? Osobiście odradzam, jako że lewy profil masz gorszy od prawego, a prawy gorszy, niż myślałem. Mimo to muszę przyznać, że zaskoczyłeś mnie swoimi rajdowymi i aktorskimi talentami. Szczególnie tym pierwszym. Dogadałeś się już pewnie z Pawłem II. Pozdrów go ode mnie. Poza tym zapowiedział się do nas na jutro sam Johannes Melassa i przy okazji wypowiedział kilka słów na twój temat. Okazuje się, że mam brata, którego nie muszę się wstydić, a którym kiedyś może się nawet będę chwalił. Jestem dziś wieczór w domu, uścisnę więc twoją braterską dłoń nie bez chwilowego szacunku. Domek ułożył na twoją cześć dwa wiersze. Twierdzi też, że kolacja będzie prawdziwym poematem. Ogólnie biorąc cieszę się z twoich dzisiejszych sukcesów — i to nawet bardzo. Twój Lutek.

— No i co ty na to? — spytał Paweł II widząc uśmiech na mojej twarzy.

— Jestem im wdzięczny, że się odezwali.

— Pogadamy jeszcze na ten temat. Na razie czytaj dalej.

Zajrzałem więc do następnych radiogramów. Było co czytać, bo każdy z nich liczył po trzy lub cztery stroniczki tekstu, podzielonego na paragrafy i ich uzupełnienia. Ja zaś czytając te teksty nie wiedziałem, czy złościć się, czy nadać pychę, czy też po prostu uśmieć się z tego wszystkiego.

Wybrałem w końcu tę ostatnią metodę — zacząłem się śmiać, śmiać i śmiać, zaś Paweł II dzielnie mi w tym zajęciu towarzyszył.

A było z czego się śmiać! Oto pięć pozostałych tekstów adresowano do mnie niczym do

wybitnego filmowo-wizyjnego aktora, a w każdym razie jak do niezwykle utalentowanego kandydata na podobną karierę.

Dwa z nich ujawniały jeszcze jaki taki rozsądek nadawców — były to mianowicie propozycje dwu znanych szkół aktorskich, jednej europejskiej i jednej południowoamerykańskiej.

Proponowano mi w obu wypadkach przejście jednorocznego, przyspieszonego kursu aktorskiego, po którym otrzymałbym zapewnione w umowach obiecujące miejsca pracy i nic mniej obiecujące role.

Trzy pozostałe teksty reprezentowały swoisty i ośmieszający ich nadawców rodzaj humoru. Oto miałem w rękach gotowe do podpisu trzy teksty umów aktorskich. Wystarczyłoby nabazgrać swoje imię i nazwisko na którejkolwiek z nich i od jutra mógłbym przystąpić do pracy i rozpocząć tak zwaną karierę.

Przestałem się w końcu śmiać, otarłem wesole łzy z oczu.

— No i co ty na to? — spytałem Pawła II.

— Masz przed sobą otwartą drogę do pięknej kariery — odpowiedział niby serio.

— Czy ty mówisz poważnie? — obruszyłem się.

— Masz coś przeciw aktorstwu albo sztuce w ogóle?

— Nic podobnego — powiedziałem z rzetelnym przekonaniem. — Sam powinienes się być zorientować, że jestem wrażliwy na sztukę, szczególnie na poezję, teatr i muzykę.

— Więc czemu się śmiałeś? W filmie Eryka ujawniłeś się jako wybitny talent komiczny. Sam jestem tego zdania.

I tu Paweł II parsknął cichutkim, ale dobrze słyszalnym śmiechkiem. Nie ukrywam: zezłościł mnie. Nie chciałem jednak pokazać tego po sobie, on jednak od razu to wyczuł i natychmiast spoważniał.

— Nie masz powodów do złości — tłumaczył. — W twojej własnej budzie znalazłoby się kilkanaście osób, które po takich propozycjach, jakie ty otrzymałeś, popadłyby z radości w dłuższą bezsenność.

— Sam wiem, że byłem zabawną postacią w filmie Eryka, ale też powinienes wiedzieć, że to wyłącznie zasługa Eryka i jego operatorów. Brak mi do aktorstwa nie tylko talentu czy intuicji, ale najzwyczajszego zamiłowania. Zawód aktora jest wyjątkowo trudny i ciężki. Słyszałem na ten temat nieco od naszej kuzynki Heleny i jej kolegów. A poza tym dość będę miał kłopotu z problemem, co wybrać, czy Instytut Matematyki, czy Pilotaż Wielkich Wypraw, żeby jeszcze zastanawiać się nad czymkolwiek innym.

— W Szkole Głównej Pilotażu — odezwał się niby obojętnie Paweł II — są trzy wydziały matematyczne, w tym wydział geometrii kosmicznej.

— Prawda... — szepnąłem.

Tak. Była to prawda niemal olśniewająca. Dlaczego dotychczas o niej nie pomyślałem?

Zagadka właściwie nietrudna do rozwiązania. Po prostu do dnia dzisiejszego ani ja, ani inni nie dostrześliśmy moich możliwości w pięknej, lecz trudnej dziedzinie pilotażu. Choć nieraz marzyłem, by dostać się do Ośrodka Wielkich Wypraw, nigdy nie byłbym zdolny zaufać swoim marzeniom. I w tej chwili także od razu opadły mnie wątpliwości. Wprawdzie udało mi się wystąpić w roli pilota (i to całkiem nieźle), ale daleko mi jeszcze do Ośrodka Wielkich Wypraw. Powiedziałem o tym wszystkim Pawłowi II. Słuchał uważnie do końca. A gdy skończyłem, odezwał się rzeczowo:

— Czy ty sądzisz, że sam wielki Johannes Melassa zapowiedział się na jutro do was tylko po to, żeby przedstawić się twojej matce i obejrzeć Domka?

— No... nie sądzę.

— Bardzo ładnie z twojej strony. Bo ja ze swojej strony sędzę, że mowa jutro będzie o zaprzyjaźnionym ze mną młodym osobniku, o którym nie muszę ci chyba dużo opowiadać. No, i chyba o Wielkich Wyprawach.

— A co — spytałem — z matką?

— Powinieneś porozmawiać z nią na ten temat jeszcze przed wizytą Melassy.

— Ale... czy potrafię?

— Powinieneś.

Znowu zapadło milczenie. Nie zachwycała mnie perspektywa rozmowy z mamą na ów temat.

Byłem pewien, że jak w wypadku Lutka uśmiechnie się niezbyt wesoło, chwilę pomilczy, a potem sama będzie chwalić synowskie marzenia i synowski wybór. Jeśli zaś sam Melassa zacznie popierać moje nadzieje na studia i pracę w Ośrodkach Wielkich Wypraw, z największą pewnością będę mógł liczyć na jej pomoc w każdej minucie życia i w każdej chwili wahań lub wątpliwości. Bardzo niewiele kobiet, matek czy żon, mogło się z nią równać.

Pomyślałem o tym ze smutną czułością.

— Pawełku — przerwał mi moje rozmyślenia Pawełek II. — Skąd i po co ta melancholia?

Lepiej zająć się sprawą dość tajemniczą, o której wspomina radiogram od miłej i mądrej twojej matki.

— O czym mówisz? — spytałem niezbyt chętnie. — Bo ja...

I tu sam sobie przerwałem.

— Aha! — powiedziałem. — Wiem, o co chodzi. Cytuję: „Otrzymałam serdeczne pozdrowienia od twojej rajdowej koleżanki, Iris Dalton. Co to ma znaczyć, młody człowieku?” Koniec cytatu.

Paweł II od razu poweselał.

— A więc — spytał. — Co to ma znaczyć, młody człowieku?

— A skąd ja mogę wiedzieć? — Zastanów się!

— A ty mi nie pomożesz, człowieku?!

— Pomyślmy — rzekł Paweł II po chwili zastanowienia — co to może znaczyć, że bardzo miła młoda osoba, Iris Dalton, przesyła twojej matce serdeczne pozdrowienia? W najgorszym wypadku może to znaczyć, że zaczyna przygotowywać jakiś plan odegrania się za historię z Melassą.

— Hm — powiedziałem bez przekonania.

— Masz rację — zgodził się Paweł II — wedle pobieżnego rachunku prawdopodobieństwa na tę możliwość przypada zaledwie niepełne dziesięć procent prawdopodobieństwa.

— Co dalej?

— Około czterdziestu procent prawdopodobieństwa przypada na tę możliwość, że dobrze wychowana rajdowa koleżanka przekazuje twojej matce serdeczne pozdrowienia z okazji przeróżnych dzisiejszych sukcesów jej syna.

— To byłaby najgorsza, moim zdaniem, ewentualność — rzekłem z niesmakiem — A co z pozostałymi pięćdziesięciu procentami?

— W pozostałych pięćdziesięciu procentach — oświadczył Paweł II — kryje się ta miła możliwość, że nie tylko ciebie „trafiło” (jak to nazywasz), lecz również niejaką Iris Dalton. A ponieważ jest ona osobą o niezależnym charakterze, wysłała radiogram nie wprost do ciebie (żeby ci się czasem nie przewróciło w głowie), tylko do twojej matki. Należałoby jednak zrozumieć jej pozdrowienia jako wyraźny sygnał: „Pamiętam o tobie, odezwij się do mnie”.

— Sądysz, że jest to możliwe? — spytałem drżącym nieco głosem.

— Jeszcze jak!

— Więc jak mam postąpić?

— W każdym wypadku masz na razie tylko jeden sposób postępowania: natychmiast po powrocie do domu przesłać jak najserdeczniejsze pozdrowienia zarówno dla jej rodziców, jak dla niej samej.

— Razem czy osobno?

— Na razie wystarczy razem.

— Pawełku! — powtórzyłem uroczyście. — Ty jesteś naprawdę bardzo mądry. Ale... ale... czy... czy rzeczywiście sądzisz, że Iris mogłaby... te pięćdziesiąt procent...

— To nie jest mój sąd — przerwał mi — tylko wynik rachunku prawdopodobieństwa, który przeprowadziłem w powyższej sprawie. Jeśli natomiast chodzi o moją osobistą opinię, to dałbym ci jeszcze większe szanse. Patrzyłem na nią i obserwowałem jej zachowanie za twoim pośrednictwem, ale o wiele bezstronniej niż ty. A zresztą... sam będziesz mógł wkrótce rozwikłać tę zagadkę i całość sprawy. Jutro możesz z nią porozmawiać, a pojutrze czy za dwa dni możecie się zobaczyć.

— Tak — powiedziałem w zamyśleniu.

— Tak! — krzyknąłem po chwili w wielkiej radości i z wielką nadzieją. A tę radość i nadzieję zawdzięczałem Pawłowi II. Chciałem go uściskać, nie wiedziałem jednak, jak to zrobić. W każdym razie zerwałem się gwałtownie z fotela, chcąc wykonać kilka radosnych podskoków. Zamiast jednak rozpocząć ów taniec radości (który dość często wykonywałem w domu, a który Lutek nazywał „małpim weselem”), poczułem nagły ucisk na skroniach, na czole krople zimnego potu, a przed oczami ujrzałem coś w rodzaju płatków czarnego śniegu.

— Paweł! — krzyknął Paweł II. — Proszę usiąść i natychmiast poddać się badaniu.

Słyszałem jego głos trochę z daleka, ale usłyszałem natychmiast i usiadłem. Paweł II sam włączył MLP (czyli mechanicznego lekarza pokładowego). Cztery czujniki tego aparatu zbliżyły się do wybranych miejsc: dwa przylgły do skroni, jeden do serca, jeden zaś pobrał z ręki próbkę krwi. Po kilkunastu sekundach czujniki cofnęły się z powrotem do wnętrza aparatury. Paweł II osobiście przejął funkcję „tłumacza” pomiędzy MLP a mną.

— Diagnoza — mówił — jest prosta. Przemęczenie wszystkich układów organizmu, wywołane przez nadmierną ilość psychofizycznych bodźców, którym pacjent uległ w ciągu kilkunastu ostatnich godzin. Leczenie: pełny odpoczynek przez całą następną dobę. Ze względu na obecne okoliczności można ostatecznie zastosować środek pobudzający typu PH. A najlepiej: po prostu spać.

— Po prostu spać? — spytałem.

— Tak. Właśnie, mój drogi: spać.

Przymknąłem oczy; tak więc skończył się ów długi dzień. Wracaliśmy. Postanowiłem, że wyląduję tuż przy naszym domku, w ogrodzie. Ciepło zrobiło mi się koło serca na myśl, że od razu padnę w ramiona mamy i Lutka, którzy na pewno będą się ze mnie co nieco nabijać. W taki sposób, który bardzo się lubi, a który czasem mówi więcej niż najpiękniejsze pochwały. Ułożyłem sobie fotel do pozycji poziomej. Nie zamierzałem usnąć. Miałem tylko ochotę wyciągnąć się jak najwygodniej i już w spokoju i miłym rozleniwieniu przebyć resztę drogi. Paweł II nadal rozmyślał nad problemem przewidywania zdarzeń — nie chciałem więc przeszkadzać mu rozmową. Ja byłem trochę zmęczony, ale w gruncie rzeczy wdzięczny dzisiejszym swoim losom i niemal że szczęśliwy.

Wszystko, co w ciągu dnia wydawało się trudne, złośliwe, zaskakujące i męczące — nabrało teraz barw różowych, zmieniło swą jakość.

Chyba od dzisiaj nie Lutka będą mi stawiać za przykład, tylko mnie Lutkowi. I czy w ogóle był sens się martwić tym, czy Iris czuje do mnie sympatię lub nawet coś więcej niż sympatię?

Oczywiście, że czuje, na pewno! A co dopiero będzie, jak opowiem o wszystkich tych historiach w księżycowej klasówce, tak bardzo odmiennej od innych i tak bardzo własnej? Właściwie — myślałem coraz głupiej i głupiej — w szkole powinni przywitać mnie kwiatami, a kierownik lub profesor Górka wygłosić dłuższe i poważne przemówienie na moją cześć.

Usprawiedliwia mnie w tych rozmyślaniach tylko jedno: że plątały się one i plątały na zamglonym pograniczu jawy i snu. Gdy tylko ocknąłem się, od razu określiłem rzecz po imieniu: — Ty bałwanie! W głowie ci się przewraca!

I zaraz potem zrobiło mi się zimno i gorąco. Od dłuższej chwili fonia była włączona, mój automatyczny pilot wyprzedzał właśnie jakąś niezbyt chybłą raketkę, a ja nie miałem nic lepszego do roboty, jak tylko w tym momencie zawołać „Ty bałwanie! W głowie ci się przewraca!”

Przez chwilę miałem nadzieję, że nie dosłyszał, że nie wziął tego do siebie. Paweł II dusił się ze śmiechu, a obcy, dość skrzypiący głos, odezwał się bardzo niezyczliwym tonem (i trudno mu się w końcu dziwić):

— Przepraszam — rzekł głos. — Nie zrozumiałem. Czy coś jest nie w porządku?

— Ależ tak, jak najbardziej — plotłem w popłochu. — Ja tylko tak... do siebie... do swoich myśli... wszystko jest w porządku.

— Co?! — rozdarł się tamten pawim wrzaskiem. — To ma być w porządku, że ktoś wymyśla mi od bałwanów i twierdzi, że na dodatek przewraca mi się w głowie?

— Właśnie chciałem przeprosić... i...

— Co mi po przeprosinach? To było do mnie.

— Nic podobnego — podniosłem głos. — Mówiłem do siebie.

— A po co „do siebie”? — pytał tamten.

— Mam czasami taki zwyczaj.

— Dziwny zwyczaj.

— I owszem. Dziwny. I proszę przyjąć do wiadomości, że mówiłem tylko do siebie!

— Jak „do siebie”, kiedy do mnie?

Zacząłem tracić już cierpliwość. A tamten zamiast się uciszyć, znów podjął swoje:

— A jak się tak mówi do siebie, to trzeba prędko udać się do lekarza.

— Właśnie lecę — uśmiechnąłem się z zimną furią.

— Do lekarza?

— Po co do lekarza? — dziwiłem się niewinnie. — Do jakiego lekarza? Ja nic o żadnym lekarzu nie mówiłem.

— Ale ja mówiłem — wrzasnął tamten obrzydliwy głos.

— No więc co z tego? — spytałem bardzo uprzejmie.

— Czy mogę wiedzieć, z kim mówię? — wrzasnął pawi tenor.

Z nienaganną uprzejmością podałem mu wszelkie potrzebne dane. Łącznie z datą urodzenia i numerem butów. Spytałem też, do czego mu to wszystko potrzebne.

— Zamierzam złożyć zażalenie — oświadczył.

— Za co? — krzyknąłem zdumiony. — I do kogo?

— To się jeszcze okaże. Jak się komuś przewraca w głowie, nie powinien mieć karty pilota.

— A panu — spytałem — nigdy się w życiu nic nie przewróciło?

— Raz. Filiżanka herbaty. Poparzyłem sobie lewe kolano.

— Szkoda, że tylko jedno — rzekłem słodkim głosem.

— Jak to mam rozumieć? — krzyknął.

— Jako świadomą nieuprzejmość — wyjaśniłem z ujmującą grzecznością — oraz zamierzoną złośliwość. Daję w ten sposób dodatkowy materiał do wniesienia skargi na moje zachowanie. Nie dziękuję pan?

Tym razem miły ów jegomość dał się zakląć w capa i rzeczywiście podziękował.

— I owszem — powiedział. — Dziękuję.

— Nie ma za co! — krzyknął — I do widzenia! Dałem znów ostre przyspieszenie.

Wyłączyłem głos. On na szczęście miał dość słaby nadajnik, tak że jego krzyki szybko przemieniły się w niewyraźne szepty i szmery.

— No i co ty na to? — spytałem Pawła II.

— Nie wiem nawet, jakby takiego nazwać?

— Mękoła — rzekłem stanowczo — krótko a treściwie: Mękoła.

— Pierwszy raz — dziwił się Paweł II — spotkałem się z podobnym typem.

— Ja też. Głupi i nudny. Nie ma o czym mówić — oświadczyłem z przekonaniem. — Daleko do domu?

— Do wejścia w atmosferę trzydzieści siedem minut z małymi sekundami. Co do reszty, sam wiesz.

— Ano, wiem — i ziewnąłem ze szczerą rozkoszą. — Czy pozwolisz się nieco zdrzemnąć?

— Proszę bardzo. Obudzę cię za pół godziny. O ile zaśniesz.

— Chyba tym razem się uda — wymamrotałem już na pograniczu snu. Jeszcze jedno ziewnięcie i osunąłem się w łagodną ciemność, tym razem bez żadnych snów i przywidzeń. Usnąłem tak szybko i łatwo, jak to było w moim zwyczaju.

Obudził mnie nagle huczący głos dzwonu. W pierwszej chwili chciałem się zerwać z fotela. Było to jednak niemożliwe. Pasy bezpieczeństwa trzymały mnie mocno i tylko ręce miałem wolne.

Paweł II krzyknął coś, ale ponowny dźwięk dzwonu zagłuszył jego głos. Jeszcze ciągle nie rozumiałem, co się dzieje. Tym bardziej, że nasza rakieta zachowuje się w sposób niesłychanie dziwny. Hamowała z niezwykłą gwałtownością, a równocześnie co chwila miotała się w dzikich skokach, dokonując jakby uników przed ciosami ogromnej pięści. Na ekranach rozjarzyły się białe i czerwone światła.

Zrozumiałem wreszcie: to był Wielki Alarm.

Za mego życia, o ile pamiętam, zarządzono zaledwie siedem Wielkich Alarmów. Owe alarmy i akcje ratunkowe zdarzyły się jednak na bardzo odległych drogach. Dwie katastrofy w okolicach Jowisza, jedna na orbicie Wenus, reszta na bardzo niebezpiecznej trasie Mars—Saturn. Siedem Wielkich Alarmów, czyli siedem katastrof. Zginęło w nich dwadzieścia osiem osób, mniej więcej jedna czwarta załóg.

Na lekcjach pilotażu nauczyliśmy się o nich. Zarówno o przebiegu poszczególnych katastrof, jak przede wszystkim o zasadach działania podczas Wielkiego Alarmu, i nie było litości dla tego, który zlekceważył ów temat. Niektórzy buntowali się przeciw bezwzględności wykładowcy. Co było o tyle zrozumiałe, że na trasach bliskich (Księżyc—Ziemia oraz Mars—Ziemia) ostatni Wielki Alarm zdarzył się przed dwudziestu sześciu laty. Wywołał go zdefektowany sputnik drogowy, który nie wiadomo z jakich powodów napadł na inny alarmowy sputnik, a wynikię stąd spięcia wywołały hasło Wielkiego Alarmu. Historia była wielce śmieszna, więc śmiano się z niej na Ziemi, Księżycu i Marsie po dziś dzień.

Ów zaś śmiech świadczył po prostu o poczuciu bezpieczeństwa, jako że od półwiecza okolice Ziemia—Mars i Ziemia—Księżyc (nie mówiąc o orbitach sztucznych księżyców) znalazły się pod osłoną wielkich kosmicznych niszczycieli, których zadaniem było rozbijać w proch i pył wszelkie meteory i meteority mogące zagrozić powierzchni Księżyca i Marsa oraz ruchowi na

wspomnianych przed chwilą trasach. Z tych to właśnie powodów od pięćdziesięciu blisko lat nie zanotowano w pobliżu Ziemi żadnych poważnych wypadków.

I oto teraz huczał dzwon Wielkiego Alarmu, ja zaś pierwszy raz w życiu słyszałem jego głos. Wzdłuż całej naszej trasy jarzyły się setki alarmowych świateł. Dzwon umilkł. W pełnej ciszy radiowej odezwał się głos Dowódcy Wielkiego Alarmu:

— Ogłaszam Wielki Alarm dla tras: sztuczne księżycy 119, 120, 121... Ziemia. Sektory siedemnastego i szesnastego tysiąca. Pas obronnych niszczycieli zaatakował meteor o najwyższej skali wielkości. Został rozbity. Nie udało się jednak zniszczyć strumienia drobnych i większych odłamków. W związku z tym...

Tu nastąpiła drobna pauza. I oto głos Dowódcy odezwał się ponownie:

— Uwaga! Na trasie Stodwudziesiątka—Ziemia uległ katastrofie kosmobus pracowniczy Stodwudziesiątka. Sektor szesnastego tysiąca. Ściśle: dziewięćset piętnasty kilometr tego sektora. Kosmobus został rozbity, ale wszyscy pasażerowie są w kabinach bezpieczeństwa. Większość dotarła do sputników drogowych i alarmowych. Trzy kabiny zostały odrzucone poza trasę. Dwie zachowały łączność, trzecia milczy. Nakazuję wszystkim znajdującym się w okolicy wypadku ratować ludzi wyrzuconych poza trasę.

Moja rakieta skończyła już swój opętany taniec. Zrozumiałem, co to było: przez linię naszego lotu musiało przejść kilka większych odłamków, przed którymi dokonała uników. Musiały być dość duże, jeśli nie zdecydowała się przyjąć ich uderzeń na swój pancerz.

Wyłączyłem fonię. Byłem już przytomny i gotów do działania. I tym razem nie pomyślałem nawet: „Ach, ten dzień!”

Sprawa była zbyt poważna, aby łączyć ją z tamtymi wszystkimi perypetiami. Brałem udział w Wielkim Alarmie. Więcej: byłem chyba bliżej niż ktokolwiek od miejsca katastrofy. Minęliśmy właśnie granicę sektorów siedemnastego i szesnastego tysiąca (była to odległość mierzona od Ziemi w kilometrach) idąc najwolniejszą szybkością.

— Dziewięćset osiemdziesiąty kilometr — liczył Paweł II — dziewięćset sześćdziesiąty.

— Idziemy na poszukiwanie kabiny, która straciła łączność — powiedziałem.

— Tak. Idziemy.

— Przekazujesz dowództwu nasze zamiary?

— Mamy stałą łączność.

— Jaki był kąt uderzenia odłamków na kosmobus? Paweł II podał dane. Obliczył też, w którym kierunku uderzenie meteorów mogło znieść trzy kabiny kosmobusu ze Stodwudziesiątka. Obliczeń tych było aż pięć. Pięć różnych możliwości. Co gorsza: nie sposób było określić szybkości, z jaką ta trójka została wyrzucona z trasy. Nadzieja była przede wszystkim w tych dwóch posiadających łączność. Idąc ich tropem można będzie odnaleźć tę najbardziej zagrożoną. Ale łączność tamtych dwóch też miała niewielki zakres. Najgorsza zaś była samotność, w jakiej się znaleźliśmy.

Niewątpliwie dawno już wystartowały patrole ze Stodwudziesiątka i z Ziemi, a także z Podstacji Ruchu na dziesiątym tysiącu. Daleko jednak im było jeszcze do miejsca katastrofy. Oczywiście — zdążą z pomocą do tych, którzy zdołali uczepić się sputników drogowych i alarmowych. Jeśli jednak chodzi o poszukiwanie tamtej trójki? Byliśmy sami. Spytałem o to Pawła II.

— Nie całkiem — odpowiedział. — Zbliża się właśnie ten dziwny facet od zażaleń ten...

Mękoła. Ciesz się to?

Musieliśmy zamilknąć. Stanowisko Dowódcy Alarmu podawało bliższe dane dotyczące się możliwego kierunku i szybkości, z jaką zostały zbite z trasy trzy kabiny. Tu już jednak nie było czasu na głos ludzki. Dane odbierały bezpośrednio komputery raket idących z pomocą rozbitkom. A mnie naprawdę ucieszyła wiadomość, że zbliżał się do mnie drugi człowiek, że nie

będziemy tak osamotnieni w swych poszukiwaniach, jak początkowo sądziłem. Zdziwiła mnie tylko jedna rzecz: musiał mieć ładną szybkość, jeśli już teraz zbliżał się do nas. Widocznie jego dość staroświecka z wyglądu rakietę kryła w sobie bardzo nowoczesne możliwości.

Znów odezwał się głos Dowódcy:

— Kostal!

— Jestem! — krzyknąłem czując dudniące bicie serca.

— Nering! — wywołał drugie nazwisko Dowódcy.

— Jestem! — odpowiedział spokojnie znany mi głos, o wiele jednak sympatyczniejszy i mniej skrzypiący niż w rozmowie ze mną.

— Znajdujecie się najbliżej miejsca wypadku. Przeznaczam was do akcji ratowania trojga wyrzuconych poza trasę rozbitków. Schodzicie na wysokość dziewięćsetnego kilometra. Z tej wysokości rozpocząć poszukiwania. Konkretnie dane bezpośrednio przez aparaturę łączności i komputery. Kostal?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Nering?

— Tak jest.

Nering był już niezwykle blisko. Zaledwie o jakieś dziesięć kilometrów od nas. Zachowując tę odległość zesliśmy na dziewięćsetny kilometr.

— Nering? — spytałem.

— Na imię mi Jan.

— Zgoda, Jasiu — uśmiechnąłem się dość blado. — Schodzimy z trasy.

Nering od razu uznał, że ja przejmuję pierwszy głos w całej naszej akcji. Nie wiedziałem jeszcze, w jakim jest wieku (głos mu bardzo odmłodził), gdzie pracuje ani jak wygląda. Nie było czasu na towarzyskie rozmówki. W zasadzie, według przepisów, powinienem był objąć kierownictwo. Dowódca wywołał mnie w pierwszej kolejności i to rozstrzygało.

Nie spodziewałem się jednak takiej ustępliwości i dyscypliny, jakie Nering natychmiast okazał.

— Tak jest. Schodzimy z trasy — powtórzył moje słowa jak rozkaz.

W tym momencie zesliśmy w głęboką czerną przestrzeni kosmicznej. Poruszaliśmy się ze śmiesznie niską szybkością, aby nie natknąć się na któregoś z rozbitków i nie uszkodzić ich kabin bezpieczeństwa. Ogarniała nas ciemność coraz głębsza.

Nie bałem się tej czerni i pustki. Kiedy jednak uprzytomniłem sobie, jak muszą czuć się ci, których pchnęła w czarną przepaść katastrofa — ogarnął mnie lęk.

Powinniśmy już byli słyszeć ich radia. Obie nasze rakiety pracowały na wszystkich możliwych rodzajach łączności: radio, radar, reflektory podczerwieni. Nasze światła dawały nieustający sygnał: idziemy z pomocą. Powinni nas byli widzieć. Dlaczego jednak się nie odzywają?

Przypomniałem sobie nagle ów strumień meteorów, przed którym udało się uskoczyć mojej Iks-elce. Nie chciałem o tym myśleć. Ale mimo wszystko istniała i taka możliwość, że ten sam lub podobny strumień uderzył w nich, w ich kabiny. Wtedy nasze poszukiwania byłyby z góry pozbawione sensu. A tak właśnie myśleć nie wolno. Póki sprawy nie zostaną wyjaśnione do końca, należy utrzymywać w sobie nadzieję i ani przez chwilę nie zaprzestać działania.

— Zaczynam słyszeć! — krzyknął Paweł II nie dbając o to, że fonia włączona.

— Kto mówi? — spytał Nering.

— Mój komputer — wyjaśniłem.

Nering przyjął tę wiadomość, jakby podobna rzecz była najbardziej naturalną sprawą. Paweł II natomiast zaczął przekazywać Neringowi konkretne dane na temat położenia owego zasłyszanego przezeń sygnału — i po chwili obie nasze rakiety zmieniły nieco kurs. Musieliśmy

pójść łagodnym łukiem ku górze, mniej więcej na wysokość dziewięćset dwudziestego kilometra. Teraz już i my słyszeliśmy sygnał jednego z rozbitków. Co dalej? Czy powinniśmy obaj iść tym pojedynczym tropem? Na pewno nie. Dlatego też nie pytając nawet Dowódcy Alarmu podjąłem decyzję.

— Janek! — Jestem.

— Idź dalej tropem sygnału. Po odnalezieniu rozbitka przetransportuj go do najbliższego alarmowego sputnika.

— Tak jest. Po odnalezieniu rozbitka przetransportować go do najbliższego alarmowego sputnika.

— Potem wracaj do mnie.

— Tak jest.

Nie chciało mi się wierzyć, że ten sam osobnik przed kilkunastoma minutami groził mi zażaleniem, skargami i tym podobnie. A przecież tak było. Poznaliśmy go obaj z Pawłem na pewno: ta sama rakieta, niemal że ten sam głos, ale odmłodzony i odmieniony. Teraz — mówiąc z nim — miałem takie uczucie, jakbym rozmawiał ze swoim rówieśnikiem, i to z chłopcem dobrej klasy. Patrzyłem, jak łagodnie przyspiesza idąc po torze pierwszego sygnału — i zazdrościłem mu.

Zazdrościłem mu tego, że może już działać. Było pewne, że odnajdzie „swojego” rozbitka i przeniesie go w miejsce właściwe. Ja zaś miałem teraz pozostać na dłuższy czas w samotności. I sądzę, że gdyby nie obecność Pawła II czas ten stałby się czasem cierpienia i lęku. A myśląc jeszcze ciągle o pierwszym z odnalezionych uprzytomniłem sobie istotną sprawę. Wyłączyłem głos, żeby nie mącić ciszy radiowej.

— Paweł — spytałem. — Jaka może być odległość tego sygnału od trasy i pod jakim kątem w stosunku do miejsca katastrofy on się znajduje?

— Masz rację — mruknął. — To ważne.

Nie lenił się z wyliczeniami. Był gotów w półtorej sekundy. Ujął to nawet w rysunek graficzny. Z rysunku wynikało, że pierwszy z odnalezionych został zepchnięty w przestrzeń pod innym nieco kątem i na większą odległość, niż przypuszczało Dowództwo Alarmu i niż my sądziliśmy. Istniał jeszcze jeden problem. Czy pozostała dwójka została zepchnięta w przestrzeń pod podobnym kątem i na podobną odległość jak pierwszy? Należałoby sądzić, że tak. Dlaczego jednak usłyszeliśmy tylko jeden sygnał?

Spytałem o to Pawła. Wyliczył mi kilka różnych możliwości. A więc było możliwe, że nadajnik drugiej kabiny uległ awarii, że sama kabina uległa zniszczeniu, że odrzucona została pod innym kątem od trasy, niż przypuszczamy, że, być może, należy jej szukać w kierunku takim albo takim, albo takim.

Przerwałem mu:

— To nic nie znaczy. Te możliwości znoszą się nawzajem.

— Wiem o tym — odparł lekko urażony Paweł II. — Ale starałem się, jak mogłem. Poza tym Ziemia też milczy. Pracują największymi radarami i sondami wszelakiego rodzaju. I milczą. A kto pierwszy usłyszał tego, którego lada chwila dojdzie Mękoła?

— Ty — odpowiedziałem, bo tak było. Umilkliśmy na kilka sekund. Szliśmy nadal pierwotnym kursem. Myślałem uporczywie, jak go zmienić, by uzyskać największe możliwości natrafienia na tamtych. Coś zaczęło migotać w mej świadomości. Starałem się ten załazek pomysłu utwierdzić w sobie, utrwalić. Udało się. Ale zanim zdołałem odezwać się do Pawła, odezwał się głos Neringa:

— Tu Nering. Naprowadzony przez komputer Kostala nawiązałem bezpośredni kontakt z kabiną

bezpieczeństwa. Według decyzji Kostala holuję ją do najbliższego alarmowego sputnika, następnie wracam do akcji.

— Dobrze, Nering — odpowiedział Dowódca. — Dobrze, Kostal.

Nie miałem obowiązku dziękować, a przede wszystkim nie potrafiłbym tego uczynić. Dokuczala mi zazdrość, męczyło poczucie własnej bezsilności.

Czy jestem jednak całkowicie bezradny? Miałem przecież przed chwilą załączek pomysłu. Teraz należało go przetworzyć w prawdziwy, racjonalny i rozumny pomysł. Zwierzyłem się z niego Pawłowi II. Nie było to jeszcze pewne ani rozumne. Mimo to Paweł od razu podchwycił główny sens. Chodziło mi mianowicie, czy nadal należy poruszać się ze ślimaczą powolnością ze względu na bezpieczeństwo rozbitków, czy też właśnie z myślą o ich bezpieczeństwie nie zmienić metody poszukiwań.

Metoda była ryzykowna. Zamierzałem bowiem zmienić kurs i szybkość lotu. Wobec milczenia tamtych postanowiłem, że trzeba się śpieszyć — i to bardzo. Każda sekunda spycha ich głębiej w przepaść, czerń i okrutną ciszę. Należałoby więc wyprzedzić ich nagłym skokiem, a następnie krążyć spiralnym lotem wokół ich domniemanego położenia. Paweł II obliczał już możliwie bezpieczną średnicę spirali, po której mielibyśmy się poruszać — z jaką jednak szybkością? Tu zdecydowałem sam: pierwsza kosmiczna.

Pozostawał jeszcze jeden obowiązek. O swoim planie musiałem zawiadomić Dowódcę Alarmu. Paweł II podał mi już obliczenie spirali, ja zaś sprawdziłem, że przyjęta przeze mnie szybkość pozwoli nam w dość krótkim czasie objąć nasłuchem, radarem i podczerwienią rozległy obszar. I ten wewnątrz spirali, i ten znajdujący się poza nią.

Wydawało mi się, że pomysł jest sensowny. Była to jednak jedna z trudniejszych chwil mego życia, kiedy odezwałem się:

— Wołam Dowódcę.

— Jestem — odpowiedział mi głos z Ziemi.

— Przekazuję dane nowego sposobu poszukiwań. Zapadło milczenie. Paweł II przekazał mój pomysł wraz z obliczeniami w przeciągu niepełnych trzech sekund.

Na odpowiedź czekałem dwa razy dłużej. Czekałem na zgodę i bałem się jej równocześnie.

Bałem się bardzo — bardziej niż kiedykolwiek. Przy takiej szybkości człowiek znajdujący się na torze mojego lotu był skazany, i to nieodwołalnie, na śmierć. A jeśli mój pomysł jest błędny i nic nie wyniknie z poszukiwań, z jaką twarzą wrócę na Ziemię?

Owe sześć sekund oczekiwania na odpowiedź Dowódcy Alarmu wlokły się jak wieczność.

Czułem pot na skroniach, na karku, nie mogłem odetchnąć.

I wreszcie usłyszałem:

— Dowództwo wyraża zgodę. Powodzenia.

Ale co z Neringiem?

Nie mogłem przecież sam wziąć na siebie całego zadania. Nim jednak zdążyłem spytać o jego dalszą współpracę ze mną, Dowódca sam zabrał głos w tej sprawie:

— Nering będzie posuwał się po osi twojej spirali.

— Tak jest — odezwał się głos Neringa.

— Tak jest — powiedziałem.

A więc Dowództwo Wielkiego Alarmu przyjęło mój plan ratowania dwojga pozostałych w przestrzeni ludzi. Mogłem być z tego dumny. Ale o wiele większy niż uczucie dumy był teraz strach przed odpowiedzialnością, którą na siebie wziąłem.

Odepchnąłem od siebie złe myśli. Przyszedeł czas na działanie i nic poza owym działaniem nie może teraz być ważne. Zwiększyłem jeszcze moją odpowiedzialność: wyłączyłem

automatycznego pilota, sam przejąłem prowadzenie.

— Zgadzasz się? — spytałem Pawła II.

— Tak. Będę cię tylko dozorował.

— A rozumiesz?

— Chyba tak. Chcesz wziąć wszystko na siebie?

— Przy twojej pomocy.

— Tak.

Mówiąc to poderwałem naszą rakietę do tak szybkiego skoku w przestrzeń, że na ułamek sekundy ogłuchłem i oślepiłem. Ale w chwilę potem wszystko działało się, jak należy. Byłem naprawdę spokojny. Nie miałem po prostu żadnego odwrotu. Musiałem działać ściśle wedle nakreślonego przeze mnie, a zatwierzonego przez Dowództwo planu. To znaczy: najpierw skok w przestrzeń na odległość, której jeszcze absolutnie nie mogli osiągnąć pozostali rozbitkowie — a potem powolne cofanie, lotem spiralnym o średnicy trzystu kilometrów. W ten sposób droga mojego lotu miała być czymś w rodzaju ruchomego tunelu, w którym — jak przypuszczałem — powinniśmy odnaleźć oczekujących na naszą pomoc ludzi.

Nic teraz nie było ważne. Zapomniałem o wszystkich i o wszystkim. Tak jakby na świecie istniało tylko tych dwoje, których musimy uratować.

Na tysięcznym kilometrze miałem już pierwszą szybkość kosmiczną i powoli zacząłem skrzywiać linię lotu. Usłyszałem krótki raport Neringa, w którym zawiadamiał Dowódcę, że pierwszy z zaginionych w przestrzeni jest już bezpieczny. Wtedy właśnie wszedłem w pierwszy zwój spirali. Po pierwszym przyszedł drugi, po drugim trzeci. Zacząłem więc budować swój ruchomy tunel i sądzę, że była to jedna z najcięższych prac w moim życiu — i przeszłym, i przyszłym.

Czas stanął. Było tak, jakby sekundy trwały godziny, a minuty dnię całe. Ciężar tego czasu, tego oczekiwania sprawił, że milczeliśmy obaj — Paweł I i Paweł II.

Kiedy Nering zameldował swoją obecność, odpowiedziałem tylko jednym słowem. I znów nastąpiła w kabinie cisza. Nie była ona nawet konieczna. Każdy z zespołów łączności i widzenia odnotowałby obecność i miejsce tamtych bezzwłocznie i niezależnie od tego, czy prowadziliśmy rozmowę, czy nie. Mimo to wybrałem milczenie, a Paweł II uszanował je.

Mieliśmy pierwszą kosmiczną szybkość, bardzo jednak powoli wracaliśmy w stronę trasy. Moja spiralna „sieć” musiała być gęsta, możliwie jak najgęstsza. Patrole ratunkowe były już niedaleko, zaledwie o dwanaście minut drogi. Z sekundami. Ale przecież to było o wiele za daleko i śmiertelnie za długo dla tych dwojga, których szukaliśmy niczym miotający się w czarnej pustce ślepcy. Dla nich każda sekunda z owych dwudziestu pięciu minut mogła przerodzić się w nieodwracalną wieczność.

Przynaję: znów ogarnął mnie strach, wielki strach przed odpowiedzialnością, którą sam wybrałem. Wiedziałem, że wykonując tylko rozkazy Dowództwa i rezygnując z własnej woli i myśli, mógłbym w wypadku niepowodzenia tej akcji rozkładać ręce i płaczącym tonem stwierdzać, że ja jedynie wykonywałem rozkazy. I że nie moja to wina, że rozkazy i rozkazodawcy zawiedli nas.

Tak, to byłoby najwygodniejsze. Ale taka wygoda miałaby obrzydliwy smak tchórzostwa, świadomie zaplanowanego tchórzostwa. Wiedziałem, że jeśli nie uda się nam uratować tych ludzi, nie potrafię o tym zapomnieć do końca życia. Być może nie potrafię sobie tego nigdy wybaczyć, ale będę mógł przynajmniej pamiętać, że zrobiłem w tej sprawie najwięcej, jak mogłem, jak umiałem, jak chciałem.

Wchodziliśmy właśnie w trzydziestą pierwszą spiralę. Nering osiągnął wreszcie właściwą wobec

nas pozycję i posuwał się wraz z nami wzdłuż osi wykęcanych przez lks-elkę zwojów. Widziałem go na bocznym ekranie, tuż za oknem. Spytałem go, czy niczego nie zauważył. Odpowiedział jednym krótkim „nie”. Miał rację. Pytanie było bez sensu. Gdyby coś zauważył, narobiłby tyle krzyku, że usłyszano by go na Jowiszu.

Trzydziesta druga spirala, trzydziesta trzecia... Wszechświat wykonywał na ekranach kolejnego opętanczego kozła. Trzydziesta czwarta spirala... trzydziesta piąta...

I oto nagle usłyszałem sygnał drugiej kabiny. Usłyszałem go niebezpiecznie blisko — musiałem go minąć w odległości jakichś dwudziestu, trzydziestu kilometrów. A równocześnie Paweł II krzyknął:

— Jest! Jest druga kabina. Poza łukiem spirali!

Co mogłem w tej chwili zrobić? Natychmiastowe pełne hamowanie było niemożliwe. Zapewne nie przeżyłbym go - a być może i rakieta uległaby zniszczeniu. Należało więc wykonać jeszcze jeden zwój spirali, zużyć go na wyhamowanie szybkości do zera i zatrzymać się w tym samym miejscu i na tej samej wysokości, na której uchwyciliśmy wreszcie kontakt z obu kabinami. Paweł II przekazywał Neringowi dane o położeniu kabiny z sygnałem i o jej przypuszczalnym kursie. Sprawa ta była zresztą już nietrudna. Sygnał odzywał się nadal, głośno i niecierpliwie. Dlaczego tak późno go usłyszeliśmy? Odpowiedź była chyba tylko jedna: zapewne nadajnik tej kabiny uległ jakiejś awarii, którą dopiero teraz udało się rozbitkowi naprawić. Można go było już uznać za uratowanego — odnalezienie nie stanowiłoby większych trudności, gdyby nawet sygnał znów umilkł.

Na szczęście odzywał się nadal głośno i niecierpliwie. Nering też go już usłyszał i siedł po właściwym tropie.

Przez chwilę doznałem ogromnej ulgi, ale natychmiast potem wróciło dawne napięcie. W dodatku szaleńcze hamowanie rzuciło mnie na pasy bezpieczeństwa, zdawało mi się, że tracę przytomność, że krew płynie z ust, z nosa, z uszu. Udało mi się jednak jakoś przetrzymać zły czas. Zmieniałem co chwila pozycję fotela, żeby jak najbardziej osłabić wywołane przez hamowanie nieprawidłowości w krążeniu krwi.

Ale to wszystko w istocie nie było ważne. Ważna była w tej chwili tylko jedna rzecz i sprawa: ratunek trzeciej wciąż jeszcze milczącej kabiny.

Póki nie znaleźliśmy tamtych dwóch, póty starałem się o tej trzeciej nie myśleć. Starałem się przemilczeć przed samym sobą najprostsze przecież pytanie: dlaczego się nie odzywa? Czy jest to tylko awaria radia, czy coś o wiele, wiele gorszego? Coś, czego nie da się już naprawić?

Byliśmy bardzo blisko punktu, w którym Paweł II uchwycił obecność trzeciej kabiny. Szybkość — bliska zerowej. A więc wszystko szło jak należy. Mnie jednak biło serce i drżały ręce, jakbym po raz pierwszy w życiu znalazł się w przestrzeni. I było to po mnie widać.

Paweł II syknął ze zdecydowaną złością:

— Pozbieraj się wreszcie!

Nie obchodziło mnie, czy ten szept poszedł w przestrzeń, czy nie. Po prostu Paweł II miał rację. Jeśli mieliśmy zwyciężyć w tej trzeciej, najtrudniejszej rozgrywce z losem, musiałem być spokojny i sprawny w każdej chwili naszego działania. Udało mi się nawet uśmiechnąć.

— Dobra — powiedziałem. — Robi się, Pawle II.

— Widzisz ją już na radarze?

— Jeszcze nie.

Paweł II zaśmiał się cicho:

— Mam lepsze oczy niż ty.

— Jest! — krzyknąłem.

— Jest — szepnął Paweł II. — A teraz rozkazuj, co dalej?

Miałem w zasadzie do wyboru dwa sposoby postępowania. Pierwszy był dość prosty i bezpieczny (przede wszystkim dla pilota). Należałoby tylko podejść tak blisko do owej milczącej kabiny, aby uległa sile przyciągania rakiety. I wtedy można by było spokojnie czekać na przybycie patrolu ratowniczego, dysponującego wszystkim, co można ofiarować człowiekowi zagubionemu w przestrzeni.

Powstało jednak pytanie: czy mam prawo czekać? Być może, każda sekunda decyduje o życiu lub śmierci pasażera milczącej kabiny. Poza tym jeśli kabina jest częściowo choćby uszkodzona, zetknięcie z powierzchnią rakiety może uszkodzić ją jeszcze bardziej.

Tak więc, choć niby miałem do wyboru aż dwa sposoby działania, wybrać mogłem tylko jeden: zatrzymać raketę w odległości kilkudziesięciu metrów nad milczącąabiną i wyjść do niej w przestrzeń. Wtedy, po osobistym sprawdzeniu stanu rzeczy, mógłbym doholowaćabinę do wejścia rakiety i przetransportować rozbitka wprost do wnętrza mojej dobrej Iks-elki.

Przekazałem decyzję. Dowódcztwu. Została przyjęta. W chwilę potem Nering zameldował, że ma już drugąabinę na holu i że wszystko jest w porządku. Ogarnęła mnie na moment ogromna radość. Przecież z trzech najbardziej zagrożonych ofiar katastrofy wydarliśmy niebezpieczeństwo już dwie. Ale owa radość wygasła niemal natychmiast. Bo dopiero teraz czekała mnie najtrudniejsza rozgrywka z przestrzenią. Należało doprowadzić walkę z nią do końca — i obronić też ową milczącąabinę (jeśli było w niej coś jeszcze do ratowania).

Byłem już gotów do wyjścia z rakiety, ale pozostawało nam jeszcze kilka sekund, nim XL-218 zatrzyma się w najwłaściwszej pozycji. Przesła mi wtedy przez głowę nieoczekiwanie niespokojna myśl: czy aby niebezpieczeństwo meteorów mamy na pewno już za sobą? Czy też istnieje jeszcze możliwość zderzenia się z jakimś „drobiazgiem” kosmicznym?

W takim wypadku byłoby po wszystkim — i żegnaj wtedy, drogi Pawle Kostalu! Skończyłby się twój księżycowy pech razem z twoim ziemskim życiem!

W tym momencie Paweł II zatrzymał raketę. Chciałem jeszcze usłyszeć jego głos, a także powiedzieć kilka słów, które powtórzyłby rodzicom i Lutkowi, gdyby coś złego teraz się stało. Powiedziałem sobie jednak: nie! Powiedziałem też sobie, że przestrzeń jest tym groźniejsza, im słabszy jest człowiek, który z nią walczy.

Znajdowałem się już u wyjścia, uśmiechnąłem się do przyjaciela.

— Cześć, Pawełku II — rzekłem pewnym siebie głosem.

— Wracaj szybko, stary — zabrzmiała cicha odpowiedź.

Po dwóch sekundach znalazłem się w przestrzeni. Zjeżdżałem powoli na umocowanej do skafandra linie. Mimo wszystko bałem się. Ale nie o siebie. Bałem się tego, co tam mogą zastać. Do kabiny pozostawało jeszcze czterdzieści, trzydzieści, dwadzieścia metrów. Oświetliłem ją łagodnym i ciepłym blaskiem umieszczonej na wierzchu prawej rękawicy latarenki. Starłem się panować nad sobą, ale w tej chwili nie bardzo mi się to udawało — serce czułem aż w gardle, trudno mi było złapać oddech, w głowie miałem czarną pustkę — nie gorszą od otaczającej nas próżni.

Byłem już o pięć metrów od kabiny, kiedy ujrzałem w jej wnętrzu jakiś ruch. A więc żyje?

Chciałem w pierwszej chwili wrzasnąć, że żyje! Chciałem przekazać dobrą nowinę wszystkim oczekującym na mój raport miliardom. W ostatnim momencie powstrzymałem się jednak.

Obiecałem sobie, że dopiero wtedy, kiedy będę miał tego człowieka u siebie i kiedy Mechaniczny Lekarz Pokładowy stwierdzi dobry stan jego zdrowia — dopiero wtedy wykrzyczę światu dobrą naszą wiadomość.

Znalazłem się wreszcie tuż przy kabinie. Jej przód, miejsce ratunkowego nadajnika, był

wgnieciony na jakieś trzydzieści centymetrów. Mimo to materiał, z którego budowano kabiny, wytrzymał uderzenie. Natomiast jego powierzchnia zarysowała się setkami drobnych kresek, tak że nie mogłem dostrzec twarzy człowieka, który tam się znajdował. Spojrzałem z boku i ujrzałem zamglony profil w hełmie, spod którego jedno tylko było widać wyraźnie: masę jasnych włosów. A więc ten trzeci człowiek był istotą rodzaju żeńskiego. Ja zaś już byłem prawie pewien, że uda mi się ją uratować. Co więcej: usłyszałem na wspólnej fali cichy, bardzo odległy głos. Oznaczało to, że radio jej skafandra działa.

Wyteżyłem słuch, wzmocniłem swój odbiór do maksimum.

I oto usłyszałem:

— Dobrze, że wreszcie jesteś — mówił bardzo miły alt — bo zaczęłam być już głodna.

— Zaraz cię nakarmimy — odpowiedziałem. — Ale przedtem chciałem spytać, jak zdrowie?

— Dziękuję, w porządku.

— Serdecznie gratuluje — rzekłem usiłując wpaść w jej ton. — Naprawdę serdecznie.

— Ależ dziękuję uprzejmie — mówiła ona.

— Ależ nie ma za co — odpowiedziałem i wreszcie oboje zaczęliśmy się śmiać tym śmiechem, który świadczy o zwycięstwie i którym śmieją się ludzie szczęśliwi.

Cóż to za wspaniała dziewczyna! Od dwudziestu blisko minut spadała w czarną przepaść. W uszkodzonej kabinie, z rozbitym nadajnikiem alarmowym, w całkowitej samotności i w pełnym poczuciu tej prawdy, że z każdą sekundą maleją jej szanse, z jednej do stu na jedną do tysiąca i na jedną do stu tysięcy. Kiedy zaś okazało się, że ta jedna na milion szansa wygrała, usłyszałem spokojne: „Dobrze, że jesteś”...

Oczywiście podczas uprzejmej rozmówki, którą prowadziliśmy, nie próżnowałem. Obejrzałem szybko i dokładnie całąabinę. W zasadzie była nienaruszona. Ale holowanie jej z pasażerem na dłuższą odległość uznałem jako zbyt ryzykowne. Każde zwiększone napięcie mogło rozwalić kabinę na części i wyrzucić tę dziewczynę znowu w przestrzeń. Tak, tylko tego by jeszcze brakowało!

Powinienem zatem wykonać swój założony z góry plan: dociągnąć kabinę do Iks-elki i uprzejmie zaprosić pasażerkę do wnętrza rakiety. Spytałem, czy godzi się na to i czy przyjmuje moje zaproszenie.

— Wolalabym wiedzieć z góry — odpowiedziała — u kogo będę w tak miłej gościnie.

Przedstawiłem się, dodając niektóre cechy charakterystyczne swego wyglądu, jak też wiek i miejsce urodzenia. Zdawało mi się, że coś krzyknęła, ale, zajęty windowaniem kabiny do wejścia Iks-elki, nie dosłyszałem.

Jeszcze pół minuty, jeszcze piętnaście sekund, jeszcze dziesięć...

Aż wreszcie przysłała taka chwila, w której górna część kabiny znalazła się na właściwym miejscu. Patrzyłem: dach kabiny uległ wprawdzie jakiejś deformacji, w końcu jednak puścił. I oto dziewczyna weszła do środka.

Musiałem jeszcze zamocować wrak jej kabiny na tylnym holu, ale trwało to bardzo niedługo.

Kiedy wpadłem do wnętrza Iks-elki, ujrzałem swoją pasażerkę przy MLP. Nie widziałem jej twarzy, przesłoniętej falą pięknych jasnych włosów. Wyłączyłem na moment fonię.

— Paweł — spytałem. — Jak jej zdrowie?

— Jeszcze dwie sekundy... taaak... dobrze. A więc — oświadczył — poza objawami zmęczenia fizycznego i psychicznego, wszystko w normie.

Dziewczyna zwróciła się do mnie całą twarzą. Skąd ja znam tę twarz?!

— Co to za głos? — spytała z nikłym uśmiechem. — Czy u ciebie straszysz?

— Tak — mówiłem. — Mam tu własnego ducha. Złowiłem go w prehistorii i trzymam na

łańcuchu.

I tu nagle przypomniałem sobie, skąd ja znam tę trochę zmęczoną i przybladłą, ale piękną twarz!
To przecież dziewczyna Lutka!

Musiałem się jeszcze upewnić, a głos mój trząśł się i dygotał:

— Ty jesteś dziewczyną Lutka?

— Tak!

— Nazwisko? Imię?

— Po co ci moje nazwisko? — spytała jakby z lekkim niepokojem o stan mego mózgu.

— Dziewczyno! — wrzasnąłem z szaloną radością. — Przecież muszę złożyć raport o odnalezieniu ciebie.

— Naprzód przywitajcie się po ludzku — doradził Paweł II.

— To ten duch tak radzi? — spytała.

Skinałem głową, że duch, i przywitaliśmy się po ludzku — uściskiem dłoni i bratersko-siostrzanym pocałunkiem.

— A więc?... — spytałem.

— Nina Lelczuk. Specjalistka od mikrostruktur. Włączyłem fonię i zgłosiłem się do Dowódcy Alarmu, że mam w swojej rękawicy trzeciego z zaginionych rozbitków — Ninę Lelczuk, specjalistkę od mikrostruktur, i że naszą (to znaczy: Neringa i moją) akcję można by uważać za zakończoną. Spytałem jeszcze, czy są jakieś dodatkowe rozkazy — i tu, w sposób dość bezczelny, ale pełen wdzięku, odezwała się Nina. Prosiła o zezwolenie na powrót w rękawicy Pawła Kostala, jako że zdrowie jej jest w pełnej normie, a istotnym celem jej dzisiejszej podróży było właśnie miasto, do którego wraca Kostal.

W głosie Dowódcy czuło się śmiech, kiedy dawał jej zezwolenie na taki powrót na Ziemię. A potem wezwał mnie i Neringa. Zgłosiliśmy się.

— Dziękuję wam — powiedział.

I to było na szczęście wszystko. A równocześnie było to bardzo wiele. Im mniej słów, tym większa ich waga. Zaś słowa te usłyszało dziś kilka miliardów ludzi. Ogarnął mnie lekki popłoch na myśl o tym, że od jutra mogą stać się główną sensacją dnia. Aż się w sobie skuliłem.

Nina urządziła już sobie kolację i rzeczywiście wybrała najlepsze i największe porcje z moich zapasów. Jadła z niezwykłym apetytem, dostrzegła jednak, że coś niedobrego się ze mną dzieje. Zdążyłem jeszcze wyłączyć fonię, gdy spytała:

— Czego ty się boisz? Mam dobry apetyt, ale ciebie nie zjem.

Wy tłumaczyłem jej pokrótce, czego się boję: owacji, popularności, umów filmowych, łowców autografów, wywiadów, przemówień, odznaczeń i tak dalej, i tym podobnie. Muszę w najbliższym czasie przygotowywać się do pierwszych specjalizacyjnych egzaminów końcowych i nie mam czasu na głupstwa. Kiwała głową z serdecznym zrozumieniem i zjadała czwartą już tabliczkę czekolady, przegryzając ją szóstą pomarańczą.

— Rozumiem cię świetnie — powiedziała w końcu, zabierając się do winogron. — Ale bądź pewny: to nie potrwa długo. Znajdzie się ktoś nowy, ktoś inny. Zapewniam cię, że szybciej odzyskasz spokój, niż się tego spodziewasz. A czasem będzie ci trochę brakowało tamtego niepokoju.

Tu mrugnęła okiem, uśmiechnęła się, poklepała mnie po ramieniu i zmieniła temat.

— Przedstaw mnie — powiedziała — swojemu duchowi.

Przedstawiłem ich sobie nawzajem, a Paweł II pokrótce wytłumaczył jej, skąd, jakim sposobem i kiedy znalazł się w mojej XL-218.

Zielone oczy Niny robiły się coraz większe i okrągłejsze ze zdumienia.

— Kochana — powiedział na ten bardzo ładny widok Paweł II — nie masz się czemu tak znowu dziwić. To, że mnie wmontują w znakomitą Iks-elkę Pawła, było w gruncie rzeczy prawdopodobne. Biorąc pod uwagę wszystkie czynniki prawdopodobieństwa, rachunek układał się jak jeden do trzydziestu dwóch milionów z drobnymi. A wiecie, jakie było prawdopodobieństwo tego, że na strzeżonym szlaku dojdzie do katastrofy, że Nina padnie jej ofiarą i że to właśnie Paweł ją uratuje? Otóż przed chwilą zakończyłem obliczenia. Słuchajcie: szansa na to była taka, jak jeden do dziesiątki z czterdziestoma dziewięcioma zerami.

Na moment ucichliśmy. Tak, to było niezłe. Nina przestała wreszcie jeść, pokiwała głową i rzekła:

— Coś podobnego może się zdarzyć tylko w życiu. Bo gdyby jakąś taką historyjkę ludzie przeczytali w książce albo zobaczyli na ekranie, podniósłby się od razu okrutny wrzask i krzyk, że podobne bujdy w ogóle się nie zdarzają.

— Tak — westchnąłem. — A ja mimo wszystko będę musiał to opisać. W wypracowaniu szkolnym.

— Biedne dziecko — westchnęła Nina i spytała przy okazji, czy nie mam jakichś konfitur. Wyjaśniłem, że niestety, nie. Wtedy westchnęła po raz drugi, ja zaś pogłaskałem ją po ramieniu i również westchnąłem.

— Biedne dziecko. Ale w domu — pocieszałem ją — znajdą się. W dodatku Domek obiecał dziś kolację jak poemat. Cieszy cię to?

— I owszem — stwierdziła. — Nie myśl zresztą, że ja tak zawsze. Podobny apetyt zdarza mi się tylko wtedy, kiedy jestem bardzo nieszczęśliwa albo bardzo szczęśliwa.

I tu uśmiechnęła się do mnie w taki sposób, że w pełni zrozumiałem Lutka. Trochę się nawet spieszyłem i aby zmienić temat, spytałem Pawła II, gdzie jesteśmy.

Natychmiast podał nam dokładne dane, z których wynikało, że za pół godziny będziemy już w domu. Nina nagłym ruchem przesłoniła oczy, udała, że kaszle. Ja udałem, że tego nie widzę.

Paweł II zaś doradził mi, żebym włączył głos, bo właśnie wyprzedzamy Neringa, który również wraca do domu.

Oczywiście włączyłem fonię, ścisnąłem nos palcami, żeby zmienić nieco barwę swego głosu, i wrzasnąłem:

— Ty bałwanie! Znowu ci się w głowie przewraca?

Nering jakby się wpiersz zakrztusił, a potem wyskrzecztał:

— Przepraszam, nie zrozumiałem. Czy pan mówi do mnie?

— Ależ... ależ... — jąkałem się teraz niepewnie — to tylko tak... do siebie, do siebie!

— Jak „do siebie”, kiedy do mnie?

— No właśnie tak: do siebie, czyli do mnie.

— Ale kto tu jest „mną”? — piał Nering pawim głosem. — Przecież nie ty, tylko ja!

Wtedy zacząłem się awanturować i wydzierać na cały głos:

— Ja sobie wypraszam! Pan nie pozwala mi być „mną”? Pan mnie jeszcze nie zna! Ja wniosę nie tylko zażalenie, ale także skargę oraz szereg wniosków.

— Przepraszam — zainteresował się całkiem uprzejmie Nering — czy pan to wniesie po schodach czy w posagu?

Chwilę potrwało, zanim się wyśmieliśmy. Następnie wymieniliśmy adresy. Uznaliśmy, że trzeba będzie jeszcze przy okazji omówić, kto z nas jest „mną” — czy tylko jeden, czy obaj, czy też może żaden.

Nina, która u początku tej rozmówki patrzyła na mnie jak na latającego hipopotama, też się w końcu nieco uśmieła. Potem niby obojętnie spytała, czy na tej przyrządzonej przez Domka kolacji

będzie także Lutek. Wyjaśniłem jej, że będzie na pewno. A przy okazji spytałem, czy po wylądowaniu nie mogłaby zrobić z siebie, choć na chwilę, coś w rodzaju mechanicznej blondynki. Na przykład czy nie mogłaby przez kilka pierwszych sekund poskrzeczć albo po prostu złapać Lutka za nos.

Obiecała, że spróbuje, choć trudno jej ręczyć za dobry wynik, nie jest bowiem pewna swoich zdolności aktorskich. Paweł II odparł, że w każdym razie powinna być pewna swego wdzięku i urody. Wymienili jeszcze kilka uprzejmych zdań, potem ucichli. Ja również milczałem.

Przed nami rosła coraz piękniej Ziemia. Patrzyłem na nią bardzo zmęczony i bardzo szczęśliwy. Początkowo była tylko nieregularną, brązowoczną bryłą. Potem, coraz bliższa oczom i sercu, piękniała z minuty na minutę. Zapatrzyliśmy się w jej obraz, a Paweł II zagrał nam jakąś bardzo staroświecką, prościutką a wdzięczną piosenkę.

Półkula zachodnia była jeszcze w słońcu, naszą objął już cień szarej godziny. Weszliśmy w atmosferę — nad Atlantykiem wisiała warstwa chmur, ale nad Kanadą świeciło jasne słońce. Uśmiechnąłem się w tamtą stronę: „Do zobaczenia, Iris”.

Tak więc kończył się wreszcie ten najdłuższy jak dotąd dzień mego życia.

Nauczył mnie wiele. Pierwszy raz zrozumiałem, czym jest prawdziwe niebezpieczeństwo, pierwszy też raz dowiedziałem się o ludzkim szczęściu i przeżyłem je. Byłem teraz naprawdę ciężko zmęczony. Nie bardzo nawet mogłem myśleć o czymkolwiek innym niż o dobrej ciszy domu, o obecności najbliższych i o głębokim śnie. O jednej jeszcze sprawie nie zapomniałem: że od tego właśnie dnia nie spocznę, póki nie stanę do egzaminów w Ośrodku Wielkich Wypraw.

— Ładujemy? — spytała cicho Nina i zaczęła poprawiać swoje włosy.

— Za trzy minuty — szepnął Paweł II.

— Zrób to możliwie bezgłośnie, Pawełku — poprosiłem.

— Dobrze, Pawełku. Będzie jak na puchu łabędzim. Dotrzymał obietnicy. Usiedliśmy tak delikatnie i cicho, jakby to nie była dość masywna XL-218, tylko nocny motyl. Oboje podziękowaliśmy Pawełkowi II i życząc mu dobrej nocy otwarliśmy wejście rakiety.

Była piękna, cicha noc księżycowej pełni. A w świetle białej lampy ukrytej pośród liści kasztana ujrzeliśmy ich dwoje: Lutka i mamę. Tu muszę oddać sprawiedliwość Ninie, że zanim Lutek chwycił ją w ramiona, najpierw bardzo ślicznie zaskrzeczała, a potem nieomylnym ruchem chwyciła go za nos. Nie dał się jednak nabrać mój dobry brat.

Nie ma też co ukrywać: już po sekundzie zaczęli się oboje całować, jakby byli sami na świecie. Matka przygarnęła mnie łagodnie. Wystarczył nam jeden pocałunek i jeszcze jeden ciepły uścisk dłoni. Uśmiechaliśmy się do siebie, a jej piękne oczy lśniły jak nigdy. Sam zresztą — przyznaję — musiałem przetrzeć powieki.

— Coś bardzo ładnego przywiozłeś nam do domu, Pawełku — powiedziała mama.

— Ot, jak to z podróży — odrzekłem skromnie. Usłyszeli wreszcie nasz śmiech. Nina rzuciła się ku matce i od razu zaczęły iść w kierunku domu. A Lutek? Ucałował mnie po raz pierwszy w życiu, a uściskał tak, że ledwie mogłem odetchnąć.

— Dziękuję ci — powiedział z wielką powagą.

Podeszliśmy już pod dom. Dokoła panowała księżycowa cisza. Byłem wdzięczny sąsiadom i miastu, że nie przywitało nas wiwatami, krzykiem, kwiatami, serpentynami, że tego wieczoru zostawiło nas sobie samym.

Lutek jeszcze raz powtórzył, że bardzo mi dziękuje. Speszylem się trochę, nie wiedziałem, co rzec, uściskałem go za rękę. W końcu postanowiłem wreszcie oświadczyć, że bardzo ładna pełnia dzisiaj, a Nina jest całkiem niezwykłą dziewczyną.

Nie zdążyłem jednak.

Oto na progu domu rozległ się nagle donośny, trochę dziecinny, a trochę starczy płacz. Był to oczywiście Domek. Otoczyliśmy go kołem, pytając o powód i przyczynę tak wielkiej rozpacz. — Dwa są powody — wyjaśnił nadal szlochając. — Po pierwsze: płaczę z radości, że Paweł i Nina są już z nami. A po drugie: przypaliłem omlety.

Tu Nina znowu pokazała klasę. Wzięła Domka za ramiona i potrząsnęła nim całkiem energicznie.

— Domeczku! — rzekła. — Ubóstwiam przypalone omlety.

Rzeczywiście zjadła wszystkie, aż Domek zaczął nucić z radości. Ale i z tym dała sobie radę. Niezbyt jednak pamiętam, w jaki sposób, bo ledwo siedziałem przy stole, każdy kęs rósł mi w ustach, oczy zamykały się same.

W końcu zgłosiłem wniosek, żeby wolno mi było iść już spać. Wniosek został przyjęty jednogłośnie. Matka odprowadziła mnie do mego pokoju. Poradziłem jej, żeby nie zostawiała tamtej parki bez opieki, bo Nina ma ze szczęścia taki apetyt, że gotowa nadgryźć Lutka.

Wtedy mama powiedziała, żebym sam nie był zbyt mocny, bo tuż przed naszym lądowaniem dzwoniła Iris Dalton i kazała mnie ucałować.

— Co proszę?! — ocknąłem się na moment.

— Ucałować — powiedziała mama całując mnie w czoło i wyszła.

— Ucałować? — spytałem sam siebie.

— Tak! Ucałować! — odpowiedziałem sam sobie. Wiadomość była wielkiej wagi. Mimo to w dwie minuty później spałem już jak na dnie oceanu — i tym to zdaniem kończy się długa historia mego księżycowego pecha.